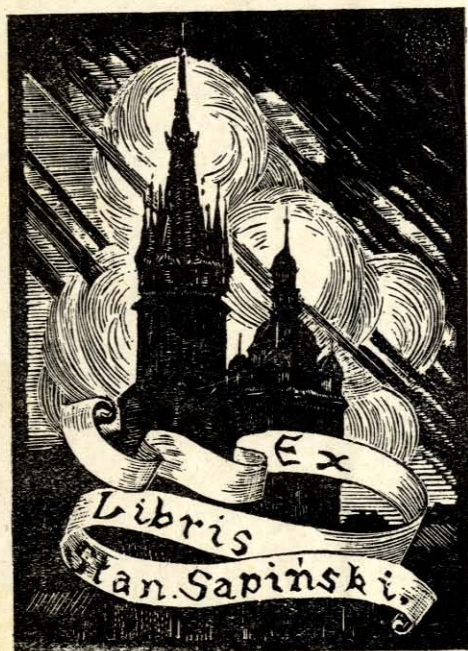




MARJA PIECHOCKA

ŻĄKI XVI. W.



KRAKÓW.

ŻAKI XVI. WIEKU.

MARJA PIECHOCKA

ŻAKI XVI. WIEKU

OBRAZY SCENICZNE Z ŻYCIA STUDENCKIEGO
W PIĘCIU AKTACH.



KRAKÓW

ODBITO W DRUKARNI POLSKIEJ FRANCISZKA ZEMANKA,
UL. TADEUSZA KOŚCIUSZKI 3.

Nr.

ODBITO 50 EGZ. AMATORSKICH, NUMEROWANYCH OD 1—50.

DWIE ILUSTRACJE WEDŁUG OBRAZÓW MATEJKI: „DZIEJE
CYWILIZACJI W POLSCE”.

Związkowi Promienistemu
ku

Czci Chrystusa
ku

Umiłowaniu Książki
ku

Tworzeniu Czynnych,
Mocnych, Promienistych
Ludzi

• Ofiarował

Stanisław Sapiński

Nr. 1111 1330

Zbiory specjalne

BIBL. GŁÓWNA



34005

P K-36/73

Bardzo mi drogim uczniom, uczniom i współpracownikom „Łanu Młodzieży” poświęcam: „Żaków XVI w.”.

M. P.

Kochana Młodzieży,

Obawiam się, że niektórych może zadziwić: „Żaki”. Jakto? tyle pracy dla literatury, kiedy wspólnym dążeniem wśród nas był zawsze czyn naglący, prawie wyłączny; przed wojną ponieważ Polska nie była jeszcze wolną, później dlatego, że jest niepodległą.

Podzielałabym trochę wasz zarzut. Ileby to w zamian można urzeczywistnić próbnych zapasów waszych z życiem idei, co zawsze dawało nam ludzi gotowszych w danej chwili, szczerząc im nieudanych poczynań na stanowisku odpowiedzialnym właśnie przez owe harce przedwstępne z czasem, przestrzenią, oporem w ruchu, w bezwładzie, czuciu: trud, który wasz świeży i naiwny samopas czarował, a czasem wyzwał.

Co warte wobec tego jakieś zamierzchłe obrazy bezpowrotnej przeszłości!

A jednak? lepiej żebyście raz jeszcze stwierdzili na tem tle, jak wielkie skutki, na metę wprost nieograniczoną wiekami, może mieć tak drobny zatarg uliczny, jak ów z dnia 14 maja 1549 roku. Rozranił studenterję z przed 400 lat i odwrócił losy nie tylko jednostek ale i ociążałych powagą instytucji.

Znajcie swój glid w całokształcie zwyczajów tak odmiennych, a jednak bliskich dołą, niedołą i tem, co stale jedną lub drugą sprowadza.

A mój współudział szperacza?

Tłomaczy go trochę szereg obowiązkowych studjów, a wiecie sami jak te rosną w rękach, zazębiając nie tylko autorów, ale i zbiorniki źródeł, tętniących odległe jakimś podziemnym, a jednak wspólnym nurtem.

Już sam najnowszy materiał historyków danych faktów, jest bardzo obszerny i ponętny. (Muczkowski, Korzeniowski, Bąkowski, Morawski, Tarnowski, Karbowski, Ptaśnik, prawie cała „Biblioteka Pisarzy Polskich“ wydawnictwo Akademii Umiejętności i i.).

Każdy tom, rozdział, niemal zdanie, daje możność selekcji w dobieraniu słów, zwrotów, nastrojów Wielkiego Złotego Wieku, tej przędzy kolców i jasnych pasm waszych poprzedników, gdy ci, jak wy dziś, sięgali po własny gmerk w dziejach Ojczyzny i świata.

Prócz dzieł naukowych, obce pamiętnikarstwo uwypukla jeszcze wyraźniej życie scholarów. Zanotowano n. p. w jednym z szeregu barwnych tomów Lacroix: „Średniowiecze i Odrodzenie“, jak to pewien żak, wylał przypadkiem zawartość osobistego naczynia, na głowę Ludwika IX, gdy ten nocą z świtą wracał do Luwru. Także szczegół! ale bez feudalnie tragicznego końca, bo hryję zażegnał sprawdzwszy okoliczności sam król, chwalać scholarę, że po zgaszeniu ognia w mieście, sam w ciszy nocnej, studjował zawzięcie przy świetle ogarka w swym żakowskim wykuszu.

Gdy dr. Antonio Favaro, z życzliwości dla rodaczki Birkenmajera, ułatwiał mi pracę w bibliotekach Padwy, rozglądał się po szanownych, uroczystem zapomnieniem półkach mego działu i wyraził znaną przestrożę: „by znaleźć bardzo mało, trzeba przewertować bardzo wiele!“ Niezawodnie, ale inaczej, nie da się odszukać żywotnego zetknięcia w tajni cieniów historii.

Muszę się wam zresztą przyznać, że pracy tej dokonywałam z upodobaniem, jak robotnik w fabryce mozaikowych dzieł Watykanu, gdy z tysięcy różnobarwnych kamyków, dobiera właściwe odcienia, według danego wzoru. Prócz długiej cierpliwości, pomoc sztuk plastycznych, powinna wesprzeć żywością obrazów szare słowa zakurzonych tomów wśród mrocznych bibliotek, zcalając przygody stawania się życia studenckiego, jak to już uczynił Matejko dla Żaków i Humanistów, a czeskie malarstwo dla szeregu dryblasów, znanych też jako „Scholarzy“, choć wyglądają na mistrzów conajmniej.

„Arena“ padewska wydaje się nad inne ciekawszą, a niewyzyskaną jeszcze i dlatego, bo oprócz Kopernika, Zamoj-

skiego i i. wybitnych znanych tam bodaj ze „stemmi“ Polaków, dwu naszych królów było scholarami Padwy: Batory i Sobieski.

Jan III dałby może nawet uczuciową fabułę niezgorszą do opracowania: znał Elenę Cornaro, sławną z urody i rozumu doktorosę Uniwersytetu, pisywali do siebie po rozłące, miała lat 19, gdy 5 lipca 1665 r. żenił się z 24-letnią wdową Marysienką, na swój i polski pech.

Wiadomo: intrygantka, skąpa, interesowna, uszczypliwa męczydusza, skoro, nasz bohater, niezłomny przed pohańcem, o mało nie spadł z konia, gdy mu ni stąd, ni zowąd przed jednym z licznych rozjazdów, rzuciła od niechcenia: „żegnam cię, może na zawsze!“.

Słodką doktorosę Elenę Cornaro! dziecię rodu dożów i królowych zgaśnię rok po Wiedniu, czemuż słoneczną idyllą padewską nie ogarnęłaś swego bohaterskiego kolegi, by mu raz na zawsze przesłonić możność szarpaniny marnych d'Arquienów i nieszczęsnego ich wpływu na niedolę wielkiego króla i wielkiego narodu!

Kraszewski zasłużył się bardzo czytelnikom, dając nam od „Starej Baśni“ szereg powieści historycznych.

Od „Świtu Żaków“ do czasów najnowszych, możnaby ujmować losy duszy studenckiej wiekami; już i przedwojenna młodzież stanowi zamkniętą księgę gotową do syntezy.

Macie pretensję niektórzy, dlaczego nie odtworzyłam naszych czasów?

No tak, przywołać pamięcią parę lat, strzepnąć z rękawa tak dostępny materiał waszych pism, jednodniówek, wyczynów harcerskich i i. Łatweby to było ale i niemożliwe.

Znosiliście mi nieraz do czytania waszą korespondencję, wolny wstęp na tajne zebrania, lub z nich relacje. Jeden z was wróciwszy z podróży, już jako docent Uniwersytetu zagranicą, wręczył mi dawnym zwyczajem paczkę listów, dodając: „proszę nie czytać ustępów zakreślonych ołówkiem“. To zastrzeżenie, wydało mi się tak nietykalne, że nie odważyłam się nawet rozmyślać czy ono obejmowało klamrę obcych ujemnych przeżyć, czy własnych załamania lub napięć, jak ów świstek — talizman Pascal'a, zaszyty w ubraniu, ślad exaltacji z d. 23. XI. 1654 roku, lub urywana notatka kwietniowego nastroju Słowackiego — mistyka.

Słowo: „mój“ tak bardzo stopniowane w życiu, jest nieruchawe w gramatyce i stęża niezgodnie z prawdą do ilościowej wspólnoty: „najmojejsze“ drgnienia jaźni.

Otóż, gdybym się zabrała do szkiców współczesnych, to jakbym się ośmieliła rzucić okiem, na owe zakreślone ołówkiem ustępy, będące waszą najpoufniejszą własnością, chociaż to, co dokonywa się w głębi waszych sumień, jest najważniejsze dla kuźni charakterów.

Młody nałogowiec, wyjawia kolegom swój stan, ci nam, bo cel jego wielkiej odwagi jest ten: „chcę się powstrzymać przez ten większy wstyd, a wy mnie ratujcie!“

Podobnych przykładów wymagania od siebie integralności wysiłków każdy dzień wśród was, daje moc. Trzeba je zbadać, ale złożyć je ołowianym drukiem — nie!

I tak przeobfity temat, dają same n. p. Kolonie prac wakacyjnych, „Łanu Młodzieży“ godne stanąć obok ślicznych odtworzeń plastyką, jakby zaklęcia w czasie, wspaniałych scen z dziejów Hiszpanji na wystawach w Barcelonie i Sewilli. W podziw dla barwnego wyczarowania całego szeregu momentów wielkości państw ibero-amerykańskich, przeżywało się nastrój doskonale estetyczny, iż wiał odeń szep: „Sta viator!“

Wartością dążeń nie stoicie niżej. Przeciwnie. Tam był Kolumb, ale i spazmy gorączki złota.

Niechże przyszły historyk waszej młodości, odszuka sobie w aktach: „Łanu Młodzieży“ już w r. 1910, a więc przed traktatem wersalskim, rzecz o zmaganiu się naszych akademików z robotami portowymi w Słupioujściu, zakończonemi podniosłem czuwaniem całą noc, by ascetyczna wigilia rycerza, studenta U. J. Józefa Dwornika naprzeciw zamku w Malborgu.

Opis mniej mistycznej ale też malowniczej wędrówki „po szczytach“ kreśli szef kolonji karczunku młodego lasu w uroczej „Psiej Dolinie“ na Podhalu, gdy wracał z mandatami kołogów: gajnych i gospodarzy.

Albo tak patriotycznie silny zespół śp. Franka Grudzińskiego!

Uzbrojeni po zęby, jechali na ćwiczenia polowe, a jak zawsze na półdniowe roboty, tym razem u regulacji potoków górskich na Słonem, koło Rabki.

Ale ta bojowa dwudziestka, poległa kilka lat później, jako jedna z pierwszych formacji wojennych w Polsce, miała tkliwe odruchy subtelności naszej rasy.

Drogę na kolej wybrali przez ulicę Redakcji, która zdumiona chrzęstem delegacji po schodach, i ustawianiem się reszty na baczność naprzeciw, przyjęła wszystkich i utrwaliła zdjęciem, powstańców w myśli i dążeniu, u stóp portretów kilku pokoleń sybiraków i wiecznych buntowników, do chwili zrealizowanej ofiarą ich drogiego życia.

W toku prac wakacyjnych „Łanu Młodzieży“, było i zapoznanie się z fabryką armat w Creuzot, w sąsiedztwie „Monchanin les Mines“. Zawdzięczaliśmy ten ważny teren doświadczeń Hr. Marji Zamoyskiej z Kórniku; nasi chłopcy wyzyskali go do wszelkich możliwości. Po rocznym kursie francuszczyzny szła praca pod zdrowotnym dozorem kolegi z V roku medycyny w fabryce dachówek, w sercu Francji, a ten szczegół jest dość humorystyczny, wobec tego, że deputowany z Arles, na III Kongresie higieny szkolnej w Paryżu, jako objawienie postawił wniosek, by młodzież gotująca się do zawodów spekulacji umysłowych, na wakacje wysyłać do środowisk prac ręcznych.

Trudno było przełknąć, tem mniej strawić, że Arleżjanie wynaleźli tę Amerykę, którą Krakowianie odkryli przed pięciu laty nie tylko immanentnie, ale w drobiazgowej organizacji praktycznej.

Nie tracąc nadmienionych i już tradycyjnych dla nas zainteresowań: „Słoń i kwestja polska“ podałam w początku samorzutnie, potem na żywe zajęcie sekcji, odpowiadając wedle pytań, kilka obojętnych profilów tej akcji u nas. Wprawdzie starannie przygotowaliśmy każdy szczegół, ale młodzież usadawiała się w każdym nieprzewidzianem położeniu po kilku próbach improwizacji tak dziarsko, z takim nakładem praktycznej przeźorności, rzewnych arabesk rodzinnych i koleżeńskich uczuć, wreszcie niefrasobliwego komizmu żakowskiego, że zdobyliście szczerzy poklask: przez dalszy ciąg zebrań Kongresu, garden parties, rautów, wśród 39 narodów reprezentowanych, miałam bezimiennie numer bieżący osoby: „która nam tyle ciekawych rzeczy opowiadała o młodzieży polskiej“.

Przedstawił mi się z tej racji jakiś amerykański doktor szpitali małych Polaków, twierdząc, że umie do nich przemawiać w ojczystym języku. Oho! najlepiej nawet wyszło: „Pokaż język!“

Na dyżurze w dziale wystaw, u repliki Parku Jordana, wśród stosów slöjdu i i. waszych arcydzieł, jeden stary Szwed, powiedział ze łzami w oczach: „Pani, to już nie talent ale geniusz”. Wryłam to sobie we wdzięcznej pamięci, żeby wam to kiedyś powtórzyć, ale między sobą mniej byliśmy zachwyceni misterną dłubaniną waszych cacek, a wśród podobnych działów obcokrajowców, wybraliśmy raczej ich małe taczki, sprzęty domowe, wynalazki upraszczające robotę, jako rękojmia chętniej pracy studenta w domu, na codzień.

To jest dobre, że jak Beanję, owo dzikie błazeństwo będące, zmorą nowozacieżnej młodzie, u nas zniesiono paręset lat wcześniej od innych krajów, tak już III Kongres higieny szkolnej w Paryżu, przyznał publicznie, że wyprzedziliśmy niekiedy agendami nawet te narody, które nam skwapliwie, a bez potrzeby dwormistrzują.

Jest nawet beznadziejnie smutna książka p. J. Galzy: „La femme chez les garçons”. Kreśli przeżycia nauczycielki w zakładach męskich.

Nie zdaje mi się, by ktokolwiek z wychowawców młodzieży polskiej, mógł choć w przybliżeniu być narażony na tak wstrętne uwagi. U nas inaczej, Bogu dzięki!

Posłuchaj mamó Jarosława, który w zacierzewieniu jakichś spraw musiał być przywołany do karności.

Przychodzi upamiętanie.

— Proszę mi darować!

— Jak? notatka utrwalona.

— O niech już wszystko zostanie, tylko żeby pani do mnie żalu nie miała.

Rozumiesz studencka publiko? Karne skutki muszą iść prawną drogą, ale głównie ważne to, że wybryk jest złem podwójnem, raz w sobie samym, a potem, że dotyka tych, co stoją na straży porządku pracy wspólnej.

Inni. Spotykamy się w teatrze, gawędzimy między aktami. Ale sztuka się udrastycznia, że już nie mam ochoty ruszyć się z miejsca, by dzielić uwagi z uczniami. Po przedstawieniu, wracając późno, widzę, że stacje opróżniają tramwaj, prócz sterczącego nademną sąsiada. Podnoszę oko. Widocznie na to tylko czeka: „To ja! to ja Henryk! Ja też z nimi byłem. Tytuł nas w błąd wprowadził”. Wiedzieli, że nie można szpiegować ale i darować. Więc rzetelnie trzeba było dostawić się do ogółu win-

nych, którzy w wyborze dozwolonych sztuk teatralnych, mieli zbyt szerokie rękawy. Czołem.

Inni odwiedzili mnie na wycieczce, po zmianie miasta i terenu pracy, co jest rzecz zwykła.

Ale to mniej, że w miłym odruchu ustanowili dyżur do zmiany na każdej mojej wolnej przerwie ujmując sobie swobody i zwiedzania, by pogawędzić, że Stach się przerzucił do Szkoły nauk politycznych, a Tadek zapuścił wąsy à la Barymore, a prof. X., jak zawsze prosty, kochany, bo nigdy nie udaje, i na ich interpelacje mówi szczerze:

— „Ja tego nie wiem! Skądże jaby to wiedział!”

A wy dziewczątka nasze i piękne panie, jedyne! najdroższe! O ile też przerastacie niezjętą dotąd treścią rodzimego podłoża, lotne piaski formacji niewieścich z za gór, i wód granicznych.

Samopoczucie u zadań chwili przenika was i dotąd jeszcze nasuwa pewne zrzeczenia: „bo chłopcy zawsze są jeszcze bliżej spraw zasadniczych w ojczyźnie niż my”.

Wy i oni. Każdy na swoim punkcie ważności, zwłaszcza wśród łagodzenia sporów, tak częstych jeszcze na tle współżycia, bo jak w Rozproszeniu Żaków, młodzież nie zawsze umie wyzyskać stosownie, a w miarę okoliczności, ani chwycić silnie podaną sobie żerdź ratunku.

Przypomnę wam, pamiętne posiedzenie „Łanu Młodzieży”, w sprawie skargi o obrazę przeciwnika naszych dążeń i działań, przez członka Redakcji Młodych.

Ludzie zaufania opozycji, „na złość” jakby umyślnie wybrani wśród żywiołu skrajnego.

Jak na bój, hurmem zgłosili się na rozprawę, wrogo patrząc z podejścia, niechętnie zaszyli w kącie sali, ciężyli na każdym słowie niezyczliwą interpretacją.

Nasz współpracownik spokojnie rozbiierał zarzuty, w dyskusji przeciągającej się godzinami.

Starsi przerwaliśmy beznadziejne spory krótkim porozumieniem, by podsunąć myśl zgody, niezbędnej dla ujęcia bez zaognień istotnego celu współpracy, w należytych warunkach spokoju i wzajemnego szacunku.

Przyjęto z trudem podsunętą drogę wyjścia; choć na wątplą i trzęsącą kładkę rozdrażnień, wstąpiliśmy śmiało i życzliwie, niezrażeni, serdeczni, na przekór co prawda topniejącym z każdą chwilą wstrętom, świadomie i uparcie posuwając się w zdobyciu „wrogów“.

Koniec końców, odłożono zredagowanie formuły pojednania, a tę za kilka dni mieli odczytać obrażony i nasz stronnik, by ją przyjąć lub odrzucić.

Spotkanie następne w Redakcji odbyło się już w nastroju bardzo życzliwym, a jak nam później doniesiono: „zagniewany szef partji, był gotów przyjąć bezwzględnie nasz tenor w jakiegokolwiek formie i treści bylibyśmy go przedstawili“.

Moment ten uważam za jeden z najdotkliwszych w współpracy z Wami. Ale nie zgadzam się, żeby został unikatem, tem mniej jakimś platonicznym wspomnieniem kultury towarzyskiej studenckiego życia.

Ponieważ aktorzy jego są na wybitnych stanowiskach, dziwię się dlaczego tak mało neutralizują chroniczną, choć jeszcze zrozumiałą drażliwość naszych zespołów wszelakiej natury.

Poglądowy wzór kojenia sprzeciwów, nie stał się w naszym promieniu kluczem dobierania się do stanów afektywnych przeciwników, by sobie stworzyć możliwość zgodnego zażegnania dramatów, opanowaniem zbędnych jętrzeń.

Niestety dużo z was padło pokotem pierwszych bohaterskich straży, ale pozostali ranni i cali, muszą podjąć ich poczynania byśmy nie stwierdzili, że najlepsi wśród was już... byli, i są nie do zastąpienia.

Wprawdzie przypomina Ptaśnik skargę Żaków: „zbrodniami złych, uciśniona jest wolność dobrych“, ale i to prawda, że zło jest śmiałe, bo dobro jest obojętne lub trwożliwe.

Wasza zasobna indywidualność, jest sto razy (najmniej) bogatsza od innych narodów. Gdzieś nam się ona stale roztrwania między szlakiem młodych lotów próbnych, a wybojami dróg ludzi dojrzałych.

Kolejny przegląd waszych lat nauki poza salami wykładów, jak ów majowy wieczór Żaków XVI w., pomógłby odnaleźć, gdzie właściwie zatracą się poważna część jednostek ogromnej wartości polskiej natury.

— A my? a my?

Byliście przecież każdy z osobna traktowani wyłącznie z uwagą na właściwości i miarę indywidualną; dawaliście temu wyraz mówiąc często: „Pani jest jak mama“; „całkiem jak mama!“ Było to zawsze grubą, ale miłą przesadą. Stawiam swój warunek. Jak w Bibliotece Marciana w Wenecji najbrudniejsze i wyniszczone są fiszki katalogu nie z Dantem, Manzoniem, D'Annunzio, ale wyłącznie li z numerami: „Quo vadis“, tak ja obok narodowej dumy, objaw ten sam w zakresie jednostki, z wami podzielę się dumą moją dziecięcej relikwji.

W książce Dunina mej Matki „Modlitwa za dzieci“ jest najwięcej zniszczona, a już ledwie czytelne są słowa: „Dajeś mi je Panie, a żadne nie zginęło!“

Wśród was, tysięcy mych jedynaczek i jedynaków, nietylko żadne dla Ojczyzny zginąć nie może, ale i natychmiastowy porachunek z sobą, ma was utwierdzić lub skierować na drogę najwłaściwszą wydatnej służby dla Polski.

Marja Piechocka.

T R E Ś Ć.

W Krakowie:

Akt I: Beania vel Otrzęsiny — Zatarg.

Akt II: Więzy i Rozproszenie Żaków.

W Padwie:

Akt III: Befana — Pierwszy śnieg — Twierdza Miłości — Kłopoty Im-
i Exmatrykulacji.

Akt IV: Ogród botaniczny — Anatomija.

Akt V: Przeszkody tryumfów doktorskich i poetyckich — Refekcja —
Turniej idei — Powrót.



Uniwersytet. Humanisci. „Złoty wiek”. (Matejko).

AKT I.

Placyk przy bursie u skrzyżowania ulic. Okna z wykuszami jako ładne ramy dla gawędzących prządek. Na lewo dom Jegomości Prepozyta. Drzwi zamykane na rygiel. Obok ławka. Akcja rozpoczyna się kwadrans przed końcem wieczornej na Uniwersytecie nauki i przed hejnałem Marjackim 14. V. 1549.

OSOBY I. AKTU:

DZIEKAN ARTYSTÓW		
JEGOMOŚĆ PREPOZYT		
EXTRANEUS HUMANISTA		
NIEMIERA, Kolega — Major		
STRUŚ, medyk	}	Arcjanie
RADWAN		
SACRANUS		
JANKO POETA		
GROZA		
JURAS z Pienian	}	Legięci
RÓZANKA vel ROSARIUS		
BEAN		
URSZULA z BORÓW jako scholar przezwana: Ursyn-Łaskotek		
BRATUN	}	Bursarze ze szkoły parafialnej.
ZBYLUT		
WROCH		
KRYŚIA, siostra Urszuli		
BOGNA	}	zamożne patrycjuszki krakowskie
HANKA		
KAMPSOR UNIWERSYTETU		
NAHO MARPURG, jego wnuk		
STAN	}	służba Jegomości Prepozyta
PAWEŁ		
STRZELIMUSÓWNA	}	Panie-duszki
JULJANNA		
MAGISTRZY, BAKAŁARZE, KONWIKTORZY, STUDENCI.		

AKT I.

BEANIA VEL OTRZĘSINY. — ZATARG.

Scena I.

(*Dziekan Artystów: Kampsor Askenazy i jego wnuk: Naho Marpurg*).

DZIEKAN ARTYSTÓW: A więc Kampsor nasz odpowiada swoim stanowiskiem bankiera Uniwersytetu, za całość naszych nieśmiertelnych rękopisów?

KAMPSOR: Tak Dostojności Wasza! Niech będzie, jako się rzekło (*akcent z lekką hebraizujący*).

DZIEKAN ARTYSTÓW: I macie Wasze zaufanych ludzi, którzy dostawiają uczonemu Aldzie Manucyuszowi te oto orędzia: (*wręcza mu zwinięty pergamin. Żyd bierze, kłaniając się nisko*) i w zamian za dukaty (*daje mu trzos, jak wyżej*) dostawiają nam Annały Tacyta z Wenecyi, a z Uniwersytetu Padwy rękopisy Fallopiusza, przestawnego tamecznego profesora.

KAMPSOR: O ile ujdziem w drodze rabunku, niewoli, zarazy, to co w ludzkiej mocy jest, użyję, by mądre księgi waszych Magnificencyi, dostał w swe ręce mój zięć Marpurg, bankier świetnej Sinioryi weneckiej.

DZIEKAN ARTYSTÓW: (*zartobliwie*) A nie wiesz to, że ów, co się do Italji wybiera, ten poprzednio swoją wolę, a testament sporządzać zwykł?

KAMPSOR: (*z uśmiechem*) Prawda to i stwierdzona; nie zabaczmy i tego przejrzenia, zwłaszcza, że Ich Dostojności Biskupie raczyły nam powierzyć kollektę świętopietrza dla najjaśniejszej rzymskiej kuryi, a wzamian towar mniej cenny, jak owe księgi, ale przecież bardzo kosztowny, bo złotogłów i rzezane kamienie dla królowej Jejmości, a dryakwie i balsamy dla Jej dworu, wysłany będzie wraz, ku naszemu miastu.

DZIEKAN ARTYSTÓW: Komu powierzy wasze tę kupią wartościową?

KAMPSOR: Gotów do odjazdu zaufany mi agent: Gedali z Lublina a pieczy jego zlecam, prócz złota i rękopisu jeszcze żywy skarb — tego oto wnuka mego.

(*Scholar Naho Marpurg zbliża się i kłania*).

DZIEKAN ARTYSTÓW: (*łaskawie*) A toć to nasz zaczek! I czemuż ty nasze Studio porzucasz? Dokuczył ci kozubalec, Nie chcesz tej daniny płacić chrześcijanom almae matris?

NAHO: O nie! Magnificencjo, a dobrodzieju mój! Przyszedłem do zwyczaju: on mnie, a ja jego przyjąłem. Kozubalec zapłacony w całości. Kocham też nasze wysokie Studjo. Ale i dalej w świat rad podążę, skoro dziad mój i pan, daje mi zezwolenie.

KAMPSOR: W naszym Ghecie znów zaraza; a to zła wróżba, Dostojności Wasza! Jak mór jest u nas, to on jest wszędzie. Jaskółka jedna wiosny nie czyni, ale ją zapowiada (*głosem niskim i smutnym*). Tak i to z czarną śmiercią. *Dłoń jedna u czoła, drugą na wysokości ramienia: ruch oddalenia i grozy*).

DZIEKAN ARTYSTÓW: No i wasze zawczasu chcesz od niej wnuka uchronić! Ależ Kampsorze miły! I tam na zachodzie pół miasta nieraz wymiera od zarazy. A prócz tego Naho może nie być dopuszczon do studjum, albo go użyć gotowi na anatomię w razie wypadku...

NAHO: To jest mogliby mnie pokrajać? A, tobym już wolał całą, a nie posiekaną śmierć! Wolej byście za mnie dziadku i panie opłacili tu potrójny kozubalec. Niechajby już, jako zwyczaj każe z tych pieniędzy, ośleń skóry w trójnasób zakupiono na mądre księgi, zamiast użycia mojej na pergamin! (*Otrząsa się*).

KAMPSOR: (*gładzi mu głowę*) No, Jehowah tu i tam nad nim! Ale ty jak Machabeusze i w ogniu masz głosu pańskiego słuchać, a od tego masz głowę i rozum w niej, byś sobie dawał radę.

DZIEKAN ARTYSTÓW: Ryzykujecie wy siłą!

KAMPSOR: Bośmy jako nasienie, którem wiatr miota. Zdala od drzewa macierzystego, może je zguba pochłonać, ale i bliskość korzenia i gałęzi własnej, wzrostu każdemu kielkowi nie da.

DZIEKAN ARTYSTÓW: A więc niechżeż jedzie — i w myśl naszych wielkich królów, swobodą a wiedzą, wzbogaca swoje plemię i kraj, który go ugascza.



KAMPSOR: *(kłania się, prawą dłoń przyciska do piersi, lewą pochyła do dziekana)* Tożsamo, słyszy on, jak modlitwę codzienną w domu dziada swego; *(z godnością i stanowczo)* i temu wierny zostanie on i jego ród na tej ziemi. *(Dziekan kiwa głową życzliwie i przytakująco. Kampsor i Naho wśród ukłonów — odchodzą).*

Scena II.

(Dziekan Artystów, Jegomość Prepozyt, potem: Żaki, Wroch, Zbylut, i Bratun oraz słudzy Stan i Paweł).

DZIEKAN ARTYSTÓW: *(zwraca się ku oknu, puka laską w ziemię)* Hej! Jegomość! Bywajcie panie!

JEGOMOŚĆ PREPOZYT: *(wygląda oknem)* Co zacz? A to wy! Sławetny nasz Dziekan! A czemuż to szczęście przyczytać?

DZIEKAN ARTYSTÓW: Przynoszę wam zaproszenie księdza Czepęła na wieczerzę z pstrągami — co już samo przez się rzecz godna humanisty i na gawędę o ziemi świętej naszego nowoprzybyłego pielgrzyma, co jest jeszcze po-
nętniejsze dla tej biesiady.

JEGOMOŚĆ PREPOZYT: Ależ śpieszę! śpieszę! wielce rad i wdzięczny! Wszakże poczekacie chwilkę aż się dostojnie przybiorę. *(Znika w oknie; słychać przegrywkę na flecie; rytm ilustruje skakanie chłopców przez głowę jeden drugiego. Trzech żaków wpada na scenę, opierając się na plecach poprzedniego, przeskakują przez jego głowę; pochylają się do skoków następnych. Gwiżdżą ten sam motyw fletowy. Ostatni w zapędzie wpada na dziekana. Zatrzymują się skonfundowani).*

DZIEKAN ARTYSTÓW: A to smyki! Z parafialnej uczelni pewnie! No! i stołownicy Jegomości! Co?

ŻACZEK BRATUN: *(skromnie)* Skapnie tam jaki ochłapek.

ŻACZEK ZBYLUT: *(pokornie, ale pogardliwie)* Okroi się tam jaki bochnaczek!

ŻACZEK WROCH: *(buntowniczo)* Ale czasem i w skórę weźmie żaczek!

DZIEKAN ARTYSTÓW: No! proszę! W szkole! i za szkołą nawet!

ŻACZEK WROCH: *(z godnością)* O! Słudzy dobrodzieja Jegomości nie zawsze na nas łaskawi.

(Ż. Bratun i Ż. Zbylut smarują sobie ostentacyjnie do siedzenia przeznaczoną część ciała).

JEGOMOŚĆ PREPOZYT: *(wszedł przed chwilą, przysłuchuje się: żaki go pozdrawiają)* No? a gdzież wasze dwojaczki?

ŻAK BRATUN: O! pobiegną po nie żaczki! *(Odskakują jak przyszli, jeden przez głowę drugiego. Ten sam motyw fletu).*

JEGOMOŚĆ PREPOZYT: Wystawcie sobie Księżę Dziekanie! Ten naród scholarów ani dnia w zgodzie żyć nie umie z moją służbą. Ciągłe figle! Ciągłe psoty! Karcę to jednych, to drugich, a jakoby każdy ingres mojej władzy, na nowo ich wstręty wzajemne wydyma.

DZIEKAN ARTYSTÓW: *(śmiejąc się)* Ponoć to zazdrość o względy Jegomości... *(Żaki wracają krokiem powolnym w rytmie fletowego motetu w powolnym tempie. Każdy niesie dwojaczek i łyżkę).*

JEGOMOŚĆ PREPOZYT: Jesteście? Dobrze zuchy! *(Paweł i Stan wychodzą z bramy domu)* No! a nie skąpcie im tam jadła. *(Uśmiecha się do dzieci).* Bądźcie zdrowe żaczki!

ŻAKI: *(chórem)* Kłaniamy się Dobrodziejowi! *(Dziekan Artystów i Jegomość Prepozyt oddalają się. Słudzy napełniają naczynia).*

ŻAKI: Pilnujmy, żeby było pełno. *(Wroch rachuje łyżki podejrzliwie).*

ŻAK WROCH: *(badawczo i niespokojnie)* Raz, dwa, trzy... *(Całkiem uradowany i promieniejący):* Cztery!

(Żak Zbylut robi z miną rozkazującą gest nalewania chochłą. Żak Bratun wygraża sługom łyżką, którą ma zawieszoną u pasa na łańcuszku. Słudzy się przekomarzają. Żacy pokazują im języki, grają im na nosie. Wreszcie siadają z miną zadowoloną i jedzą pilnie. Z początku niczem innem nie zajęci, potem gawędzą szeptem. Równocześnie z wyjściem dygnitarza z drugiej strony wchodzi kilka pannen. Spotykając dziekana artystów i Jegomościę Prepozyta kłaniają się, ci im na ukłon odpowiadają. Dziekan zaczepta ostatnią).

Scena III.

(Ci sami. Bogna, Hanka, Krysia).

DZIEKAN ARTYSTÓW: A? Hanka Wierzyńkówna! Gdzież to?
i co za interes tak blisko bursy scholarów?

HANKA: (śmieje się) Nie tak blisko księżę Dziekanie Dobrodzieju! Aż trzeci dom na prawo!

DZIEKAN ARTYSTÓW: (z ironią) Tak daleko! No proszę!
aż dziw, że was scholarzy z tak daleka dopatrzeć mogą!

KRYZIA: U okienka snujem przedzę, bo do tego jasno być musi.

JEGOMOŚĆ PREPOZYT: Otóż to! Waszemi ślipkami sobie nie przyświecicie, choć i te błyszczą, jak żagiewki; ale czy nie motają się włókna przy takim harmidrze studenckim?

BOGNA: O! motają! i bardzo!

DZIEKAN ARTYSTÓW: (żartobliwie) Nawet i koło serduszek może? (grozi im, dziewczęta robią zakłopotane miny, kłaniają się za odchodzącymi, chichotają po cichu, biorą się za ręce i robią we trzy młynka po chwili gawędzą cicho z ożywieniem).

JEGOMOŚĆ PREPOZYT: (odchodząc do dziekana) Ponoć i nad tem obradować mamy, kiedy kollektorzy kamery apostolskiej ze świętopietrzem wybrać się mają.

DZIEKAN ARTYSTÓW: Jest ci ta sprawa nadobna, bo i Kampsor ku takiejże podróży okazję nagodził. Aleć Jegomości! a mój Łaskawco! Nie lża z żołądkiem nie prawie pełnym, o tak ważnych wypadkach przemyśliwać! Nie humanistów to rzecz! Zaczniemy od pstrągów księdza Jana!

JEGOMOŚĆ PREPOZYT: Sława pstrągom! pływały w wodzie... Uczcijmy ich użyteczny koniec żywota, niech w maśle i winie na tej uczcie utoną. (Odchodzą w rozmowie ku sobie zwróceni. Żaczki nadśluchują).

ŻAK WROCH: Słyszeliście? Kollektorzy jadą ze świętopietrzem! Jak nam słudzy Jegomości klusków maścić nie będą, pojedziem z nimi w świat.

ŻAK BRATUN: Starsi z Bursy Grochowej też się gdziesi wybierają. Możemy się im nadać jako żacy-serwitorzy!

ŻAK ZBYLUT: Wiwat! Szafranowy pomysł! Jedziewa! (Okrecają się też młynka, zbliżając do panien).

BOGNA: No! no! Żaczki! śpieszcie się jeść! bo wam Paweł i Stan posprzątają garnuszki.

PAWEŁ: (z niechęcią) A ino! Jednego trza patrzeć: albo pieroga, albo skoczynoga!

STAN: A najlepiej batoga! (wygraża pięścią żakom, ci robią miny dumne).

ŻAK WROCH: Poczkaj! jak zostanę biskupem!

ŻAK BRATUN: A ja kanclerzem!

ŻAK ZBYLUT: A ja hetmanem!

PAWEŁ: (śmieje się ordynarnie) Ha! ha! ha!... To ja do tego czasu na was jeszcze dużo kijów i skorup potłukę!

STAN: (j. w.) A ja tymczasem pohulam na rynku! Chódź brachu!

PAWEŁ: Chodźwa! Niechże se te hetmany, kanclerze i biskupy tymczasem jak szczury pergaminy gryzą (Odchodzą).

Scena IV.

ŻAK ZBYLUT: Dobra rada, by od myszorada. Ergo, powtarzajmy nasze Bestiaria (ton recytowania). Głowa przechodzi w kadłub za pomocą szyi... (biorą się w pół i spacerują. Zbylut dodając wyskrobuje z hałasem łyżką garnuszek; Wroch oblizuje łyżkę na wszystkie strony, potem ją chowa do trzosika u pasa; Bratun zawiesza ją na łańcuszku. Panny gwarząc, zbliżają się).

KRYZIA: Czemuz to nie gra hejnał wieczorny? (nadśluchuje).

HANKA: (przekornie) A? Tak się dłuży panience? Chciałaby swego miłowanego zobaczyć!

KRYZIA: Chociażby! Abo to nie ładny i dzielny i okropnie mądry chłopiec?

HANKA: I Rozatus się nazywa! Toż jakby Róża króluje wśród scholarów!

BOGNA (poważnie) Wam, to ino te studiozy w głowie! (marszczy brwi) Przyznam się wam... że...

KRYZIA i HANKA: (ciekawie) Że... że... powiedz! Co przyznasz?

BOGNA: (figlarnie i wesoło) Że i mnie także! (Wybuchają śmiechem).

HANKA: Ale im tego nie powiemy? prawda?

KRYSIA: Nie! nigdy! Będziemy dla nich tak surowe, jak Ursyn-Łaskotek! naszej płci chluba i ozdoba — ale niestety w męskich sukniach scholara naszej świetnej wszechnicy.
HANKA: *(wzdycha)* Szczęśliwy Łaskotek! Ona kocha Prawo!
KRYSIA: *(j. w.)* Medycynę!
BOGNA: *(j. w.)* Filozofję.
HANKA: A my?
KRYSIA: A my?
BOGNA: A my?
HANKA: *(z politowaniem)* Jurystów!
KRYSIA: *(j. w.)* Medyków!
BOGNA: *(j. w.)* Filozofów! *(Śmieją się, potem urywają nagle).*
Ale sza!
HANKA: *(kładzie palec na ustach)* Ani słówka!
KRYSIA: *(j. w.)* Cicho! sekret! *(nadsłuchują).*

Scena V.

(1-szy odgłos trąbki hejnału silny, 2-gi słabszy, 3-ci jak echo, by już akcja mogła się odbywać bez głośzenia słów muzyką. Żaki i panny robią znak Krzyża św. Chwila skupienia. Potem rozbiegają się do domów sąsiadujących z bursą i ukazują się od czasu do czasu w oknach. Zamieniają ukłony, gdy scholarzy nadchodzą; ci im rzucają całusy i kwiaty do okien. Młodzi wbiegają na scenę podrzucają czapki i piłki, grupują się i śmieją, gwarząc. Miny i gesta studenckie i żywe, ale zgrabne, nie ulicznikowskie. Kilku poważniejszych z seksternami pod pachą, rozprawia z bakalarzami i magistrami, którzy przechodzą w głębi przez scenę, nie zatrzymując się dłużej niż tego wymaga obraz ożywionej ulicy. Na przodzie sceny: Niemiera — Collega Major, Radwan, Sacranus, Rozatus, Groza, Bean).

RADWAN: *(zaperzony do otaczających go scholarzy).* Mówię wam! Gomon był dziś w naszej lektoryi! Tomistów i Skotystów zapędzili w kozi róg Okamiści!
SACRANUS: Ale! ale! le! le! *(pogardliwie)* Ci twoi nowo modni Arcy-Okamiści pytlili, pytlili: brem, borum, tabam! A żebyś wiedział, że Skotyści ze swemi realiami mają nogi tętsze! Okamiści w pysku ino mocniejsi. A jednych i drugich pogrążą najmędrsze głowy starożytnych: Arystotelisi... Ptolemeisi... Pyrrhoniści...

NIEMIERA *(wpadając w ton żartobliwie)* A głównie: Plautusowe Asinaria!
GROZA: *(do Sacranusa)* Patrzcie go! Imci pan Jegomość Sacranus z Oświęcimią! przechrzczony z łacińska, to już wie skąd wiatr wieje!
SACRANUS: A ino! Żebyś wiedział, że ku temu wiatrowi Wergilego i Homera się cały zwracam i za nim podążę...
BEAN: *(który słuchał ciekawie z rozwartymi ustami, do Radwana)* Powiedz mi, o co się ci spierają? Ja tu nowak wśród was, toć i niewiem, do kogo się przyłączyć.
RADWAN: Widzisz bratku, to tak: Tomiści rezonują o wszystkim. Skotyści rezonują o Tomistach, a Okamiści rezonują o Skotystach i o Tomistach. A jako, że się wzajem nie mogą przerezonować, więc: niby ostatni argument: biorą się za łby.
ROZARIUS: Ale Sacranus pała tęga, porozbija ich scholastyczne makówki Grekami i Latynami. To się wie! On idzie za nimi, a ja z nim *(podpiera się pod boki, wielkimi krokami zbliża się do Sacranusa).*
BEAN: Gdzież oni chcą iść?
RADWAN: Ano, niby do innych uczelni, gdzie tych Hellenów i tych Osków od dawna już żrą od zarania do zmroku, gdzie niby skarb z ziemi wygrzebują ich potłuczone amfory, a nad zwojami rękopisów, mądre profesory ślęczą...
BEAN: Jakież tam profesory?
RADWAN: Jak i u nas, tak i wszędzie: Bakałarze, magistry...
NIEMIERA: *(przerywając)* To się nie liczy; trojakie w górę stopnie ordinarius, docent...
BEAN: *(niedowierzająco)* Co mówicie? ordynarni?
NIEMIERA: *(ironicznie)* Są i extra-ordynarni!
SACRANUS: A co się doktorów tyczy, siła ich niezliczona: dy-lanci, figuranci... szarmanci... aroganci...
RADWAN: Ot! pleciesz, byle co pyskiem niewyparzonem!
BEAN: Już się wadzicie? A ja jak nie wiem, tak nie wiem, co jest profesor!
GROZA: *(który się zbliżył ze zdziwieniem)* To ty nie wiesz co jest profesor? Słuchajcie go Koledzy! Jest tu taki, który nie wie, co to jest profesor! *(Wesołość ogólna z jowialnem szturknięciem łokciami i piętami na lewo i na*

prawo). No powiedzcie przecież (*pogardliwie*) temu Be-
nowi co jest profesor! Ale dokumentnie!

NIEMIERA: Ja wam wyłożę! profesor, jest to mąż, który jest
zawsze innego zdania!

BEAN: Czyjego przecież?

RÓŻANKA: (*z powagą i nadęciem*) Swojego! (*śmiej się ogólny*).

BEAN: No, dobrze! a inni?

NIEMIERA: Inni, to są tacy, którzy muszą być „jego” zdania!

BEAN: No! Ale dlaczego?

GROZA: Bo on wie lepiej!

(*Zbliża się Extraneus-Humanista, Janek-Poeta, Juras Li-
twin i Struthenius. Zakłopotanie i ukłony żaków*).

Scena VI.

EXTRANEUS-HUMANISTA: (*strój czarny, toga, biret; niby
odpowiadając na ostatnie słowa, sentencjonalnie*) Boski
Arystoteles rzekł: — „Słuchać ma, kto się uczyć chce”
(*Scholarzy ustępują z szacunkiem*).

EXTRANEUS-HUMANISTA: (*ex Cathedra, zwracając się do
scholarzy, którzy go otoczyli*) Nie mówić ja nic przeciw
waszej dostojnej uczelni. Owszem, sieje ona światła snopy
ku wschodowi, by słup ognisty na granicach dwu światów...

RADWAN: (*wzburzony*) A toż na co nam innych bogów szu-
kać?

EXTRANEUS-HUMANISTA: Ot, widzisz na to, by swą myśl
uwolnić od wpływu miejsca! Zrozumieć siebie samego!
Wpleść się w życie synowi południa i odwrotnie; poszy-
bować w przestworzach z druhami północy. Jednym sło-
wem — przepoić się jednością społeczną.

JANEK POETA: O tak! utajoną skrę piękna krzesać w zetknię-
ciu z myślą innego miasta, być przyjętym jako swój duch
u innego narodu! (*natchniony*). Zanieść nawzajem więź
serdeczną swego własnego plemienia...

SACRANUS: (*tonem niskim, głębokim*) A w tem krzesaniu
świętego ognia, niebu wziętego, używać skier ziemi,
choćby Prometeusza nieśmiertelną męką!...

NIEMIERA: A nie masz ochłody po drodze?

EXTRANEUS-HUMANISTA: Jest i wiele! Już sama chwila
poznania jest nad inne szczęśna. Cóż dopiero, gdy po

niej idzie błogi niepokój odkrycia! trwożny najpierw, a po-
tem zuchwały wzrok w dal, gdy do tego niebios daru,
możesz dorzucić twórczość własną — niby współudział
Boży w dziele tworzenia.

JURAS LITWIN: Tak nam przedstawiać tę dal ona, żeby jej
człowiek poświęcił sen o ziemskiej chudobie... o lubej na-
wet... (*zwraca się ku oknu, gdzie siedzi Bogna w posta-
wie tęsknej*).

RÓŻANKA: Chyba, że w działanie, za naszym Jankiem poetą,
włożysz tę lubą, w szacie trojańskiej Heleny... jaśnie-
jącą bielą zasłon... (*wachluje się rozmarzony dłońmi*)
nektarem wonną... (*wszyscy węższ, jedni z rozkoszą, dru-
dzy żartobliwie; żywo*) No! Janek! pokaż twe wiersze!
(*Chce mu wyrwać rękopis*).

JANEK POETA: (*broni się*) Nie! Wierę, tegoć nie imiesz.
Jeszcze nad mojem poemą przesiedzę niejedną i nie drugą
białą noc... aż będzie godnem uszu humanisty... (*kłania
się Extraneusowi*).

EXTRANEUS-HUMANISTA: Taki to klasyczny syn Apollina
za waszą ławą siada?

JURAS LITWIN: Oh! Ho! Jakby rodzony! A utoczył tak go-
dnie swoje boginki, że wszyscy rybałci, którzy próbują
roli, ruchają się by ciężka gwardja pancerna! (*tonem prze-
sądnie delikatnym*). A te jego nimfy, płasają po chmurach,
niby zefirem podszyte. (*Robi ruch pływania po powietrzu
i wyrzuca niezgrabnie to jedną, to drugą nogę w bok*).

EXTRANEUS-HUMANISTA: A to u was niewiasty nie gra-
wają?

RADWAN: (*twardo*) Nie to nie bywa!

EXTRANEUS-HUMANISTA: Szkoda, boć udatne są, niby
z Olimpu rodem. (*Rozgląda się z upodobaniem po oknach,
skąd panny wyglądają gawędząc*). Bywa, nie bywa! Mar-
kezany i szlachcianki w komedjach i interludjach, głosem
i lutenką zawracają na opak rycerzów głowy. Ale są i tak
srodzy Cerberzy, jak Fallopiusz, doktor Fundamentarius
przezwany, który — mając najcenniejszą książkę me-
dyczną i najpiękniejszą z siostrzenic na świecie, właśnie
ani jednej ani drugiej na użytek scholarów dać nie chce.

BEAN: Dlaczego przecie?

EXTRANEUS-HUMANISTA: *(ironicznie)* To jest zagadka, której żaden scholar dotąd nie rozwiązał.

STRUŚ: *(który dotąd milcząc wertował sekstern)* A możeby tam była rzecz o pulsie?

JURAS LITWIN: W pannie?

STRUTHENIUS: Co mi panna! w księdze!

JANEK POETA: A możeby to był gest dla Heleny?

JURAS LITWIN: W książce?

JANEK POETA: Ale gdzie! w pannie!...

EXTRANEUS-HUMANISTA: Cóż kiedy jedno i drugie niedostępne!

NIEMIERA: Otóż to, co mi się najwięcej podoba z panny i książki — to niedostępność — to walka o nie. Wiecie co braty? Jak będziemy kiedyś w onej sławnej uczelni „pod Wołem” zdobędę ja wam te dwie cymelie! Dla Janka ziszczenie poetyczne jego Heleny — dla Strusia księgę, by swoje badania o pulsie porównał i ulepszył...

SCHOLARZY: Hej Bravo! Vivat Niemiera!

(Niemiera podaje prawą rękę Jankowi, lewą Strusiowi, wstrząsa je serdecznie).

BEAN: No, dobrze! ale ty?

NIEMIERA: Ja? Ja będę miał dla siebie pomysł, zmaganie się z chwilą... z trudem... próbę swej mocy, jak sobie dam radę... i... *(Zaciekawienie ogólne).*

SCHOLARZY: *(jeden po drugim)* i?... i?... i?...

NIEMIERA: *(dumnie wstrząsając głową)* I drogą swiebodną by kroczyć dalej z głową podniesioną ku celom odległym!

RÓŻANKA: *(tęskliwie)* I jabym też w dalekie światy odlecieć rad...

EXTRANEUS-HUMANISTA: Taki to jest duch ludzki! Pęd wstecz czy naprzód, byle co inne... byle gdzie indziej...

BEAN: *(kręci głową na lewo i prawo)* A wy pójdziecie?...

RADWAN: Z tymi wrywantami? Z tymi szumiębskimi? Nie!

SACRANUS: Kiedy sam nie wiem. Bo jak mi profesory i doktory prawią o kręgach, od ludzkich stóp i myśli wydeptanych, to mnie aż po kościach ciągnie, bym siedł za owe 7 gór i owych 7 rzek i pił mądrość z siedmiu źródeł zamkniętych dla ośpałych a nieciekawych.

BEAN: *(niezdecydowany)* Dziwy! dziwy! coby tu wybrać?

STRUTHENIUS: Pojechałbych i ja z wami! Doktor medicus nie czyta w tym semestrze, a jabym chciał krajać, by później zeszywać, nie jak balwierz jaki, ani cyrologus, ale jak Eskulap sam! Skrpam, sztram! *(robi gest cięć medycznych).*

RADWAN: No! no! nie zamierzaj się Strusiku! bo ci i tak ciała krześcijańskiego nigdzie krajać nie dadzą, chyba heretyka, abo wisielca.

STRUTHENIUS: A choćby i takich, zawsze to lepsze, niż wasze puste gadanie!

ROSARIUS: Patrzcie go! puste gadanie... nie wiesz, że w ustach Chryzostoma miód naleziono...

JANEK POETA: Nie wiesz, że Homerus żywił się szpikiem kości... toż i jego słowa... *(kończy rozmowę oddalając się z artystami i Extraneusem-Humanistą w głąb sceny — wychodzą).*

Scena VII.

(Zbliżają się żaczki, którzy to przechodzili przez scenę, to się oddalali, kuglując, chwytając jabłka z okiem od panien, które haftują i śledzą akcję uliczną. Trzech żaczków dają sobie znaki porozumienia, gdy mowa o wyjeździe).

ŻACZEK WROCH: Oni z humanistami, a my pojedziem z kolektorami króla Jegomości.

ŻACZEK ZBYLUT: Wcale nie króla Jegomości, tylko z apostołskimi, tak mówił Dobrodziej Prepozyt.

ŻACZEK BRATUN: Odłóżcie no waszą podróż na cztery króle, zanim się nauczycie Bestiariów! Mówię wam asinusy, że nie głowa przechodzi w kadłub zapomocą szyi, tylko kadłub w głowę! Cała bestiaria na tem stoi.

ŻACZEK ZBYLUT: Hale! Musi być coś trzecie! bo mnie bałazarz i za jedno i za drugie uszy wytargał.

ŻACZEK WROCH: Spytajmy się starszych z naszej bursy, to mądre chłopcy!

ŻACZEK ZBYLUT: Prosimy ichmościów Majorów, wiecie-li z czego się to każde bydle składa i czego się co trzyma?

STRUTHENIUS *(roztargniony, by się ich pozbyć)* Spytajcie się Łaskotka, on tu mieszka przez okno!

ZACZEK ZBYLUT: (*nętnie*) Oho! żeby mnie zepłat? Nie chcę! Już mam i tak dzisiaj uszy wytargane!

RADWAN: Uszy tylko? Na dzisiejsze czasy, to nie dużo? Radzę dobrze, opytajcie Łaskotkę!

KILKU SCHOLARÓW: (*uchylając się odpowiedzi*) Do Łaskotki! do Łaskotki! Łaskotek-Niezbliżek powie!
On wszystko wie!

BEAN: (*zdziwiony*) Łaskotek? i Niezbliżek? Cóż to za święty patron i rodowy pień?

RADWAN: Niebać tam! Żaden patron i dotąd jeszcze żaden rodowy pień — tylko dziewa! Przebrana za scholara i kujon pierwszej wody; prócz kilku scholarów, i jej druchen, nikt o tem nie wie (*upominając surowo*). I ty, żebyś wiedział, że ani pisać o tem masz!

BEAN: (*z dumą i godnością*) Nie jestem takie prosię, żebym donosił.

RADWAN: To się wie! Ale cóż! (*zrezygnowany*) książki jej się jeno imają. Niech który z nas jej się dotknie, rznie prętem, nos nie nos, oczy nie oczy, pręgi nieraz krwawe. Zresztą dobry kamrat. Choć ślipkami wierci by kordem — łaskotliwe to takie, że koło siebie robi zawsze krąg nito zaczarowany, którego żaden djabeł nie poważał się przekroczyć.

BEAN: Bajesz! Dajęć tyńfa, że ją pocałuję.

RÓŻANKA: Nie zdzierżysz! Nie ma na niej takiego miejsca, gdziebyś ją pocałować mógł.

BEAN: Ano! Spróbuję.

JURAS LITWIN: Świerzbi cię skóra? Dobrze!

BEAN: Zwabcie ją ino!

NIEMIĘRA: (*który dotąd rozmawiał ze Strusiem, zbliżając się*) Oto łatwo! Dość pod jej oknem ukuć jaki solecyzm, palnąć głupstwo, nie wytrzyma, zejdzie! (*Idzie pod okno Łaskotki i niby się ucząc — dyszkantem*) De gustibus non est disputan... dus!...

URSYN ŁASKOTEK: (*pokazuje się w oknie i wygraża prętem*) Dum! Dum! osłe koronny! (*poznając Niemierę*) A, to wy? Collego-Major! Darujcie!

Scena VIII.

(*Ciz i Łaskotek*).

NIEMIĘRA: Wcale nie daruję. Owszem, oddam wam miarę z czubem, bo się zakładam, że z trzech zagadek ani jednej nie rozwiążecie.

ŁASKOTEK: Owa! Gadajcie! (*Siada okrakiem na oknie. Zbylut, Bratun i Wroch przeciskają się bliżej*).

NIEMIĘRA: Te oto żaczki chcą wiedzieć: „Czy pies u ogona? czy ogon u psa“?

ŁASKOTEK: (*po krótkim namysle*) O! wielkie dziwa! Weź go za ogon — to pies! Weź go za głowę — to ogon!

NIEMIĘRA: No, macie żaczki argument! Dalej kuć Bestiaria (*Łaskotek siada na oknie, obie nogi na zewnątrz*).

ZACZEK ZBYLUT: Dobra nasza!

ZACZEK WROCH: Dziękujemy waszmościom! (*odchodzą*).

SACRANUS: A powiedzcie, nam jaką wagę musi mieć człowiek, by nie upadł?

ŁASKOTEK: (*zeskakując z okna, przestępuje z nogi na nogę, rozciąga ramiona stając na jednej nodze, wypręża się w malowniczej postawie*). Równowagę!

BEAN: A teraz ja! Zgadnijcie które bydlę pije najdroższy napój?

ŁASKOTEK: (*przystępując do niego, strzepuje mu szczutkiem dwoma palcami z przed nosa pchłę*) Czy najdroższy? to się pokaże! Na teraz bez nijakiej substancyjei, a radziej essencyonalnie głupi: „pchła“, bo bije krew Beana!

BEAN: Widzę, że macie rozum ostry. Niechże was za to ucałuję (*chce ją uściskać*).

ŁASKOTEK: (*macha prętem*) O! mości Fuchsie! nie wam, ale mnie nagroda! I tę sobie wyliczę na waszym grzbiecie! (*Wali go*).

BEAN: No! no! pax! Dajcie pokój! nie ceńcie się tak mało! Możemy się przecież spotkać w polu... inaczej...

ŁASKOTEK: Do usług! Ino żeś waść widocznie dotąd służył przy konnych chrząszczach, obywatelskiej manieri studenta nie znając.

JURAS LITWIN: (*który się zbliżył do okna, gdzie rozmawiał z Bogną*) Ale gdzie tam! onże służy pewnie w piechocie, co ma guzy pod brzuchem!

BEAN: Gdzież to taka?

RADWAN: U świń! potrójny gapiu! (*Scholarzy się śmieją*).

No, ale nie markoćcie się koledzy, boć przecież widzicie, że to jest fuchs!

SACRANUS: Technicznie zwany: „Nullus ignorantissimus vulgaris!”

JURAS LITWIN: Tak bratenku! fryc! nowina! Dopiero tam i sam wykładów wacha. Ale dobry kompan. Trzeba mu coprędzej zrobić otrzęsiny!

BEAN: Ano, kiedy tak chcecie, to i owszem! Przyznaję, że mi już doskwiera ten szary koniec w waszej konfraterni. Mieszek rodzice przysłali godnie napełniony (*miny pełne uznania scholarzy*) toby i uroczystość była niezgorsza, a poczęstunek nie suchy.

ROSARIUS: Bravissimo!

SACRANUS: Doskonale! (*Oklaski*).

NIEMIERA: (*który się odłącza od Strusia*) O co chodzi? (*Daleki zegar wieżowy bije godzinę. Okna się zamykają, panny, odchodzą wśród ukłonów i odprowadzań scholarzy*).

RADWAN: Chodzi o to, że ten cuchnący kozioł (*wskazuje na Beana*) ten kloc nieoskrobany, ten dzik z kłami szpetnymi, ten... jednym słowem... ten Bean!

GROZA: (*ze wstrętem*) Arcybeanus!

JURAS LITWIN: (*pieszczotliwie, ale z pogardą*) Beanulos!

RADWAN: Oto się zgłasza do waszych studenckich dostojności, o przyjęcie go do zaszczytnego społeczeństwa tej sławetnej uczelni.

NIEMIERA: A wiesz co cię czeka?

BEAN: Wiem, że mnie podobno będą tarmosić, ale radbym tę część otrzęsin opuścić.

GROZA: (*oburzony*) Co tarmosić? co opuścić?

NIEMIERA: Nikt cię tarmosić po próznicy nie będzie, musisz być opitowany, bratku, wymyty! Z pazurów i kopyt uwolniony! Tu nic opuścić się nie da.

BEAN: Ależ przesławny Kolego Major! Ależ wysoko urodzeni panowie kommilitony i braty! Ja przecież ani pazurów, ani kopyt nie mam!

GROZA: No! patrzcież co to oślisko wygaduje! Kollegami i kommilitonami nas już nazywa przed Beanią? Może i oślich uszu nie masz (*przyprawiają mu sztuczne kudłate uszy*).

RADWAN: Jak śmiesz swój pysk zatruty rozdziawiać wobec przesławnego magistra?

SACRANUS: Ah! Ah! czujecie co za smród? (*Bierze się za nos i ucieka*).

NIEMIERA: To od jego poprzedniego bekowiska wśród ignorantów! Co nie pachną jak doktorzy, nie przewietrzają głów jak profesorzy! Co nie kadzą jak teologowie!

JURAS LITWIN: Co prędzej zgrzebeł, mydła, szczotek! (*Bean robi zestrasszone miny. Studenci skaczą koło niego, czesząc go zgrzebłem, smarują pianą z mydła*).

RADWAN: A czy on aby pić umie?

JURAS LITWIN: Uważaj, ostrożnie, żeby cię nie pożarł! (*Broń mu pić z podanego cynowego kubka*).

ROSARIUS: Nie daj mu pić! Swoją dziób jadowity, gorzej niż bazyliuszka, ośmielasz się wkładać tam, gdzie magistry? Idź tam, gdzie bydło! Tam pysk wtykaj!

JURAS LITWIN: Ależ to niedołęga!

ŁASKOTEK: (*który zdaleka dyskretnie brał udział w ceremonji, z politowaniem*). Nicość sama! Cień nicości!

STRUTHENIUS: (*nie zamykając książki, którą wrtuje*). Co on tu chceć może?

RADWAN: Pewnie się chce zaliczyć do sławnej naszej nacyi i cechu studentów!

JURAS LITWIN: W takim stanie? niepodobna! Coby tu z nim począć?

GROZA: Po balwierza! po nożyce! Brodę, uszy, rogi mu pobcinać!

NIEMIERA: Strusiku sprawny, do dzieła! Skrpam! Sztram!

ROSARIUS: A dodaj mu tam jeszcze pigulek z album graecum, albo Timus virgineus (*śmieją się*).

STRUŚ: Najpierw niech się kładzie, ten kloc nieociosany.

BEAN: (*wzbrania się*) Bean jestem, nie Legart! (*Scholarzy przyskakują do niego, grożąc mu*).

JURAS LITWIN: Chcesz, żeby ci grzbiet zmierzyć?

RADWAN: Chcesz powąchać kija? Naści!

GROZA: Chcesz ujrzeć pięciolist? O! (*pokazuje mu dłoń rozłożoną*).

BEAN: (*placzkliwie*) Powiedzcież mi cne kompani...

SACRANUS: (*gniewnie*) Co to kompani! Jak śmiesz się z nami równać, nie będąc jeszcze odheblowany z sęków, z grubej kory nieświadomości i nieuctwa.

BEAN: (*z przesadną pokorą*) A więc Wasze Dostojskości żakowskie! mądre! przenajmądrsze! raczcie mi przynajmniej wytłumaczyć, za co i na co ja te męki znoszę. (*Zażarcie przytupując, z pięściami przybiegają do niego z wydrżnieniem*).

RADWAN: A, to pieszczoszek! Mamusin synalek! Męki! Proszę ja kogo!

NIEMIERA: Darujcie towarzysze, że nie wie jakie wrota jasne otwierają się przed nim ku światłości nauki, przodownictwa! Wiedz, nowicyuszu, że ta uroczystość Otrzęsin jest symbolem, abys się do tego kroku przygotował jak należy: „Byś umiał żyć i cierpieć bez skargi”.

SCHOLARZE: (*chórem*) Żyć i cierpieć bez skargi! (*kłaniają się Niemierze*) Hurrah! Collego Major! (*przed Beanem robią figle, szarpią go, odwracają się od niego hardo*).

NIEMIERA: Jednak gdy cię przyjmimy za członka Wszecnicy, będziesz mógł prócz nauki, tej naszej świętej pani i cudownej kochanki, w chwilach wolnych, pozbywszy się skóry człowieka świata i wieku, być: (*uroczyście*) rycerzem litery, cyfry... i pieśni! A w naszym słodkim tułactwie — pielgrzymem ducha w krainie wszechpiękna!

ROSARIUS: (*z męską dumą*) Kawalerem i sługą Donny Filozofii, dla niej duchowe kruszyć kopie!...

ŁASKOTEK: (*z ironiczną powagą*) Gęsiem piórem! (*wyjmuje swoje pióro z za pasa i wtyka je Beanowi za ucho*).

NIEMIERA: No a teraz patrz na nas i żyj z nami, abys jako duch wolny i duch dobry z druhami wędrującymi...

CHÓR: (*rytmicznie*) „vagantes"! (*Scholarzy wykonują ruchy pielgrzymowania*).

NIEMIERA: Śpiewający:

CHÓR rytmiczny scholarów: (*nuci, dobierając kilka akordów*) Cantantes...

NIEMIERA: Wrzeszczących gdy na co padnie...

CHÓR rytmiczny: „Vociferantes"... (*Część scholarów powtarza wyraz: „filozofia“; Inna część: Medicina!; Dalsi: Teologia; Reszta: Prawo! Lex! Lex! super omnia! Stąd powstały harmider ucicha nagle na dany znak*).

NIEMIERA: A w danej chwili i płasających...

CHÓR rytmiczny scholarów: „balantes"! (*kilka zgrabnych pląsów przy odgłosie fletni piszczka*).

NIEMIERA: Ale gdy żalność serce zbierze (*tonem rzewnym*) współczujących...

CHÓR scholarów: „clamitantes"!... (*Miny smutne, oczy ku niebu, ramiona wzniesione, w postawie błagalnej*).

NIEMIERA: Ale gdy przyjdzie na to pora, jedzący, pijący, połykający...

CHÓR rytmiczny scholarów: vorantes, potantes, ingurgitantes... (*poruszają szczękami, piją z dłoni, zwiniętej w kubek, kończą nagle i wszyscy razem*).

NIEMIERA: Uczących się do zapamiętania, ale też i na nudnych prelekcjach ziewających...

CHÓR rytmiczny scholarów: „boooooaaaaantes"! (*Ogólne ziewanie i przeciąganie się, urwane nagle*).

NIEMIERA: Wreszcie w naszych falujących tunikach, żadnemu kątowi spokoju nie dających. (*Niemiera jako rodzaj mistrza ceremonji, Bean, jako podlegający Otrzęsinom, nie markują żadnych ruchów. Łaskotek-Niezbliżek, robi je z widocznie delikatnym dziewczęcym urokiem*).

CZEŚĆ scholarów rytmicznie: (*na miejscu*) in curta tunica faltantes, nullum angulum intactum relinquunt. — (*Druga część sprawia zamieszanie ogólne, harmider, bieganina zmienia się w zaczepki. Przechodzą pań-duszki, mizdrzą się do scholarzy, ci z nimi żartują. — Ściemnia się*).

Scena IX.

(*Zbliżają się Strzelimusówna i Juljanna*).

JURAS LITWIN: Patrzcie! turkaweczki! ale takie, co na noc z gołębników wyfruują! (*Śmiechy studentów; ściemnia się*).

GROZA: Ba! turkaweczki nie! to nie dla pań-duszek miano! Raczej gęsi gęgające i za tucznymi gęsiorami idące!

STRZELIMUSÓWNA: Co? gęsi? słyszysz Julja? Gęsi! ale nie dla was! Ku chudym scholarom szyjki nie wyciągniem?
 JULJA: Ani myśli! Nie dostaniecie indultu na obcowanie z nami!
 ROSARIUS: Na co indultu?
 RADWAN: Co za indultu?
 JULJA: Byłoby z gęsiami za bliskie studentów pokrewieństwo! *(Śmieją się. Oburzenie scholarów. Hałas.)*
 NIEMIERA: A to zniewaga! Precz stąd!
 JURAS LITWIN: A to heca! Trzy gęsi dwie niewieście, zrobiły jarmark w mieście!
 BEAN: A moje otrzęsiny? Kończcie panowie braty!
 NIEMIERA: Co tam otrzęsiny? później się odbęda! a teraz brońmy kolegów! Nie widzisz, jak się szamocą!

Scena X.

(W głębi słudzy Jegomości Prepozyta wróciwszy przed chwilą półpijani. Wywijają ramionami, obejmują w pól, Paweł Julję, Stan Strzelimusównę.)

PAWEŁ: *(zatacza się)* A? znowu te studenckie zatracęcy! Panowie Nieroboty!
 STAN: Ichmoście Góronosy! Do książek! do inkaustu! Nie do takich krasawic, hołubiczek!
 STRUŚ: A wam Maścibrzuchy nic do nas.
 JURAS LITWIN: Stoiwasy, Dusikufle do mioteł i rondli.
 PAWEŁ *(bełkocze)* Co mioteł? dam ci miotłą! aż do kwiku!
 STAN: *(j. w.)* abo rondlem, ale spiczastym! Naści! *(pchnął Jurasa Litwina nożem, wyjętym z za buta.)*
 JURAS LITWIN: *(Krzyk nagły i urwany)* Ah! Koledzy! na pomoc!
 SCHOLARZY: *(zbiegają się ku niemu)* Otośmy! Abo co!
 GROZA: Co się stało?
 JURAS: *(z trudem)* Nóż! tu! *(podnosi rękę ku sercu, zatacza się, Struś podtrzymuje go.)*
 ROZARIUS: Mów! co? gadajże przecie!
(Część scholarzy z Niemierą, ciśnie się ku Litwinowi, inni ścigają Piotra i Stana.)
 PAWEŁ: Pódźwa, Stan! No duńże stąd, a skoro!

STAN: *(bełkocze)* Pańduszki muszą iść z nami; jak nie — to i ja nie! *(Ciągnie to Strzelimusównę, to Julję. Dziewki się bronią.)*
 PAWEŁ: Niechta będzie! ale rób prędko!
 STAN: *(ściska Julję)* A chodźże kokoszko! Nie bądź spierna!
 STRZELIMUSÓWNA: Dyc mię nie imaj tak mocno!
 JULJA: Puście nas! zanadtoście pijani!
 STAN: Całus przedsię uwidzę dać gdzie się patrzy! Może nie?
 GROZA: Hańba pijakom! Huzia na czarownice!
 SCHOLARZY: Pań-duszki huzia! praktykarki precz! *(Pędzą rozzłoszczeni służbę i dziewczki. Ci ustępują ku drzwiom.)*
 SCHOLARZY: Do djabła a z tem bydłem!
 STRZELIMUSÓWNA: *(do Julji)* Ustąpmy radziej! Wszak nas za mało przeciw wszystkim. Nie chcę żeby mnie gnano!
 PAWEŁ: No, to nie stójta po próznicy w miejscu, bo wam pod nosem zarygluję dzwierz! *(Stan ciągnie Strzelimusównę, Paweł Julję, kolejno wpadają do bramy.)*
 SACRANUS: Nie puszczajcież tej bandy zatraconej!
 ROSARIUS: To niesłychane! taka napaść od sługusów i ulicznych dziewczek!
 RADWAN: Nasz honor studencki!
 GROZA: Baczmyż, aby się nie zamknęli! *(mocują się u bramy.)*
 PAWEŁ: Oho! rygle są na moc, nie na paradę! *(zatrząskuje drzwiami.)*
 JURAS LITWIN: Nie odchodźcie, koledzy! Jaki chłód!...
 STRUTHENIUS: Cios zda się jest silny! Biada, skrytobójcy! *(Opatruje go troskliwie; u drzwi oblężenie scholarów.)*
 SACRANUS: Musimy zdobyć twierdzę rabusiów. Hej! Koledzy! wyłamywać odrzwia!
 ROSARIUS: Obrzydza człeka, taki motłoch tykać! Ale mimo to trzeba ich stąd wykurzyć!
 GROZA: Niedoczekanie ich, by naszą studencką cześć lżyć mieli bezkarnie!
 STUDENCI: Gorze im! *(Znowu napierają na zaryglowane drzwi.)*
 RADWAN: Żwawo druhy! Trzymajcie się ostro! Ah! hultaje!
 STUDENCI: Łotry! Odmipyski!
 GROZA: Co za pancerne dzwierz! Ramieście mi rozgnietli.
 ROSARIUS: A dzwierz ani drgnie!
 SCHOLARZY: To nic! musimy je wyprzeć!

RADWAN: Nikt się stamtąd nie wyśliźnie! Oblegamy tę norę
zbójów.

NIEMIERA: *(przyciszonym głosem)* Litwin mocno ranny! krew
mu farbi oponczę! Dech mu przerywa! Patrzcie, słania się!

ROSARIUS: *(nadbiegając)* Czuj duch! po cyrologa wskok lece!

STRUTHENIUS: Radziej do szpitala św. Rocha z nim,
a ostrożnie.

NIEMIERA: Najbliżej do cyrologa, naprzeciw grochowej bursy.

JURAS LITWIN: *(słabnącym głosem)* Towarzysze!... Czyżby
to było wszystko?... Bogna!... Litwo moja! studio nasze!...
Lit...

SCHOLARZY: *(biegają tu i tam, zakłopotani)* Co tu począć!...

RADWAN: Nieba! Żle z nim jest, czy co?

STRUTHENIUS: Trzymajmy go prosto! o tak! Wy stojcie za
ławą. Uniesiemy go; a wolno! a lekko!

ROSARIUS: *(biegnie do drzwi, komenderuje)* Wy, stojcie tu
murem i uważajcie mi na tych łotrów *(wskazuje na drzwi).*
Scholarzy ustawiają się jako straż).

NIEMIERA: Będziem bronić czci wszystkich, teraz, ratujmy
życie kolegi. *(Otaczają Litwina; cichną).*

BEAN: A moje otrzęsiny?

Kurtyna.

AKT II.

OSOBY II. AKTU:

DZIEKAN ARTYSTÓW

EXTRANEUS HUMANISTA

NIEMIERA, Collega — Major

RADWAN

SACRANUS z Oświęcimia

STRUŚ vel STRUTHENIUS

JANEK POETA

GROZA

ROSARIUS vel ROSATUS abo RÓŻANKA

MARCIN GŁOSA

BEAN, nowicjusz

URSZULA z BORÓW, jako Scholar Ursyn-Łaskotek

BRATUN

ZBYLUT

PISZCZEK WROCH

GOZDAWA

LELIWA

NIEMSTA

WILGA

ZABOR

BAKAŁARZ

KANTOR wawelskiej Katedry

KAMPSOR, bankier Uniwersytetu

PLATNERZ

STRAŻNIK MIEJSKI

HAZA UNGLEROWA, wdowa po drukarzu

HANKA

BOGNA

KRYSLA z BORÓW

STOGNIEWA

MAGDA

Juryści

Arcjanie

żaczekowie z trywium

bursarze

patrycjuszki krakowskie

szragarki

MATKA CZELADNIA

PRACZKA

SCHOLARZE, TEOLODZY, MEDYCY itd., OJCOWIE, MATKI,
MIESZCZANIE i MIESZCZKI.

AKT II.

WIEŻY I ROZPROSZENIE ŻAKÓW.

(Plac między Barbakanem, a Bramą Florjańską. W głębi stragany. Przekupki obierają owoce i jarzyny).

Scena I.

(Stogniewa, Magda, potem scholarze, bakałarz i żaki).

STOGNIEWA: *(z za stragana)* Złota wiesna cna kumo! Tyleć się po tej czarnej ziemi jarzynek rodzi, że w wieczór gorki, aż mgli od woni, kieby w japtece, od zamorskich korzeni.

MAGDA: Adyc to Bóg wielki fabrykant tego wszystkiego i Jemu chwala! Ale ma też czeladkę! aż strach! ile się to człowiek nagrziebie, naskubie, naobiera, a to się w żołądkach ludzkich pograży, jak w czeluści! *(W głębi przechodzą żaki. Stragarki oglądają się).* Dajcie baczenie! Idą żaki!

STOGNIEWA: To też pozieram i strzegę, bo najwięcej żarte, to studenty! Korce śrutują ich młode zęby! Ani im starczyć!

MAGDA: Ano! wedle przysłowia, „żak szkolny, niczem wilk głodny“!

STOGNIEWA: A franty są! a wścibskie! a gomon robiące!...

MAGDA: ...A obśmiewne! a swawolne! i świerkające!...

STOGNIEWA: Wrzeszczy to! gwizda! szwenda się... nieposiane, jakby lubystek i nasieźrał roznosząc...

(Przebiegają bursarze: Gozdawa, Wilga i Zabor. Zatrzymują się. Wilga rozprawia z nimi pocichu).

MAGDA: Nibyto kupuje, a targuje, a ino patrz, żeby ci dwa razy tyle z naręcza nie sprzątnął! W sam tu idą!

STOGNIEWA: Pozór na pierogi i jabłka, bo im nie bardzo przepiecznie!... *(Układają towar, nadśłuchując).*

WILGA: Ani mi się ważcie dzisiaj iść na wykłady!

ZABOR: A ino! Na was się zmiele, a na nas się skrupi!

GOZDAWA: Jeszcze nas z bursy wymięta!

WILGA: Nie bądźcież jak kundle w psiej budzie, na łańcuchu, a u miski z osypką i temu się łaszące, co jeść daje!

ZABOR: Dobrze wam mówić skoroście syty!

WILGA: *(surowo)* Nie syty jest! Od trzech dni co nasz zartarg trwa nie poszedłem do dbrodzieji po jadło, a owsiany placek mi odtąd specjałem, bo ze sumieniem studenta frymarczyć nie lża!

GOZDAWA: I ja tego nie chcę! To już chyba duśmy na Wisłę. Czółno walnie obrobimy w mieście Retoryki...

ZABOR: Dobra nasza! *(grożąc)* ale niech senior za nas odpowiada przed bakałarzem.

WILGA: Będziemy czuwać, ale pamiętajta! W stronę uczelni, ani kroku! Ale nie oddalajta się ku Wiśle. Może być tu nam się zdacie.

BURSARZE: Wedle rozkazu! *(Czapką w górę potrząsnawszy, wychodzą ogromnymi krokami, wymachując przesadnie ramionami).*

WILGA: *(patrząc za nimi)* Z bursarzami naciężej, bo mają łeb ku dyscyplinie skłoniony *(rozgląda się)*. Trzeba także innych kolegów pilnować, aby dziś do szkoły nie szli. *(Wychodzi na lewo. Z prawej ukazują się Bakałarz, zaganiając trzech żaków).*

BAKAŁARZ: No dziatki! Oddzwoniono na lekcje, a wy tu?

ŻAK LELIWA: Kiedy dziś świętego Nieroba i zakazano nam iść do lektorji!

BAKAŁARZ: Co mi wasze pleciesz! Żadnych wykrętów i fi-głasów! Do uczelni! do lektorji!

ŻAK LELIWA: Zaruteńko Jegomościuniu!

ŻAK NIEMSTA: Tylko nasz prowiant spakujemy! *(Kupując targując się z przekupkami, a raz w raz oglądają się na bakałarza. Dają sobie znak na migi, wymykają się cicho, każdy inną stroną zmyka, zadzierając wysoko stopy).*

BAKAŁARZ: Muszę ich mieć na oku! *(Udaje, że nie zwraca na nich uwagi; a gdy się ogląda, żaków niema).* Ale co! Wiatr w polu! Wszystko w naszej uczelni jak na mrowisku, alibo jeszcze gorzej! Łatwiej upilnować 100 pcheł, niż parę żaków. *(Do przekupek)* A gdzież żaki?

STOGNIEWA: *(z gestem nieokreślonym)* Nie wiem! o, może tu!
MAGDA: *(j. w.)* Tak, tak! tu i tam!
BAKAŁARZ: *(przedrzeźniając)* O! nie wiem! tu i tam!
Wszystko drwinki i psoty! Niby urazy a zaloty! Leż, a udawanie iste! Że też to żadne bydle tak nie zełże jak człowiek! chociaż żak! chociaż niewiastka *(z goryczą)* O! niewiasta przedewszystkiem! Gorze mi! Ille mihi! ille mihi!
(Wychodzi, pochylając żywymi ruchami głowę jak zmęczony koń).
(Wpada kilku scholarzy).
GŁOSY ŻAKÓW: *(równocześnie)* Hej! jest tam który? — Co u licha? — Do stu bizunów! — Sam tu do nas!
TEOLOG: Mielście tu być wszyscy o tej porze, a...
MEDYK: A stawiał się jeno w sam raz nasz Baka...
JURYSTA: Baka... laufrius!... W prawo zwrot i w nogi! *(Spostrzegłszy odchodzącego bakałarza reszta scholarzy uwija się koło straganów, chcąc się pod nimi ukryć. Przekupki robią harmider, stając w postawie obronnej).*
MAGDA: A oganiajta się!
STOGNIEWA: Hale! Co oni sobie z tego robią!
MAGDA: Mój przedni owoc!
STOGNIEWA: A moje pierniki z dwuletniego ciasta!
(Scholarze nie zważając na nie przeskakują przez ławy, nie zważając na stos jarzyn i owoców. Przekupki załamują ręce).
GŁOSY ŻAKÓW: *(jeden przez drugiego)* Precz stąd! — Precz a żywo! — Cyt! cyt! Wszyscy dudy w miech!
STOGNIEWA: Co się dzieje? Coś się musiało stać!
MAGDA: Bogać tam! U nich zawsze coś się staje!
(W czasie tej sceny nadchodzą głębią w czułym rozhorworze Groza i Hanka, potem żaczki Bratun i Wroch-Piszczyk, wreszcie Bogna z Łaskotkiem, Bean i kilku burzarzy).
GROZA: *(całując ręce Hanki, rozrzewniony)* I wasze to drogie rączyny zdziałały ten śliczny pektoralik, by legł na moim sercu?
HANKA: *(rozwiija napierśnik)* Oj, na waszem! na waszem! Noścież go tedy, by was grzał ciepłutko! *(przytula nawiązkę do siebie)* i by was chłodził! *(wachluje się nią),* i w podróży ścielił się pod głowę waszą na słodkie uśpienie,

(na dwu dłoniach opiera główkę na puszystym szaliku. Groza bierze ją delikatnie w pól, pochyla głowę dziewczęcia ku swemu ramieniu, patrzy jej w oczy...).
GROZA: I na dwie głowy w jednym gniazdku byłoby miejsca dość...
(Ujęci rozmawiają przez chwilę, pozy mają mieć cechy dyskretnego dworactwa bez rubasznej poufałości. Wchodzą z drugiej strony Krysia i Rosarius).
KRYSIA: ...I obiecujecie mi, gdy na co padnie, czuwać nad siostrzycą moją? Gdybyście wy jachać mieli, wielu scholarów za wami podąża. Rektor Magnifikus nasze studio zamknąć gotów, a wtedy nie utrzymamci jej. Pokwapi się Orszula niby pątnica wiedzy do innych uczelni. Ale pamiętajcie! gdzie ona — tam wy.
ROSARIUS: *(poprawia łagodnie)* Gdzie wy Kaja, tam ja Kajus!
KRYSIA: *(podaje mu dłonie)* Tak, miły panie! Zwolenstwo serca mnie ku temu skłania, i wdzięczność gdy mi siostrzycę lubą, tego spornego Łaskotka — uchronicie od zła, bratem jej zawczasu będąc. Dwie nas jest sierót. Opiekalików dużo — ale nie z woli. Wszakóż Bóg i Wy, to siła. Przec się może ostaniecie jeszcze?
ROSARIUS: Oj, nie! ku temu się nie ma... *(gawędząc po cichu, przechadzają się po placu. Wchodzi Wroch, Żaczek — Piszczyk. Gra na flecie melodję, oglądając na wszystkie strony towar przekupek, wreszcie trzymając flet przy ustach, mówi):*
ŻACZEK WROCH: Cóż za to olbrzymie pierożysko?
MAGDA: Trzy grosze.
ŻACZEK WROCH: *(oburzony)* O rety! Co? Trzy groszka za taki maciuci pierożeczek!
STOGNIEWA: To nie targuj żaczku! skoro masz dziurę w kalecie i kupić nie masz za co!
ŻACZEK WROCH: O! zaraz kupić kupić! — nie kupić! — potargować można. I tak same sobie waszą kupią jeść będziecie, bo żaki opuszczają miasto!
(Stogniewa i Magda zdumione nadśłuchują).
STOGNIEWA: Co ty garwolisz?
MAGDA: Gdziebyście ta szli? i dlaczego?

ZACZEK WROCH: (*gestykulując żywo fletem*) Toć się wie, że zabili nam starszego z bursy, a drugiego nieprawnie do ciurmy zamknęli. To też wszyscy scholarze, wielu bakałarzy, a nawet magistrów, albo ich pomszczą, albo was tu ostawią wszystkich i odjadą.

(*Przekupki wyrażają coraz to większe zdziwienie*). Zabili! na dobre? — Biedus! Na! Naści pierożek! — Zjedz se i ten miódownik! (*Opychają go łakociami*).

STOGNIEWA: (*niedowierzająco*) Ale odjadą mówisz? Iiii! Na czymżeby?

ZACZEK WROCH: (*z dumą*) per pedes apostolorum!

STOGNIEWA: (*udając, że rozumie*) A! jeśli tak! to macie godny zaprzęg! Apostolski jaże! No, no! (*Zafrasowana szepce do ucha Magdy*). Biorą każda po koszyku. Zbliżają się każda z innej strony do pary gwarzących, jedna na lewo, druga na prawo, stawiają je ostentacyjnie w pozie wychekującej przed Grozą i Hanką, Rosariusem i Krysia. Ci na tę grę nie zważając, gawędzą. Zdziwienie przekupek. Przechodzą każda z swym towarem głębią sceny z drugiej strony. Ta sama gra. Piszczek swą melodię ponownie zaczyna. Równocześnie zbliżają się od środka, grając w piłkę Zbylut i Bratun).

ZACZEK ZBYLUT: Wiwant starsze kamraty! za ich marcypanowy pomysł! Zakazali nam iść na lekcję — człowiek sobie przynajmniej piłką nakugluje!

ZACZEK BRATUN: Bodaj to długo potrwało! tobym mógł zostać królem piłki.

ZACZEK ZBYLUT: Nie cudny król z ciebie, skoro jeszcze nie wiesz, że przed królem jest sadło. Kto w tem nieprawny, nie może przejść dalszych stopni gry. Skoroś utknął na 6-tym, to cóż dopiero 24 inne gradusy! (*Opiera się głową o mur, z twarzą w górę; przerzuca piłkę nad sobą i chwytą wyprostowany*).

ZACZEK BRATUN: Nie! szósta pieczęć; sadło siódme, bo trudniejsze! (*Zbliża się Piszczek-Wroch, który lekko frazował swój motyw*).

ZACZEK WROCH: Czekał, ja wam to zagram w takt! (*Próbuje melodię*). Grałta każdy swoją figurę. Bratun Sadło. Zbylut Pieczęć, odbijając piłkę od ziemi, na płask dłonią chwytem górnym i dolnym. Teraz będzie dobrze!

No skorzej! (*Dobraną melodię, gra żwawiej; Zbylut i Bratun myślą się*).

PISZCZEK WROCH: (*niecierpliwie*) Spudłowałeś pieczęć, a ty sadło! Słuchajta Lelum Polelum jakies! Do taktu jest tak! O! (*gra: Chwilę po żakach weszły z jednej strony Bogna i Łaskotek jak w I. akcie po męsku ubrany; równocześnie wchodzi z drugiej strony Bean; ten lustruje scenę, grających i czule pary. Potem zbliża się szarmancko ku Bognie i z palcem przy ustach nawołuje*):

BEAN: Panno Marjanno! Panno Maryjańciu!

BOGNA: (*ogląda się, patrzy na niego smutnie i z godnością*) Bognam jest!

BEAN: O! Darujcież właśnie! Takoz! Takoz Bogna! Boginka! W sam raz to chciałem powiedzieć! Że tamte cne kawalery każdy swą damę ma, toć ja też wam chciałem ofiarować swoje serce.

BOGNA: (*obojętnie*) Dziękuję waszmości, ale mi nicto po tem. Temu останę wierną, co już legł z ręki nieprawych sługusów.

ZACZEK PISZCZEK: (*gra wolniej, nie odejmując od ust fletu*) Zagrał na ostatniej dziurce nieboraczek!

ZACZEK ZBYLUT: Odłożył on łyżkę, nieboraczek! (*Przekupki, które po swej grze usadowiły się na nowo za straganami, przytakuja głową*).

STOGNIEWA: Będzie jadł teraz sałatkę od korzenia biedajstwo!

MAGDA: Ożeni się on z rolą, niebożatko!

(*Posmutnienie ogólne*).

GŁOSY: Niestotyż! niestotyż!

BEAN (*do Bogny*) Tożecie wy Litwina zakłutego wybrana?

BOGNA (*przez łyzy*) Pójdę do sióstr szpitalnych, pielęgnować innych, skoro jemu drogich oczu zamknąć nawet nie mogłam!

(*Zbliżają się do niej Hanka i Krysia z uściśnieniem politowania*).

HANKA: Pieszczoto nasza!

KRYSLA: Utul się Bogienko wśród nas! twych druchen. (*Przygarnia ją, całuje w czoło*).

ŁASKOTEK: (*serdecznie*) Utulcie ją! ale i ukójcie! Jego to raczej żałować trza! Nie dokończył zaczętej drogi!

KRYSIA: Ale i Bogny niedola, że go już na swojej drodze nie spotka.

BOGNA: Ani jego, ani innego! Wstąpię do klasztoru! Bo widzicie! (*tłumi łkanie*) ale mnie te wszystkie nauki nie zajmują... mnie tylko on sam był miły! (*placze*). Ja się jemu tylko chciałam poświęcić!

ROSARIUS: No, uspokójcie się! Zaraz Niemiera nadejdzie z radą. Mielśmy tu się stawić i dotrwać z wszystkimi co wedle onego wieczoru i napaści, jakiego świadczenia dać gotowi. Ale waszej boleści litujemy. (*Odprowadzają Bognę do kaplicy w bramie św. Florjana i modlą się w głębi. Scholarze wracają naprzód sceny.*)

GROZA: (*żegna czułym gestem Hanke, nuci:*
„I nie miłować źle, i miłować ciężka pociecha!”

Scena II.

(*Wchodzą Niemiera, Sacranus, Radwan, Struthenius, Wilga i inni scholarzy.*)

RADWAN: (*do Grozy, który przewiązał sobie pektoralik i bawi się nim*) No, proszę! jeszcze jedna nawiązka! Masz ich przecie ze 40! Nie za dużo ofiarodawczyń i więzów!?

GROZA: (*markotnie*) Przeholowaliście! Dziewięć ino!

RADWAN: Owa! Na koniec semestru przejdzie drugi tuzin!

STRUTHENIUS: Cóż na to poradzić. Groza wiecznie zakochany być musi.

ROSARIUS: Oho! Zakocha się, skoro, byle miał czas sposobny, ale niechno insza potrzeba wypłyń...

NIEMIERA: Wypłynęła ona niestety! i nie z praw, a przywilejów naszych... Nie wydobyliśmy jeszcze brata z wieży. A jakoż świadczą żaczkowie?

RADWAN: (*który się zatrzymał przy żaczkach i skupił ich, ciągnie za jedno ucho Zbyluta, za drugie Bratuna. Wroch-Piszczek poprzedza ich, grając wesołą aryjkę w pogrzebowa tempie*) Gadajta, a świętą prawdę.

ŻACZEK BRATUN: Ojoj! joj! joj! Nie tak mocno! A jakoważ prawda inna być ma?

RADWAN: Abo może te gęby wiecznie ozwane każą wam temu świarczyć, kto wam ziarno sypie.

ŻACZEK BRATUN: (*odchyła się dumnie, choć Radwan mu ciągle ucho trzyma*) Nie jestem szkapą, żeby kto za mnie oduzdne jako podatek brał! (*Radwan puszcza mu ucho. Widząc to Zbylut piszczy:*

ŻACZEK ZBYLUT: Oj! oj! joj! jojoj! Toć i mnie z opieki wypuście! Nie jestem bydle, żeby kto za mnie ogonowe jako podatek dostawał!

RADWAN (*puszcza mu ucho*) No dobrze! ale w imię tej szkolnej czci, a w obecności Bożej przykazuję wam prosto na pytanie każde odpowiadać!

ŻACZEK ZBYLUT i BRATUN: (*równocześnie*) To się wie! Oczywiście!

NIEMIERA: (*indaguje uroczyście*) Prawdalito, że Jegomość Prepozyt wyszedł z domu, gdy słudzy jego poturbowali Litwina?

ŻACZEK ZBYLUT: Na te tu oczy widziałem, że wyszedł; a że byłem jeszcze głodny, toć pamiętam i to, że poszedł na pstrągi, żeby je zjeść, jako, że jest „Humanista”.

ŻACZEK BRATUN: I ja baczę, że poszli z Jego dostojnością Dziekanem artystów. A żebym i ja chętnie pojechał gdzie niebądź, tom zapamiętał, że kolektorzy apostołscy z Kampsorem i świętopietrzem jechać mają do kurji po zjedzeniu tych pstrągów.

PISZCZEK WROCH: (*przekornie*) Ale bo to i panny tu obecne tożsamo na własne swoje wielkie oczy widziały! I zaświadczyłyby mogły snadnie! Ino, że ich nikto za uszy nie targa, ino sobie zawdy świebodnie a lubo z innymi swiergołą: tiurlutiutiu! tiurlutiutiu! (*gra aryjkę; śmiechy scholarów. Oburzenie u starszych studentów.*)

GROZA: O! tiurlutiutiu! Patrzajcie zuffalca! Ja ci zaśpiwam tiurlutiutiu!

(*Żaczek Piszczek z fletem przy ustach staje w postawie wyczekującej.*)

NIEMIERA: Panny po trybunałach i senatach akademickich wodzić? Słyszał świat coś podobnego? I to się w takiej małej pale pomieści! (*bierze go przyjaźnie pod brodę.*)

ŻACZEK ZBYLUT: A no to nie trza się jurzyć po próżnicy! Stare osły na i — ââ, i — ââ! (*naśladuje głos osła*) rozumieją się snadno, a panienki i na tiurlutiutiu moc uładzą,

bo i tak jegomości ich słuchają radziej, niż nas, nietylko z infimy, ale z całego trivium!

ŻACZEK BRATUN: Ale! nawet i z Retoryki!

ŻACZEK WROCH: (z goryczką) A może i Muzyki!

NIEMIERA: Pax! Jeszcze wam uszy nie opadły, jak widzę!

ŻACZEK BRATUN: Nie ożlijcież się na nas o byle co, a baczcie wysoko urodzony Imci Panie a Panie Kolego Major i wierzajcie, że panny mogłyby nawet sprawie sedno pomóc.

ŻACZEK WROCH: (z przekąsem) Przecież, jak mówi Mistrz Glaber z Kobylina: „białogłowy są zrobione z kości białej, a ostroki z ziemie grubej, toż mają subtelniejszy rozum, niż otroczy!”

NIEMIERA: Iste, dadzą i one swój sąd a głos, ale nie tu i nie na wasze zawołanie! Wy siebie pilnujcie!

ŻACZEK BRATUN: Toż mówię, że Jegomość odchodząc nas pozdrowił i panny też z przekomarzeniem pożegnał.

ŻACZEK ZBYLUT: Potem służy nas byle jak karmili.

ŻACZEK BRATUN: I naszydziwszy też byle jak, poszli ku miastu.

NIEMIERA: (gorzko) Ot! Żeby Streliminusównę sprowadzić! Aleć mógł Jegomość i tak wtedy wrócić?

ŻACZEK WROCH: Nie, tego już nie obaczyliśmy!

SACRANUS: Byle tego być pewnym! Jak i świadczenia białołów! boć wiadoma rzecz — one zawsze z klechami trzymają.

ŻACZEK BRATUN: (Do Zbyluta i Wrocha) Zobaczycie, że i tak dziewczom Majorzy i Seniorzy uszu nie wytargają.

ŻACZEK ZBYLUT: I nie zazdrościć tu pannom!

ŻACZEK WROCH: (z dąsem) Im, to nijakiej krzywdy niekaj nie robią, a nam nijakiej przyjemności. (Do starszych) Możemy odejść?

(Niemiera odprawia ich gestem i rozmawia z otaczającymi go scholarzami).

ŻACZEK ZBYLUT: Chodźcie grać w „kaszke” albo „extra-metę”.

ŻACZEK WROCH: Chyba w „pół mety”, i „obertankę”, bo w trzech za mało.

ŻACZEK BRATUN: Powtórzę se półmisek, „Wazę”, „Nóż” i „Widelec”, bo do tych figur trzeba zręczności, mówię wam!...

STRUTHENIUS: (który się im przysłuchiwał) Ej, Bratun wybiera zawsze coś koło jedzenia (grozi mu).

ŻACZEK BRATUN: (obrażony) Jak będę „medykiem”, to się będę bawił w puszczenie krwi... O! mknij się piłką z ręki na zgięty i podniesiony łokieć...

STRUTHENIUS: Bawcie się w „odbijankę” (bierze piłkę) O, chwytką, tak! nogą... w biegu... Mówię wam, ta gra ma wielką przyszłość!...

ŻACZEK BRATUN: Jak wasz puls, a muzyka Wrocha. Chodźcie! ja „Raczkim”... (Chwyta piłkę, cofając się). Król musi umieć i to. (Starsi scholarzy podchodzą naprzód sceny).

RÓŻANKA: Baczcież boć tu ważny zakus na studencką cześć jest, by studiosus od prostaków padł, nawet nie od zbroi, ale jakowegoś kuchennego noża!

GŁOSA: Choćby winnych obronić chciano, prawdy zamalować nie damy!

SCHOLARZE: (jeden przez drugiego) O! pomścimy go! — Nie damy się lżyć!

NIEMIERA: To nie zemsta! Czcici koleżeńskiej i przywilejów stanu akademickiego bronić mamy.

WILGA: Sprawiedliwość jeno z trudem osiągniemy, bośmy użyli sami korda, a nam broni nosić nie wolno.

GROZA: Aha? Tylko od cudzej paść? Nie! To krzywda!

RÓŻANKA: Muszą nam zadośćuczynienie dać!

STRUTHENIUS: Nam i całemu gremium scholarzy.

RADWAN: Tak, macie słusność, ale zrobmy formalnie. Przedstawmy sami sprawę senatowi. Wybierzmy konsulów...

ROSARIUS: Na bok jurysty! żadne odwlekacze! To najgorzej. Sami sobie zrobmy sprawiedliwość!

NIEMIERA: (mitygując) Spokojnie, koledzy! Wszakże jesteśmy społecznością ludzi dojrzałych!

WILGA: Kiedyście tacy przemądrzali, postanówcie, jak się to i kiedy skończyć ma.

ROSARIUS: Zabójca musi iść do wieży i dać gardło.

GROZA: Strelimusówna też, bo ta gamratka rozdmuchała zarzewie bitki.

ZABOR: Nie dadzą nam sprawiedliwości zobaczycie, bo i sługusów poturbowano walenie nazajutrz, a rektor Magnificus przy każdej okazji zawsze o tę broń się z nami para.

ROSARIUS: Tak ci będzie! Tak ci będzie! Jeszcze nam promocje odwleką!

BEAN: Jak wy moje otrzęsiny!

(Posmutnienie i ucieszenie ogólne).

NIEMIERA: *(z zapalem)* Kompani drodzy! Na to ino zważać potra, by honor nasz studencki był w cale! Krzywdę zmyć musimy! Gotowiśmy! Radźcie, niech każdy pomysł i zdanie da!

WILGA: Chodźmy hurmem do króla Jegomości, on nam zawsze rad!

SACRANUS: Przedtem zwołamy magistrów, doktorów, lektorów, niech sprawdzą...

GROZA: A nie, to opuścimy tę Almę Mater...

ROSARIUS: Tak, lepiej nie zwlekać i gremialnie Studio opuścić!

RADWAN: *(oburzony)* Co? Naszą Alma Mater porzucić? Te mury? Co Kopernikusa światu dały, tych mężów, a następców jego mądrych a łaskawych, co w czasie synodów przed forum świata jak Hozjusz najmędrszych sądzą, a namby mało było ich serca i głowy? rzucić przed czasem lektorja, gdzie ci pierwszy raz serce zabiło, jakeś jeden i drugi nie z musu, ale żądny i cały drżący, rąbek wiedzy uchylał...

RADWAN: A gdzież nas jak tu, przeżywią, od płacy, a dla miłości Bożej uwolnią...

ROSARIUS: *(gniewnie)*: To sobie ostań! i żebraj chleba, litości i... kijów... My pójdziem w świat!

RADWAN: Ależ rozważcie! Za jednego druha skazywać tylu na poniewierkę, tułactwo! Nikaj, jeno tu jesteśmy twierdzą i placówką mocną! Jak nas zabraknie — kto jej straż obejmie?

NIEMIERA: Prawy syn z ojczyzny nie wychodzi nigdy, aby duchem w niej nie tkwił do rdzenia! Ale, bracie Radwan! To że jeden ino zginął, to o jednego za dużo! Wszystkiego w zamian ten jeden wart! Jak jeden krzywdę ścierpi, to po nim, jak po ławie przejdzie hańba i wszystkich nas się imię! *(Wchodzi Łaskotek, potem Kampsor).*

ROSARIUS: Racja Niemiery!... Jeden za wszystkich! wszyscy za jednego! a powód dość słuszny jest. Uczniowie Sorbony wszystkich nacji, opuścili swe studio, gmachy, wykłady, bursy, dlatego, że w gospodzie uniwersyteckiej podrozżyli scholarzom wino, a mybyśmy się wzdragali tego uczynić, gdy nam kolegę zabito? a drugiego zamknięto?

NIEMIERA: Warujemy też życie was wszystkich i cześć.

ŁASKOTEK: Tak! życie, cześć i wolność. Ale jakom słyszał, na obcych uczelniach też scholarzy są w nacje złączeni, ale tak są świebodni, że wybierają sami rektorów, a w studio, którego są twórcami, sami rządzą. Tam dążmy!

RADWAN: Ho! ho! Jak to pilno z radą, a wyjazdem! A ja, boję się, Panie, odpuść *(spluwa)* żebyśmy gdzie po drodze na jaki babski wykład nie natrafili, bo: *(z naciskiem)* też „jakom słyszał!“ Wstyd powiedzieć *(spluwa ponownie)* że i białogłowy się na katedry gramolą! *(Łaskotek próbuje pręta)*. I trzeba im twarz wtedy zasłonić, niby oczy narowistym krowom nieprzymierzając.

ŁASKOTEK: *(dumnie, idzie wprost na niego z prętem)* Tylko nie dla narowu, a dla piękności! Bo wybyście tylko na usta patrzyli, a nie na to, co z nich wychodzi!

GROZA: A ino! Kto u białogłowy czego inszego patrzy, ten chce i kwiatu i owocu w jednym ocmgnieniu!

KAMPSOR: *(który wszedłszy przed chwilą, uważnie się przysłuchiwał, kiwając głową, zbliża się)* Imci panowie a wielmożne studenty i wadzą się i radzą, a na czym stanęło? Jedziemy? Ostajemy?

GROZA: To się pokaże! Tymczasem gotuj Kampsorku floreny! Zdadzą się!

KAMPSOR: Czemu się nie mają zdać? I mnie się zda pas lity waszej Wielmoży! Oh! fajny kamienie! i tak gęsto kute. U mnie jasny paniczu nawet pewniejsze niż w drodze! Tam złodziejaszki... niby lizunie, a lichy wie *(robi krok wstecz, ruch wstrętu)* jakie przybłądy!

GROZA: Ano! może masz rację. Bierz to Kampsorze, a przechochowaj mi go święcie; *(rozpina pas i podaje bankierowi, ten go troskliwie opatruje, gładzi, jakby z pieczęcią)*.

KAMPSOR: Proszę się nie troszczyć! A Jasny Pan Niemiera ma dość zapasu?... na wypadek... broń Boże!

NIEMIERA: No, niewiem jeszcze, jak postanowią. A odemnie co chcecie w zastaw?

KAMPSOR: Od jasnego panicza ja nie chcę nic!... (z godnością i przekonaniem) a wystarczy mi, wasze słowo jak czysty klejnot herbowy! To jeszcze nawet mam ja o łaskę prosić.

NIEMIERA: Wy? A o cóż to chodzi?

KAMPSOR: Wnuk mój odjechał stąd wczoraj, studjować dalej w Italji. Mam tu i tam powinowatych, ale jabym go wam oddał, by choć z daleka w waszej światłości siedł...

NIEMIERA: Ale! ale! Cny Kampsorku! Wasz młody Naho, nie jest znów taki niezdarny! Zresztą jest nam oddany. Każdy go obroni! Jesteśmy wszyscy scholarzy czystej wody.

KAMPSOR: Naho skierował się na Śląsko. Jakby Wasze Wielmoża nie bardzo zwlekali... na bliskim postoju go jeszcze spotkacie. Straż choć niewidoczną, ma jednak pewną, która wielmi Waszej Miłości i cnym kompanom ugodzi. Byście ino panie rzekli...

NIEMIERA: Nie padłać ona ugoda jeszcze... A gdyby czas przyszedł, od tegoście uniwersyteckim bankierem, żeby nam na rękę iść!

KAMPSOR: (*kłania się*) Do pokornych a chętnych usług Jasnego panicza. Wszakże Wasze Dostojności rozeznają w drodze naszych ludzi.

BEAN: Ale! ale! nie troskajcie się o to: Bóg przebaczy, ludzie zapomną... ale nos — zostaje!
(*Wesołość wśród scholarzy. Kampsor robi zrezygnowaną minę i wśród pokłonów wychodzi*).

WILGA: Jednakowoż radzę wam wszystkim, duśmy stąd, a gdzieindziej się znów zbierzemy!

ZABOR: Prawda jego! Wszędzie w akademiej wiszą świeże ordynki, jako, że nam nie wolno się kupić ani na placach, ani na ulicach, ani w bursach.

ROSARIUS: Widzicie? Nie wolno! nie lża! Ani! Ani! Ani! Niby żakom trywialnym! (*Słychać dzwonek na Anioł Pański. Wszyscy odkrywają głowy*).

CHÓR: (*minorowym, smutnym głosem*) Świeć mu Panie! (*Z kapli w bramie Florjańskiej przechodzą głębią sceny: Bogna, Krysia, Hanka, nie zatrzymując się. Na ich widok, postawy*

scholarzy pełne szacunku. Wchodzi Janek poeta z trąbką na pół rozwiniętego papieru, czyta):

JANEK POETA: ...Pożyłeś mało! O! cześć ci wśród Cieniów! Druhu dla czynu zagaśły męznego!

Zabrakło ci lubej, kolegom... rodzinie,

Ojczyźnie, Mędrcom — bohaterem... ty byłbyś...

(*W czasie czytania wchodzi niepostrzeżony Dziekan artystów i Extraneus humanista; zatrzymują się w głębi z poszanowaniem. Po 4-tym wierszu Janka, nagłe poruszenie scholarzy do ucieczki*).

GŁOSY: — Uciekajmy! Pędź kto może! — Żywo! Dalej braty!

NIEMIERA: (*daje znak ręką*) Stójcie koledzy! (*Odwracają się, przystają, uspokojenie ogólne*).

Scena III.

(*Ciz, Dziekan artystów i Extraneus Humanista*).

DZIEKAN ARTYSTÓW: (*Wspiera się na wysokiej lasce, mówi głosem przytłumionym*) Tak Ichmościowie mili! Gdy młode serce bić przestanie, to ból nad bóle, wam, rodzicom, i ojcom ducha jego wśród nas. (*Występuje jakby na powitanie*).

NIEMIERA: (*zamieniając ukłony*) Za miliony iście to serce bićby mogło! i resza serc innych, od jego uderzeń, drgała by przez wieki potracona gorącym tętnem... I to naszą krzywdę tem straszniejszą czyni, Wasza Dostojności!

DZIEKAN ARTYSTÓW: (*skłania kilka razy głową, potakująco. Poruszenia i gesta wyzywające scholarzy*).

GŁOSY: — Gorze krzywdzicielom! — Biada im! — Bodaż przepadli!

NIEMIERA: Oto nieprawość nam się stała niesłychana! Kolega nasz! szlachcić! Litwin! zbratanego narodu syn, padł od zbrodniczej ręki i to w chwili, gdy bronił czci studenckiej od dotknięcia przez uliczną dziewczkę! To jakby każdego z nas honoru strzegł. (*Tumult wśród scholarzy*).

GŁOSY: (*jedne przez drugie*) Cześć studencka ponad wszystko! Braterstwo! — Wszyscy razem! — przeciw całemu światu!

NIEMIERA: Bo my węglem jesteśmy ziemi tej. I dzierżyć ją będziemy jako dziedzice i rządzić kiedyś jako ojce narodu.

DZIEKAN ARTYSTÓW: Oby wedle filozoficznych praw, wieczystego pokoju!

NIEMIERA: Tak, w pokoju, ale gdy wojna padnie, w słusznej wojnie i to nie tylko o ziemię, ale o tej ziemi odwiecznej chram świętego zwyczaju, przepieczności obejścia i domu, a dziedzictwa i mocy dziadów dla piękna i siły wnuków!

ROSARIUS: Toż nie damy zmarnieć latorośli odciętej nie-ludzko, by pnia nie dała tęgiego!

BURSARZE: Nie dozwolimy się krzywdzić!

SCHOLARZE: Sprawiedliwości nam trza!

DZIEKAN ARTYSTÓW: Znana mi jest żałość wasza i śpieszę ją z wami podzielić.

GROZA: W jej też imię żądamy ukarania winnych!

DZIEKAN: Miarkujcie słowa, aby zasie i wam nie przypadła część kary! bo kto mieczem wojuje — od miecza ginie!

NIEMIERA: Nie dozwólcie Wasza Dostojności, abyśmy tę część prawa, które się przywilejami papieży i królów naszej czci studenckiej należy — sami wzięli!

DZIEKAN ARTYSTÓW: Ho! ho! butnie sobie waszmościowie poczynacie! A ja was przestrzegam: rozważył jednej miary przewinom! Boć w sukniach świeckich, a nie akademickich siła broicie i pchnięcia od zbrojei były, czego statuty uniwersyteckie wzbraniają.

ROSARIUS: Ale i druga strona słuszności uraga, bo się od indagacyjej usuwa i tem prawdę zamalować chce!

SACRANUS: Owóż i to niewyświetlone jest, czy Jegomość Prepozyt doma nie był, a o krzywdzie scholarów nie wiedział, a swej władzy nie pożałował, by zatargnięcie zaraz w zarzewiu uładzić.

DZIEKAN ARTYSTÓW: Właśnie w tem jest sedno, a źle trafione. I w śledztwie skutkiem tego, wasze oskarżenie poszło na opak.

BURSARZE: Jakoże to?

ZAKI: Może li to być?

GŁOSY: Oho! znowu praktykarskie sztuczki!

— Sofisty zatracone! — Nowe wykręty!

— Prawda jest prawda!

— Nic ponad słuszność w świecie!

EXTRANEUS HUMANISTA: *(który dotąd się milcząco przysłuchiwał, jednak minami przytakiwał scholarom, mówi*

drwiąco) Oczywiście! Przykrawa się trochę togi dla osłonięcia prawdy, bo całkiem goła, nieskromnieby wyglądała!

DZIEKAN ARTYSTÓW: *(surowo)* Okryta, czy nie, prawda jest rzecz jedna, a sekwencja jej siostra. Jeżeli oskarżenie żaków poszło na karb Jegomości Prepozyta, a on alibi udowodnił jako, że do późna był z nami u księdza J. Czepela, to sobie tylko młódź nierozważnie winę oszczerstwa przyczyniła.

BURSARZE: Słyszcie! Znowu mącą! Chcą odwlekać!

GROZA: Osypać sprawę proszkiem ellebory!

GŁOSY: Tak! tak! — Juścić nie inaczej — ku omamieniu nas prą! — Metlarze a nie opiekalniki!

DZIEKAN ARTYSTÓW: Ostawcie Ichmościowie sarkania na co insze, waszej obrazy godne, boć to gorzej, że milczkiem tu się inne zło nagodzi! Ufność między nami kotłują osobiste urazy, farbując się dobrem publicznym. Od dawna już nurtują tu prądy, byście te święte i drogie mury opuścili. To bakałarz odrzucony, to kamrat vagabundus błyska przed wami błędnym ognikiem przygód Rynalda i Sakrypanta, a tymczasem łada drabant w piętę traffarem się staje i Wam, jurnym Achillesom przewodzić chce...

HUMANISTA EXTRANEUS: *(sarkastycznie)* Jeżeli to mnie przytyk, Magnificencjo, widzę z tych słów, że tych oto wysokourodzonych kawalerów na bezdroża wiodę!

DZIEKAN ARTYSTÓW: Dobrze, żeś się waszmość opatrzył! Już dawno mi tutaj wasze bruździsz, tem wywabianiem z gniazda piskląt żółtodziubych a puchem ledwie porośłych!

(Trącanie łokciami wśród scholarów).

GŁOSY: Toć nie ja!

— To nie do mnie!

— Choć student, ale Sobiepan!

HUMANISTA EXTRANEUS: Próżno im orle oczy zawiązać, albo kapturek jak sokołom przed łowami wciskać na łeb! Choć skrzydeł owe ludzkie pisklęta nie mają, wszakoż niby Ikarowi, nikt nie zabroni ku słońcu wzlatać!

DZIEKAN ARTYSTÓW: Naszeć atoli starszych baczenie w tem, by dużo w siebie mocy brać i umieć ją dawać a hojnie, dopóki im siły nie stężeją. Im zaś dorodniejszy,

a więcej utwierdzony będzie ów duch ludzki, naszej własnej rasy duch — tem pewniej, a nie błędząc, nad granice państw i stanów uleci, tchnięty znamieniem wybrańców, czy oni z tej, czy z tamtej strony gór, rzek i mórz!

HUMANISTA EXTRANEUS: Słuszna wasza mowa! To też zwólcie im już teraz granice przekroczyć: jako świata obywatelom!

DZIEKAN ARTYSTÓW: Nie kojcem jest nasze Studio! A wy nie bądźcie wywabiaczem na lep! Ja sam wzlatałem i szymbowałem, padając to z głodu, to z unuzenia, szukając górnej „Civitas Dei” i zestarzałem się, a nikaj nie znalazłem miłszej macierzy od tej, co gniazdo rodzinne usłała.

HUMANISTA EXTRANEUS: (z ironią) Anoć! zdarza się czasem, jak owemu Litwinowi, Jurasowi z Pienian, że pisklę z gniazda strząśnięte bywa!

DZIEKAN ARTYSTÓW: Los nie sami ino dzierzym w dłoni! Gmatwa się on szarpaniem przyczyn i skutków, ledwie nam z kraja, po wierzchu widocznych — o wątku znanym jeno Panu nad Pany! Co w ludzkiej mocy jest, uczynim jednakże by się nietylko sprawiedliwość ale i miłosierdzie stało!

SCHOLARZY: — Iste! — Hurrah! — Vivat Dekanus artista-rum!

NIEMIERA: Pamiętajcież o tem Wasza Miłości, a czci naszej brońcie!

DZIEKAN ARTYSTÓW: I wszystkim razem i każdemu z osobna, co świętego chleba nauki łaknie i wysoko dzierży godność studenta, niech mu się po myśli stanie.

GŁOSY STUDENTÓW: Dobrze mówi! — Dla nas jak ulał!

WSZYSCY: Lepsza zgoda od niezgody!

NIEMIERA: Ale Dostojskości wasza będzie bronił słusznej sprawy?

SACRANUS: I przed królem Jegomością?

ROSARIUS: I przed Magnificencją rektorem?

JANKO POETA: I przed całym senatem?

DZIEKAN ARTYSTÓW: Dzieci drogie! Synowie moi! Dla was mój trud i plon, ale jako wiecie, jeden dzwon — jeden głos! A wasza sprawa zawiła jest.

NIEMIERA: Polecamy się łasce a ojcowskiej miłości waszej magnificencji (*Pokłony*).

(*Dziekan artystów powolnym krokiem oddala się wśród ukłonów. Wchodzą ojcowie, matka czeladnia, płatnerz, Haza Unglerowa, kantor, praczka, szragarki i otaczają dziekana*).

EXTRANEUS HUMANISTA: (*do scholarzy*) Widzęc ja, że mój posiew wolności a swiebody wszechludzkiej, na kamienie, a jałową i niegodną ziemię pada, boć oto karki ku obroży zginacie znowu!

NIEMIERA: Jak to wasza Miłość rozumie?

ROSARIUS: Doradźcież i wy panie, co robić mamy...

EXTRANEUS: Uważować na swe przywileje! Nowych dobywać... (*kupią się koło niego, rezonują, Extraneus peroruje, siadłszy na kamieniu u węgła domu; w tej stronie dalsza scena mimiczna*).

JEDEN Z OJCÓW: (*zatrzymawszy Dziekana artystów, z którym chwilę rozmawiał*) Wasza Magnificencyo, a obraniajcież mi syna! Rwie się junak kęsi na złamanie karku!

MATKI i OJCOWIE: — I mój! — i nasz! — i mój!

STOGNIEWA: Prawda li to, że już zamilkną msze z figurami, a kościoły zalegnie cisza?

KANTOR: A takież! a takież! Jakże ja chorus poprowadzę, kiedy mi wszystkie tenory, basy a barytony niby ptaki wędrownie w jesieni wypowiedziały chór, sola i całe śpiewanie!

MAGDA: A tu maj zaledwie, a im się już odlotu o głodzie i chłodzie zachciewa!

CHÓREM RODZICE, KANTOR I. I.: Nie puszczajcie ich Jegomościowie, nie puszczajcie.

(*Scholarzy prostują się dumnie z minami niepodległości*).

DZIEKAN ARCYANÓW: (*torując sobie drogę*). Ależ mili nam wielce mieszczanie, panowie i cne niewiasty! Toż jest nas wszystkich troska, aby się waszym latoroślom krzywda jakowa nie działa.

STOGNIEWA: A inoć zakłuli jednego nieboraczka...

DZIEKAN ARCYANÓW: Bo właśnie wykroczył, a sam się na sztyk naraził! Ale od tego senat i rektor, żeby po ojcowsku dzierzono władzę bez słabości ani przemocy.

MATKI: Czuwajta nad niebożatkami.

SZRAGARKI, OJCOWIE, MIESZCZANIE: Miejcie nad nimi oko! — Litujcie się ich! — nie puście ich! (*obstępują go bliżej*).

DZIEKAN ARTYSTÓW: No dajcież mi przejść, dziatki, abym rokowaniu swemu czynił zadość (*tłum rozstępuje się; zwracając się na odchodnym do scholarów*): Uważcież Waćpanowie, jakoście tyloma węzłami zrosli z ziemią, po której stąpacie — i z ludem jej, tak — że oderwać was stąd — to im i wam nerw serdeczny do żywego zranić! (*wychodzi wśród pozdrowień, otoczony częścią scholarów i mieszczaństwa*).

Scena IV.

(*Poprzedni — bez Dziekana arcyanów*).

TŁUM: Ostańcie nam! ostańcie!

GLOSA: (*podpiera się pod boki*) To się jeszcze pokaże.

WILGA: (*ramiona skrzyżowane na piersiach*) Zobaczyć się dopiero!

ZABOR: (*rozkłada ramiona, tonem wyższości*) Będziem delibrować! (*Tłum ich obstępuje, karmi, głaska, częstuje. Żaki jedzą energicznie i rozmawiają w głębi. Na prawo grupa sejmikujących z Extraneusem humanistą, który — gestykulując żywo, rozmawia. Wychodzi z tłumu Haza Unglerowa, zbliża się do Sacranusa, wywabia go z grupy humanisty*).

HAZA UNGLEROWA: I to jest wasze odkazanie, niczem nie ulżone?

SACRANUS: Jakoż chcecie? Wszak ja inaczej, jeno z druhami działać nie mogę.

HAZA UNGLEROWA: I nie baczyście, że ja dla was wszystko poświęciłam? I wstyd wdowieński, a względy ludzkie! I wiano mi mężowskie nieboszczykowe niemiłe i słońce mi nie złote, skoro bez was ku mnie by najjaśniej wejrzy!

SACRANUS: Rad wam i ja za słodycze, których mi nie skąpicie Hazo luba. Zawsze wam za nie wdzięczną pamięć ostawię. Ale czas i mnie o stanie a zawodzie myśleć.

HAZA UNGLEROWA: I opuścicie mnie?...

SACRANUS: Być to może!... Nie zasmucajcież po próżnicy oczu waszych... No żegnajcie mi... (*zerka w stronę Extraneusowej grupy scholarzy*).

HAZA UNGLEROWA: A przecież wam, a nie komu innemu całe mądre rzemiosło nieboszczyka przekazaćbym rada i tłocznię i księgi a pergaminy oddać.

SACRANUS: Widzicie! Jakżeby wam to na wyrozumienie rzec... Moja szczęśna miłość ku wam, ociążałaby mi na miłosne więzy. A tego nie chcę. Zresztą wolałbym ja książki wymyślać i pisać niż je tłoczyć... I tu jeszcze nijakiego umiarkowania we mnie niemasz... Bo ino się astronomiej chycę, anoc mi już medycyna, niby pani wienna drogę zastępuje, a ledwie w misternej maszynerji ludzkiego ciała się rozeznam, już ci mi nowa obca wiedza, niby zakwefiona kochanka w drogę wchodzi i ciągnie wszystkie moce ducha mego, w swoich kręgów świat!

HAZA UNGLEROWA: Alibo nie szanowałam ja waszych pogoni za nauką? O tę jedną waszą lubą zazdrosną nie byłam i właśnie ona mi was bierze!

SACRANUS: Był mi dom wasz cichą przystanią i serce wasze miękkim wezglowiem... To też żegnajcie mi bez żalu i skargi... (*odchodzi ku Extraneusowi*).

HAZA UNGLEROWA: (*wzburzona za nim biegnie, potem staje niezdeterminowana*) Ot! nawet się nie oglądnij za mną! (*Patrzy w jego stronę*) Nie ma nijakiego serca ku mnie!... Ja go miłuję tak gorąco, że się boję sama przed sobą przyznać, czem mi to kochanie jego... A puścić go? (*z nagłym postanowieniem*) To być nie może... Co tu począć? (*rozgląda się po tłumie hołubiącym scholarzy*). A! jest płatnerz!... Słuchajcie ino panie Majstrze... Izalić wam co nie są winni scholarze za zbroje?

PŁATNERZ: I siła, bo to się studenterja byle czem nie zadawała!

HAZA UNGLEROWA: Ano, i dajecie im to przespiecznie w świat iść? Toż nigdy swego nie obaczycie, ani pieniędzy, ani zbroi!

PŁATNERZ: A dyć macie rację na miły Bóg! Przedsię jakieżby im tu wstręty czynić?

HAZA UNGLEROWA: Nasamprzód zdać władzy! Niech ich gwałtem wstrzymają.

PLATNERZ: Dobrze raicie! Pójdzie na ratusz. Oni i tak są zawsze z halabardnikami na bakier. *(Idzie ku tłumowi, rozmawia, Haza Unglerowa nawołuje, skupia koło siebie mieszczki).*

HAZA UNGLEROWA: Słuchajcie mnie kumy! Wiecie, że wam życzliwa jestem. Bóg mi dziecka nie dał, toć mi namilejsze są wasze — jako chrześniaki...

KOBIETY: Bóg wam zapłać!

MAGDA: Nie żałujecie im darów!

STOGNIEWA: Ani nam poczęstunku!

HAZA UNGLEROWA: Tak, ale nie będzie na nie grosza, ani w mej ladzie, ani u waszych straganów, ani u matki czeladnej na libacyje z marcepanami, jak scholarze stąd pójda. Oni tu u każdego borgowanie mają, a dużo z nich fortuny wcale ostawia i u ojców czeladnich i za małmazyję i na przyodziewek i na książki. Jak odjadą, wszystko w niwecz!

PRACZKA: A opierunek mój przepadnie!

STOGNIEWA: Ola Boga! la Boga! Dziewy mi już nie będą znosić jabłek, które nosiły na gorsie, by lubych zczarować! Trzeba było widzieć, jak to żakom smakowało! To był złoty handel!

MATKA CZELADNIA: A na ich „Otrzęsiny“, „Promocje“, obstalunki, refekcje, szynkowania i konfekty miałyby ustać? O, nie! tego sobie wydrzeć nie dam! Pyszczki miodobierne ostaną tu!

(Platnerz, Stogniewa, praczka, Matka czeladnia, gromadzą się ku odejściu).

HAZA UNGLEROWA: Dalej, kuć żelazo póki gorące!

PLATNERZ: Chodźmy na odwach!

MATKA CZELADNIA: Brońmy ich!

STOGNIEWA: Brońmy się!

HAZA UNGLEROWA: Za opiekalców im, stać nam potra! do rajców!

MIESZCZANIE: Do ławników! do burmistrza! Niech ich wstrzymają!

Scena V.

(Część w milczeniu wychodzi, kilku studentów odsuwa się od Extraneusa, idzie naprzód sceny).

ROSARIUS: Atoć Niemiera miał iść Jankowi zdobyć pannę, a Strusiowi książkę o pulsie, sam studjować dekretale na szerokim świecie i zdobyć biret doktorski w Padwie. Teraz go zając przelatuje i opuszczać Studja nie chce.

STRUTHENIUS: Prawdać to? Takoż to na insze skrzydło gonisz? Nuże kanclerzu przyszły nasz! Teraz pora jest i to największa hurmem stąd precz się mieć!

NIEMIERA: *(poważnie)* Pewnie, że iść zamierzałem i nie zapieram się tego, ale nie gwałtem lub ukradkiem i nie pod grozą wyklęcia od mojej społeczności i akademickiej starszyny — ani czego Boże chroń — na zawsze. Aleć myślałem, że tu niby ojce synom błogosławieństwo dadzą i drogę wskażą i powiedzą jakoś tak: „Zgarnijcie tam u obcych skarby wiedzy i nauki, abyście je swojej macierzy z naddatkiem miarą dobrą, natłoczoną a potrząśioną odnieśli...”

KILKU SCHOLARÓW: Tak! Prawda! słusznie gada!

RADWAN: Toż samo jest i większości słowo! Zresztą sprawa jeszcze ostatecznie wcale ku uładowaniu się nie skłania. Ani senat, ani król Jegomość nie rzekli swego przerzeczenia!

EXTRANEUS HUMANISTA: *(gniewnie)* Macie tu giętkie karki jak widzę. Dość mi na tem jednakże, gdy wśród was kilku bodaj obywateli świata przynajmniej swiebodę ducha ustrzeże...

RADWAN: Uczciwszy cześć waszą, nie chciałbym je dwóch sprawiech tu na jednym różnie by kokosze nadziewać, a piec. Wasza Uczoność nam prawi nowinki, które chętnie łykamy jako junosze, alic i to bezspornie mi się widzi, że nas gęsto wodzicie wbrew zwyczajom, na które te oto ręce daliśmy przyrzekający, immatrykulując się na tej wszech-nice.

JANEK POETA: Prawdać to, że mi już nieraz głowę zmyto, zem poza prelekcjami słuchał waszych godzin extra muros, opuszczając lektorja w indeksie oznaczone.

SACRANUS: Patrzcież! Tożem i ja tego samego użył.

SCHOLARZY: *(jeden przez drugiego)* I ja! i ja! — Dziwy! —
I ja także!

RADWAN: Nie dajcież się zwieść! Ostańcie!

EXTRANEUS HUMANISTA: *(gorzko)* Niewdzięcznością jak
widzę karmić mnie szpaczki. Aleć i to nie jest bez
kozery, że tu podobno samki mają nadobne, a urokliwe;
a ta miłosna aura, wyima się by sfera z każdego z was,
promieniując do samiczek raczej niż do kręgów astralnych
nauki...

(Protesty u niektórych Żaków).

GŁOSY: Hale! Baj baj! Inna jest rzecz inna...

NIEMIERA Chmarą i w rumel nas sądzić nie godzi się! Wszakże
nie brak niewiast na świecie! I ci co chcą — mienią nie-
wiele, zmieniając miasta! Wasza miłość jako przybysz
wśród nas, nie rozumiesz może, czym jest dla każdego
z nas, to miejsce, gdzie ujrzał słońce raz pierwszy
lub przejrzał jasność ducha rosnącego w um. Tu ojciec
z dumą na cię spoglądał. Tam macierz, pieściwą dłonią
ochłodziła czoło. Abo mąż wiedzy, niby z równym dy-
skusję z tobą prowadził.

ROSARIUS: *(z godnością)* Tak zbrataliśwa się w sympozionie
duchów tu, a nikaj indziej.

NIEMIERA: Tuśmy, z swoimi i w swoim języku w święto
ojczyste zadyszani triumf skrzykiwali, a w pożar czy na-
jazd wroga od pacholęcia biegli ku wieży, chwytając to-
pór, rusznicę i wyprężali się, by jako męże dotrzeć
ojcom.

RADWAN: Tak, tu nasze miastce!

EXTRANEUS HUMANISTA: *(zjadliwie)* Połknąwszy krzywdę
kolegi... brata...

KILKA SCHOLARÓW: I toć prawda.

ROSARIUS: Co począć?

Scena VI.

*(Wchodzi część żaków gotowych do drogi z tobołami, laskami
podróżnymi z Marcinem Głosą na czele, który trzyma rozwinięty
sztandar z godłami akademickimi).*

NIEMIERA: A wy co?

GŁOSA: Ano! Idziem w świat!

EXTRANEUS HUMANISTA: Otóż to! wyglądają jak dzieci,
a działają jak męże...

RADWAN: Radziej powiedzcie: dzieci, w męża się bawiący!

NIEMIERA: Koledzy! Bracia! Zbyt wcześnie targnęliście się na
postanowienie. Imieniem koleżeńskiej solidarności żądam
od was zwłoki — dopokąd i Senat i Król Jegomość Naj-
jaśniejszy satysfakcji nam nie dadzą.

BURSARZE *(z orszaku)*: Nie! Idźmy zaraz!

DRUDZY: Czekajmy!

GŁOSA: *(na czele)* Cichajta wszyscy. Dobrze! Niech będzie
po waszej woli. Ale działajcie śpiesznie, bo nas ano ma-
mia a mamia.

NIEMIERA: Wraz idę, słowo wasze dierzając.

GŁOSA: *(wyciąga rękę porozumiewająco)* Idźcie przepiecz-
nie!

EXTRANEUS HUMANISTA: *(zwraca się do kilku scholarów)*
A my tymczasem ciągnijmy na swoje. *(Niemiera z częścią
studentów, Extraneus z drugą rozchodzą się w przeciwne
strony).*

Scena VII.

*(Wpada kantor katedry, obiega pozostałych, zagląda im w oczy,
wywijając nutami, zasapany).*

KANTOR: A wy! Żaki łajdaki!

*(Żaki w postawie odpornej, podparci pod boki, jedna noga
noga naprzód, gotowi do wymarszu).*

MARCIN GŁOSA: *(butnie)* Abo co?

KANTOR: Chcecie drapnąć? A nasze msze? a nieszpory? bez
figur? A Królowne namiłościwsze w kaplicach śpiewy
mieć chcą i figury mieć chcą! Rozumiecie? A najjaśniej-
sze królowne tak do mnie kiedy niebądź mówią: *(gło-
sem cieniutkim, słodkim)* „Kantorku nam wielce miły,
a weźcie ta kamień migdałów, a drugi cukru z apteczki
dworskiej dla żaczków gagatków”; Abo indziej, raz po
raz: „Niech im ta dadzą z królewskiej kuchni rybę z sza-
franem... abo pieczenią kruchą, abo kołacz obszerny jak
cłoń libo wielgład jaki, a wszystko pieprzne a imbirne,

od tłuszczu lub miodu ociekające, a to: *(delikatnym głosem i manierą dystygowaną)* „dla żaczków pustaczków!” *(Żaków miny rozjaśniają się, ręką gładzą się z lubością po żołądku, zwracają głowy do siebie z uśmiechem i krzaniem).*

GŁOSY: — Ho! ho! — Ano tak! — Bywało! bywało! — He! he! — Wieręc, nie inaczej!

KANTOR: A? Przyznajecie? A wy dyszkanty drabanty! Jakże ja motety bez was w sklepienie katedry wysłę i w niebo na chwałę i ziemi na moc! *(Wraca kilka mieszczek i mieszczan).*

MIESZCZKA z Klepardyi: Zamilkną świątyni!

KANTOR: A, Basy osły! Kto mi fundament chórów tych podłoży? *(Żaki spuszczają głowy i ramiona).*

MIESZCZKA z Łobzowa: Oj! już się nie będą szyby trzęsły w marjackim kościele od ich huk!

MIESZCZANKA z Krowodrzy: Niema kapeli, niema nabożeństwa!

KANTOR: *(wzruszony)* A! tenory kokodryły! Wy słowiki chór!

MIESZCZKI: *(jedna przez drugą)* Tenory? Słyszycie? Tenory! ah! Tenory! Nie wypuszczajcie tenorów! *(Żaki zbliżają pięty razem, kładą tobołki na ziemi).*

KANTOR: A wy! soprany, pasibrzuchy! A alty! Kontralty hultaje! *(biega od jednego do drugiego)* wy! moje... moje... syny! *(pada wyczerpany na kamień graniczny Clepardyi, zakrywa twarz rękoma. Chwila milczenia. Bursarze opuszczają nisko głowy).*

MIESZCZKA z Łobzowa: Opustoszeją szkoły... ścichnie dom!...

MIESZCZANIN z Krowodrzy: Zamrze miasto! *(Bursarze przeciągają nosem, ten i ów łzy ukradkiem ociera. Wzruszenie ogólne).*

MIESZCZANIE i MIESZCZKI: Ostańcie! ostańcie!

GŁOSA: *(na czele, wesóło)* Mili nam wielce panowie, Mieszczany, Mateczki a cne panie! Chocieście ta czasem i swarzyli na nas, toć widząc jakeśmy razem spojeni, nie od tego jesteśwa... *(Przyjazne ogólne poruszenie. Scholarzy rozluźniają szeregi, podnoszą głowy. Rozradowanie u wszystkich. Wchodzi kilku halebarników, Stogniewa, Magda, płatnerz, praczka, Matka Czeladnia).*

STRAŻNIK: *(hardo)* Stać! ani kroku!

GŁOSA: *(oburzony)* A to co za ordynek?

STRAŻNIK: Taki, że nie śmiecie wyjść stąd żadnym szlakiem.

BURSARZE: *(prostują się odpornie, zadzierają głowy)* Co? co? Nowy gwałt! przemoc!

STRAŻNIK: Niechta będzie co chce, a wy stąd wara! Sprawiać się nie mam komu, żółtodzioby! *(spisą ich na poprzek rozgarnia).*

Scena VIII.

(Wracają: Niemiera, Sacranus, Rosarius i in.).

NIEMIERA: Co się tu dzieje?

GŁOSA: Nie widzicie? Znów traktują nas bez baczenia na stan nasz akademicki!

STRAŻNIK: Tu jest ulica, nie stan!

GŁOSA: Ale nas, senat tylko prawo tykać ma.

STRAŻNIK: Niech se ta kto chce i komu chce piosnkę nuci, ale ja stąd śpiewaków, dłużników, artystów, jurastów, chwilozofów puszczać ni mam i basta! *(Nachodzi na nich zaczepnie wraz z innymi strażnikami).*

NIEMIERA: Niechajcie! Odstap wasze! Jestem ich Collega Maior! odpowiem za nich! *(Strażnicy zatrzymują się).*

GŁOSA: I jakież wieści przynosicie?

NIEMIERA: *(niechętnie)* Jeszcze nas odwlekli! Senat jeszcze radzi, dowody za i przeciw zbierając, aby zbadać rzecz dokumentnie. A do króla Jegomości, druga partja akademickich wysłanników dostać się nie mogła. Podkancle-rzy Mikołaj Grabia ich nie dopuścił. Ksiądz kanonik a Rektor Prokopiades i bakałarz Odachowski gotują się przemawiać przed obliczem króla.

MIESZCZANIN z Krowodrzy: Nie przyczyniajcież Jego Miłości i wy trosk a wrogów!

WILGA: Myśmy też dzieci jego! Niech nas rozsądza! Ale gdy z nikąd studenckiej czci ulga nie przyjdzie...

NIEMIERA: Wtedy, bracia, skupimy się jeszcze zwarciej *(wyrzywa chorągiew akademicką przewodnikowi wędrownych Żaków)* i działać będziemy jak jeden mąż! *(staje na czele pochodu).*

BURSARZE: i ŻACY: (z zapalem) Jeden za wszystkich.

Wszyscy za jednego!

WILGA: Wtedy dopiero, wtedy pójdziem...

NIEMIERA: (z głębokim smutkiem, uroczyście) ...w kraj świata!

CHÓR: (intonuje): „Ite in orbem universum“...

Kantor wstaje, rozgląda się na wszystkie strony, jakby obudzony ze snu. Zatyka dłońmi uszy, pochyla nisko głowę, łkając).

Kurtyna.

Wyjście żaków krakowskich. (Matejko).



AKT III.

W PADWIE.

(Akcja odbywa się w sali przyjęć starego ratusza: Palazzo della Ragione. Ławy, krzesła, w jednym rogu wzniesienie, podjum, katedra, lub coś podobnego).

OSOBY III. AKTU:

FALLOPIUSZ, doktor Fundamentarius

KORNAR, konsyljarz nacyi Oltramontanów

GELANDINUS-ŚMIESZEK, Docent

JAN ANIOŁ

BARDO

DANTE VANNER

} Juryści Citramontanie

NIEMIERA, Collega Major

RÓŻANKA vel ROSARIUS

STRUŚ vel STRUTHENIUS

SACRANUS z Oświecimia

BEAN Nowicjusz

} Ultramontanie

URSZULA z BORÓW, jako Scholar Ursus, Łaskotek-Niezbliżek
przezwana

BEATA, siostrzenica Fallopiusza, przebrana za wróżkę Trzech
Królów, Befanę

BOGNA, pątniczka, żałobna

KARLA

LIKORIS

ZANINA

} Nobildonny przebrane za Elfy, w służbie czaro-
dziejki Befany.

GITARZYSTKI

SCHOLARZE, MAGISTRZY, JURYŚCI, ARCYANIE.

AKT III.

BEFANA. — PIERWSZY ŚNIEG. — TWIERDZA
MIŁOŚCI. — KŁOPOTY IM- I EXMATRYKULACJI.

Scena I.

(Beata jako Befana. Zanina, Karla, Likoris, Urszula z Borów (strój kobiety na studenckim); Bogna jako pątniczka (strój prawie klasztornej). Wróżka Befana z koroną na głowie, w otoczeniu dziewic ustrojonych w jakiekolwiek malownicze szaty z baśni. Panny wykańczają ubiór Befany).

KARLA: Nareszcie! Chociaż czubek twojej czarodziejskiej korony, ma jeszcze zawsze ochotę zbaczać na lewo! Pozwól łaskawie! *(Poprawia fantastyczną koronę Beaty).*

ZANINA: A twoja stopka, zawsze jeszcze przystępuje za długi brzeżek twojej czarodziejskiej zasłony! To istna rozpacz! Pozwól łaskawie! *(Kłęcząc z lekka strzepuje suknię Befany, oddala głowę i przygląda się swemu dziełu z oddalenia).*

BEFANA: *(Niecierpliwie, ale serdecznym, wesołym głosem)* Ależ miłe, ukochane moje druchny! Wasze dzieło jest niezawodnie jak najpiękniej wymyślone i wykonane. Dzięki! Dzięki! Ale teraz pieśń! Żywo! Żywo! Żywo!

LIKORIS: Jakoże to? Bez czarodziejskiej różdżki do kierowania chóru?

ZANINA: *(powstaje szybko)* Nieba! Gdzież jest czarodziejska różdżka? Bez niej przecież wszystko na nic!

BOGNA: *(która ją zdobi jeszcze)* W sam raz! oto jest gotowa!

BEFANA: Doskonale! No, teraz już tylko śpiew!

ZANINA: I pieśń i cały korowód musimy jeszcze powtórzyć, aby się wszystko wszystkim podobało.

(Panny śpiewają na do, re, mi, fa, sol kolendę: „Lulajże Jezuniu“ z gestami wdzięcznymi, zamykając i otwierając koło z Befaną w środku).

KARLA: *(kłania się, trzymając feston z pomarańcz i innych owoców)* Witaj nam Befano, wróżko cukierkowego i owocowego święta! Rozkazy two spełnione!

LIKORYS: *(podchodzi z drugiej strony — j. w. porusza festonem confetti)* Odtrąbiono na „Placu Owocowym“, że dzieciarnię całą naszego miasta zaprasza się na festyn, by otworzyć potem i starszym uciechy karnawału.

ZANINA: *(zbliża się z tacą zabawek)* Oto lalki, piszczałki, bębny, kręgle, bączki, młynki dla naszych słodkich milusińskich! A wszystko z wstążkami, chorągiewkami, by utrwalić pamięć dobrej, pięknej, wróżki Befany.

BEFANA: Dziękuję wam. Praca wasza i trud same śliczności, samo szczęście dzisiaj rozsieją, jak ten śnieg raz pierwszy tego roku brylantowe gwiazdki sypiący na ziemię.

KARLA: To prawda! *(zbliża się ku oknu)* Świat wygląda, jakby się całe niebo aniołów wypierzało!

BEFANA: Ale pomyślmy też o starszych! witając przedewszystkiem dwie nasze drogie pątnice: Urszulę i Wielebną Bognę, im dajmy pierwszeństwo w dzisiejszym święcie! *(Zbliża się Urszula w ubraniu kobiecym, rodzaj domina, któreby łatwo zdjąć z męskiego stroju scholara; włosy opięte w złotą siatkę. Bogna ubrana prawie w klasztorny habit, krezy białe koło szyi i rąk).*

KARLA: Witamy! Witamy! i do grona swego zapraszamy!

BOGNA: Dzięki za gościnne serca, owszem, pomagać będę chętnie — ale od uciech, wołałabym się usunąć do naszego klasztornej zacisza „Dobrego Pielgrzyma“.

LIKORYS: Jest że to przyrzeczona tego oltramontany, którego zakłuto?

BEFANA: *(serdecznie)* Biedniatko! *(ściska ją)* Rób, jak chcesz! *(do panien)* Czuwajcie nad nią, aby jej dobrze było wśród nas. *(Karla i Zanina ujmują Bognę pod ramię)* A spieszcie się, by o zmierzchu wszystko było gotowe. Damizelle! rozwieszajcie festony, układajcie owoce, zapalajcie lampki kolorowe!

(Do Łaskotki) A Urszula mileńka, niczego nie zażąda od wróżki Befany?

ŁASKOTEK: *(po widocznym wahaniu)* A możeby i tak było... ale cóż! to czego zażadam nie będzie ani łatwe... ani może dla was przyjemne.

BEFANA: *(z przymileniem)* O! powiedz tylko!! od tego się jest wróżką raz w rok na Trzy Króle, aby po wszystkie niemożliwości sięgać choć myślą!

URSZULA: Ano widzicie! A ja już drugi rok, dzień w dzień z tem niepodobieństwem igram!

BEFANA: Wiem, żeście pielgrzymkę długą i trudną odbyli. Ale i o tem rozpowiadano, że Collega Major z waszego Studja dzielnie wam hetmanił i nawet żydzi w podróży ulgi wam, a ułatwienia czynili. *(Łaskotek robi minę obojętnego uznania. Befana ujmuje ją w pól, nachyla się do jej ucha)*. A może przy tych termedjach serduszko się gdzie zapodziało mojej mileńkiej Urszuli, bo widzisz kochanie *(z miną ważną, uroczystą)* sprawy sercowe są najgorzej nieprzebieczone ze wszystkich! *(Pieści ją)*. Rybko złota moja! Kwiateczku leśny! bądź szczerą! Przyznaj się... No? Widziałam tego waszego szlachetnie urodzonego scholarza i wyznaję, że trudno o piękniejszego Apollina! *(z dąsem)* Tylko cóż? Jak się go spotka, patrzy na człowieka tak, jakby to była najzwyczajniejsza w świecie rzecz, widzieć ładną i zgrabną damizellę!

URSZULA: To on! to Niemiera! bez zawodu! Niczemu się nigdy nie dziwuje! Ustawnie się czegoś pięknego spodziewa. Zawszem i ja ku niemu czuła żywą i tkliwą skłonność. *(Wzdycha)* Być może jemu głównie winnam to wielkie rozmiłowanie w nauce, które mi niby głód ustawiczny wnętrzości targa!

BEFANA: *(zgorszona)* O! czy być może? I mało wam to być piękną i zalotnikami otoczoną?

URSZULA: Owszem! nie jest mi to wcale przeciwnie! To też się nie skarzę! I wiesz co spostrzegłam nawet?

BEFANA: No co?

URSZULA: Że uroda wiedzy, a wiedza urodzie nie wadzi! *(z zapalem)* O! Wiedza wogóle niczemu nie wadzi!

BEFANA: No proszę! *(zdumiona)* Prawda ci jest! *(Przygląda się bacznie Urszuli)* Nawet wam daję jakiś luby wyraz zuchowatej słodkości, a nasza mina... nasza...

URSZULA: *(rezolutnie)* O wasza! wasza! jest też iście jakby Kraśnica, nasza bogini miłości słodka i okropnie dobra! to też nie przeszkadzała mi uciekać od zerkadła do ciotecznych i stryjnych, którzy mię zaraz uczyli z wieczora, co ich magistrowie im za dnia wyłożyli! Aż potem zapragnęłam sama bez tych pośredników Studio Generale przejść własnymi nogami... i...

BEFANA: *(przestraszona)* Bój się Boga Orszuleczko! i co?

URSZULA: No! zwierzę się wam, jeżeli mi zaprzysiężecie tajemnicę!

BEFANA: *(podnosi palec w górę)* Jak ryba! choćby mnie posiekano i usmażono!

URSZULA: *(rozchyła suknię i ukazuje strój scholarza, rozpina siatkę, roztrzępuje włosy po bokach twarzy i szyi, Befana cofa się przerażona i ogląda niespokojnie)* No widzicie! I ja takż jestem strachem podszyta! Raz w naszym mieście dwu za mną gadało: „nie chłopiec to, ale dziewa w szaciech scholarza. Zdziałajmy co, żeby się o tem przekonać!” Świsnęłam im, jak strzała do stryjny, bez tchu, ale odtąd duszę mam na ramieniu! Teraz myślę, że mi tu wśród obcych może będzie przepieczniej!

BEFANA: *(z wielkiem zakłopotaniem)* Nic wiedzieć nie można! Ale bądź pewna Orszuleczko moja, że i jako Befana i jako siostrzenica profesora tej akademiej, wszystko zrobię, co w ludzkiej mocy, żebyś uniknęła prześladowania! Bywaj u mnie jak najczęściej w „Ogrodzie Botanicznym”, gdzie z wujkiem mieszkam, ale tak, jak byłaś! Nie tak, jak jesteś. Przedzierzgnij się przedziutko w dziewę! *(pomaga jej włosy wetknąć w siatkę)* No! no! no! Gościnny dom: „Pod Dobrym Pielgrzymem”, już niejeden sprzeciwny los podróży oglądał. Ale jak ciebie tam z Bogną raz pierwszy ujrzałam, ani mi się przyśniła nawet twoja tajemnicza przygoda.

URSZULA: Wierę o ile jednak tęskliwsza od mojej — jest niedola Bogny! Nasza droga żalobnica ani śmierci Jurasa przeboleć, ani inszych losów bez umiowanego zacząć nie zdoła! *(Rozlega się kolenda: Lulajże Jezuniu, którą panny cicho nucą na do, re, mi, fa, itd.; dwie grają na lutni)*.

URSZULA: *(nadstuchuje)* A co? nasza pieśń? Wcale dobrze idzie!

BEFANA: A tak! Bogna wyuczyła nas by nacji oltramontanów uradowanie sprawić. Zawsze wasi będą się czuli mniej obco.

URSZULA: *(serdecznie)* O! ty dobra wróżko Ty! *(wychodzi z Bogną, rzucając całusa Befanie)*.

Scena II.

(Wchodzą: Dante Vanner, Bardo, Jan Anioł i inni citramontanie. Panny ukończywszy przygotowania, zbliżają się ze śpiewem na przód sceny. Przy końcu zwrotki wpadają scholarzy z kulami waty, robią harmider).

GŁOSY: Zdzierać kwieciste festony! Precz lampki różnokolorowe! (krzyczą).

SCHOLARZY: Pierwszy śnieg! pierwszy śnieg!

DANTE VANNER: Na biało! na biało!

BARDO: Precz z pomarańczami, teraz kule śniegu!

(Panny bronią swych dekoracji).

KARLA: Wszakże to Befana!

BEFANA: Doroczne święto dzieci na Trzy Króle!

BARDO: Odkładamy Befanę na Cztery Króle! Piękne Damizelle!

PANNY: (oburzone) To niegodziwe! Befana! Befana!

SCHOLARZE: Pierwszy śnieg! pierwszy śnieg!

BEFANA: (występuje naprzód) Darujcie Waszmościowie, ale ojcowie a Radni miejscy użyli nam dziś tej sali na zabawę dzieciną!

BARDO: Nadobne Damizelle! i dorodna ich Koryfeuszko! Tak! Ale jako przyszli ojcowie a radni miasta, my, uważamy zabawę za skończoną, choćby się jeszcze nie zaczęła.

JAN ANIOŁ: ...I przenosimy ją pod... „Jesiotra“, albo na „Plac Owocowy“!

DANTE VANNER: ...Bowiem z chwilą, gdy ten pierwszy śnieg spadł, zaczyna się święto scholarów. Tego ojcowie Radni nie przewidzieli, a my według tradycji odwiecznej, spełniamy nasze prawo i kładziemy areszt na opornych!

JAN ANIOŁ: Tak, tak! areszt! na słodkie cukrowe i panieńskie!

DANTE VANNER: Która Damizella nie ucieknie na raz, dwa, trzy! zostawi swoje łakocie!

BARDO: Albo musi okupić się całusem!

PANNY: Uciekajmy! Uciekajmy — „Pod Jesiotra“ — Pod złoty Krzyż“!

KARLA: Albo lepiej na Plac jarzyn!

BEFANA: To już najprędzej do sali „della Storione“.

LIKORIS: Prędzej! Prędzej!

(Zamieszanie wśród panien. U wyjścia wszędzie natrafiają na wchodzących żaków, wnoszących podatek pierwszego śniegu).

Scena III.

(Poprzedni: kolejno później Kornar, konsyljarz nacyi Oltramon-tanów, Niemiera, Rosarius i inni scholarzy, Urszula-Niezbliżek w stroju scholara, Naho Marpurg, głównie jako widzowie gry „fortecy miłości“).

JAN ANIOŁ: Zakłopotaliśmy panienki, co?

KARLA: O! bynajmniej!

BEFANA: Nie tak bardzo!

LIKORIS: Wcale nie!

BARDO: Ano! Zobaczmy! (Pogróżki, śmiechy, ścigania).

KORNAR: Żaki! przestroić salę na biało! Prędko! Sople lodu! Gałęzie z śnieżną okiścią! Niech zawisnie tu cała wspa-
niałość pierwszego szronu! (Dekoracja sali zmienia się na zimową).

BARDO: Sławetne i piękne dziewczęta! Wyrok zapadł — trzeba mu się poddać!

LIKORIS: Nie! nie! nie! Nie przyjmujemy wyroku! Puśćcie nas!

DANTE VANNER: Tak z niczem? Pierwszy śnieg! Ten dzień daje nam prawo okupu. Opactwa składają studentom dukaty, kupcy łakocie, profesorzy kapłony, a panienki... to co mają!

BEFANA: (przekomarzając się) Nie! — nie dadzą nic!

JAN ANIOŁ: To weźmiemy sami! (Scharzary posuwają się ku pannom śpiewając).

SCHOLARZY: Tak, tak, tak! (One na tę samą nutę jako refren):

PANNY: Nie! nie! nie! (razem na głosy).

BARDO: (bierze wpół Befanę, chce ją pocałować) Oh tak! tak!...

NIEMIERA: (zbliżając się z głębi, odtrąca go, uwalnia Befanę).
Jak śmiesz?

BARDO: (z dąsem) Nie wtrącaj się! Według polecenia konsyljarzy wszystkich nacyi, opróżniamy salę na festyn „Pierwszego śniegu“ i Wiec studencki.

KORNAR: (Ironicznie) Ejże! Zlizując po drodze słodkości, by niedźwiedzie!

SCHOLAR NAHO: Otóż! Właśnie! — po drodze — stał stragan Dawida Lewitos, który w lot... ci Waszmościowie objedli z kretešem.

BARDO: No! wielkie rzeczy! jeden jedyny i to żyda!

SCHOLAR NAHO: Ale Dawid Lewitus i tak zapłacił Podatek pierwszego śniegu!

JAN ANIOŁ: To i cóż! Stragan objedzony będzie więc dodatkiem do podwójnego podatku!

NAHO MARPURG: A więc praw niema? Panowie humanisty! gdzież tu ludzkość?

DANTE VANNER: (*napastliwie*). Sameś widoczni jego nacyi, skoro ci tak pilnie sprawiedliwości szukać. A zresztą Ulpianus w Digestach mówi śmieje: „Niewolnik lub inne bydło"! Przyznaj wasze, iżeśmy odtąd na dużo głów z pod prawa wyjętych opiekę rozciągnęli. Ci co dostali przywileje, niechże i praw tej ludzkiej, a nie lichwiarskiej strzegą konfraterni.

KORNAR: (*pojednawczo*) Cichajcie koledzy! Wszakże tu mamy sprawy inne ważniejsze!

JAN ANIOŁ: Oczywiście! Kolegom oltramontanom musimy bratnią pomoc dać! a wy, dusigrosze, czekajcie milczkiem... bo! (*zamierza się dać mu policzek. Urszula wstrzymuje mu rękę*).

URSZULA-ŁASKOTEK: Co waść czynisz? Czy przyspieszysz naszej słuszności prawo, krzywdą bezbronnego.

NAHO: (*pochyla się do nóg Łaskotka*) Dzięki ci najlepsza, najśodsza! najświatlejsza z gwiazd uniwersyteckich!

(*Łaskotek kładzie mu rękę na ramieniu, którą Naho całuje rozradowany*).

KORNAR: (*do siebie*) dziwne chłopię! (*Odtąd obserwuje Naha i Łaskotka*).

PANNY: (*które się przypatrywały, klaszczą w dłonie*) Bravo! Bravissimo!

BEFANA: Dzielni oltramontanie!

KARLA: Rycerscy są jeden w drugiego!

LIKORIS: Prawdziwe cne kawalery!

BEFANA: Ale teraz, wypuście nas, prosimy!

SCHOLARZY: Za całusy! Za całusy!

KORNAR: Dość! panowie! Jako wam się zda? Czy nie powinniście raczej bronić tych patrycyuszek, wy którzybyście bez namysłu zabili tego śmiałka, któryby waszej bogdance zetrzeć chciał z ust świeżych najczystszy puszek kraszy winnej narzeczonemu?

KILKU SCHOLARZY: Racja! — Kornar bravo! — Konsyliarz słusznie mówi!

NIEMIERA: Wara od nich! — Niech idą spokojnie!

BARDO: Nie! nie! darmo nic! Pierwszy śnieg! Niech się okupia!

WIEKSZOŚĆ STUDENTÓW: — Pierwszy śnieg! — Pierwszy śnieg! — Podatek w naturze! — Pierwszy śnieg! Na studencki benefis!

BEFANA: (*rezolutnie*) A więc dobrze! Zdobądźcie fortecę!

KARLA i LIKORIS: Tak! Dobrze! Zamek miłości — Twierdza miłości!

BEFANA: Prędko! Po strzały!

JEDNA z gitarzystek: A my będziemy przygrywać Igrzyskom miłości w takt „padowany“ (*zaczynają grać*).

DANTE VANNER: Hola! Flecisto! my też!

BARDO: Chętnie! Nasza orkiestra jest stale gotowa. Raz! dwa! (*Kilku scholarzy towarzyszą „Turniejowi Miłości“ lekkim akompaniamentem lutni i fletów, zgodnie z gitarami panien*).

ZANINA: Gdzież miejsce naszej blokady?

BEFANA: Ot! tu! na wzniesieniu dla Muzyki.

KARLA: Podajcie co żywo kwiaty z festonów i pomarańcze!

ZAZINA: Ale łańcuchy? Nie mam więzów!

BARDO: A wasze zawiązki!

BEFANA: To prawda! Wstążek mamy dość. Wystarczą może?

KARLA: No, spróbujmy! Rozwiązujemy nasze kokardy!

(*Panny rzucają młodzieńcom swe ozdoby, ci je chwytają w lot*).

SCHOLARZY: (*Klaszczą w dłonie*) — Moja! — Złapana! — (*całują z uniesieniem szarfy*).

KORNAR: (*ironicznie*) O! tak! wasze lekkie nawiązki, to mocne łańcuchy, piękne panie!

DANTE VANNER: Toć są nasze odznaki zaszczytne! Patrzcie, jak się Oltramontani gapią na nas.

ROSARIUS: Bo nam dziwno. Czemuż się tak ciśnienie? Po te świecidła?

BARDO: Nie widzisz gapiu, że to było w ich pachnących rączkach? Ja sobie zatknę mą zdobycz u beretu.

JAN ANIOŁ: A ja wstęgą ramię przewiążę!

KORNAR: *(Do scholarów)* A wy czerpajcie z koszów i półmisków przyniesionych jako podatek pierwszego śniegu!

SCHOLARZY: — Zaiste! — słusznie! — Owoce i flakony pachnideł paniom!

DANTE VANNER: Każdy pociskiem dotknięty imię swoją dziewczę do tańca! *(Piszczkowie i gitarzystki grają kilka motywów „padowany“, albo hejduka do tańca; młodzież tańczy kilka figur, jako zakończenie zabawy „Twierdzy miłości“).*

BEFANA: *(z różdżką czarodziejską kieruje się ku wyjściu).*
A teraz rozdzielmy się.

KARLA: Paniom osobno!

ZANINA: Utwórzmy oddzielne koło.

(Wychodzą wśród ukłonów scholarzy).

Scena IV.

KORNAR: Kolegów Oltramontanów poproszę by zwołali całą swą nację do rozprawy.

(Niemiera, Rosatus i Oltramontani, kłaniając się, wychodzą).

KORNAR: Tymczasem raport. Jak wypadł podatek pierwszego śniegu? Zbliźcie się deputaci! *(Scholarzy przenoszą w głębi ustawione gęsi, kapłony, wino, konfekta).*

BARDO: Opactwo św. Antoniego dało 3 kapłony i 10 skudów!

KORNAR: To nieźle! a ty?

JAN ANIOŁ: Św. Franciszek dał 10 kapłonów i 23 skudy!

KORNAR: Wybornie! Odnies to do kuchni oberży uniwersyteckiej pod „Wołem“! Niech nam zgotują przednią ucztę! A ty! Dante?

DANTE VANNER: Ja mam 12 funtów konfektów najprzedniejszej jakości!

KORNAR: Za mało na tyle nacyi! A co przyniósł Naho Marpurg?

NAHO: Trochę owoców, są odrobinę przestałe, ale w całym Ghecie innych niema.

KORNAR: *(zgorszony)* O! ci żydzi! *(do Barda).* Wyślij do nich z naszą egzekucją! pilnujcie aby naszych praw studenckich nikt bylejak nie traktował! Te owoce pójda dla świń naszych bedelów uniwersyteckich, a wy macie z ghetta przynieść inne, pierwszorzędnej jakości i 3 skudy złote za karę, że chcieli ominąć odwieczne prawo daniny 1-go śniegu, z dawien dawna zabezpieczające piękne owoce z brzydkiego ghetta!

NAHO MARPURG: No, a nie porozpruwajcie im tam pierzyn;
BARDO: Milcz! bo tobie najpierw wytłuczem poduszce *(grozi mu obiciem).*

KORNAR: *(do Marpurga)* Zbliź się tu sam!

NAHO MARPURG: *(nieufnie)* W czymże mogę usłużyć Imci konsyliarzowi?

KORNAR: Nie oddalaj się stąd! *(do studentów)* Panowie koledzy! rozdzielcie te dary „1-go śniegu“ po sprawiedliwości według nacyi: Oltramontani, Poloni, Inglesi, Franki, Germani...

DANTE VANNER: Jaki? We wszystkim równo? To byłoby zbyt głupie!

KORNAR: Tak! we wszystkim równo! Są naszymi gośćmi, nie im się stać nie może niesłusznego, i zwyczajom Studio Generale sprzecznego...

DANTE VANNER: Kiedy już tak być musi! No, toć szereg ich znamy! Zbliźcie się nasampierw wy Citramontanie! Trewizani! Bonończycy!... Prędzej tłusciuchy! Cięży wam za nadto salami w burczy-brzuszkach, skoro się ledwo ruchacie! *(W głębi następuje rozdział darów).*

KORNAR: A potem miłe kompanie, przygotować salę na wiec. Po obradach dopiero nad sprawą kolegów a panów Oltramontanów, przystąpimy do tradycyjnej uczty śniegowej. *(Rumor wśród żaków)* Przenieście stoły i stołki, by jedną stronę ostawić dla dostojników a honoracyorów naszych gości.

BARDO: A pośrodku?

JAN ANIOŁ: Patrzcie! Tęgo jeszcze nie wie ten potrójny Gapeusz! *(Przestawiając).* W pośród dwa krzesła i stolik dla pisarza, a przeciw rzędy dla scholarzy. Przedsię taki jest zwykły ordynek żakowskiego wiecu. Jeżeli tego jeszcze nie wiesz?

BARDO: A jeżeli ty jeszcze tego nie wiesz... że się człek pyta... żeby się spytać?.. Azali to nie jest najlepsze! Zaś gdy się żadnych interpelacyj nie stawia, to się komu niebądź mózg tymczasem zdrzymie! (*Ustawiają dalej*).

KORNAR: (*robi znak przywołujący do Marpurga, zbliżają się oba ku przodowi sceny*) Słuchaj! powiedz mi na świętość swej wiary co cię łączy z tem oto pacholęciem (*wskazuje na Łaskotkę*).

NAHO MARPURG: (*udaje, że nie widzi*) Z kim? To nikt nie jest!

KORNAR: (*gniewnie*) Nie chcesz widzieć? Pokażę ci! (*bierze go za kark i trzyma naprzeciw Łaskotki*).

NAHO MARPURG: Aha! to, to? (*udaje, że nie rozumie*) Co mnie łączy? Coby miało łączyć? (*obojętnie pokrywając wzruszenie*). Nic panie! Dobre i miłosierne to serce!

KORNAR: (*puszcza mu kołnierz, porywczo*). Znasz je, to serce! powiedz! co zacz jest?

NAHO MARPURG: Co jest? Pachole szlacheckie jest! Z dalekich Dunajów!

KORNAR: Ii?

NAHO MARPURG: ...i ...chciwe wiedzy i sama cnota (*z wzrastającym zapalem*) i... piękne! jak serafin!

KORNAR: To widzę sam!... i...

NAHO MARPURG: I... no i co? „i!” to wszystko!

KORNAR: Nie! Łesz! „Coś” jest! Wszyscy z waszej nacyi skaczecie ostrożnie koło niego, jak wedle jajca!

NAHO MARPURG: Panie! Łaknę ja wiedzy, jak moi przodkowie manny na pustyni; ale zdradzić nie chcę... nie żądajcie tego odemnie...

KORNAR: A więc jest coś do wyjaśnienia!... Musisz więc!... Inaczej... (*Dobywa mały sztylet*).

NAHO MARPURG: (*stania się, przewraca oczami, drży, mówi błagalnie*) Dostojny Konsyliarzu! Czemu tak skoro? Darujcie mi życie! Ja się Ursynowi Łaskotek i wam jeszcze przydam, choć pogardzony... choć...

KORNAR: Teraz się przydasz, gadaj! (*Nowy ruch groźby sztyletem*).

NAHO MARPURG: (*zestrachany*) A nie wydacie mnie, nic i nikomu?

KORNAR: Ciebie nie wydám! A o resztę nie nąleǳaj. Zrobię — co mi każe honor mój. No, mów prędko... Bo! (*powtarza gest j. w.*).

NAHO MARPURG: Toć czekajcież aby chwilę! i zrozumieć to panie! pragnie wiedzy! nauki... Nie ma sposobu innego...

KORNAR: (*zniecierpliwiony, rozkazująco*) Dalej!...

NAHO MARPURG: (*cicho, z trudem*) Dziewica jest!

KORNAR: (*zdumiony*) A? Jej imię prawdziwe?

NAHO MARPURG: Urszula z Borów!

KORNAR: (*puszcza Marpurga, wskazuje mu drzwi*) Precz!

NAHO MARPURG: (*oddala się z miną upokorzoną. Przechoǳąc około Łaskotki, bierze nieznacznie połe wiszącego rękawa, przyciska do ust z uniesieniem*) Daruj! (*wychodzi szybko*).

KORNAR: (*zbliża się miarowym krokiem do Urszuli*) Cześć Wam! (*Bierze ją poufale pod ramię*).

ŁASKOTEK: (*usuwa się, cofa, wymachuje nieodłącznym prętem*) Czego życze wasza Dostojność?

KORNAR: (*swobodnie*) Chciałem z wami pomówić o dzisiejszej dysputacyjnej. Czy świetna wasza nacja przygotowała po oratorsku mowy, dla wykazania profesorom w Padwie powodu swego nagłego i gromadnego przyjazdu do Italji, a opuszczenia sławnej Universitas Cracoviensis? (*Chce go objąć w pól, Łaskotek się wywija*).

ŁASKOTEK: Iście! Niemiera szeroko rzecz rozprawił! *Primo* (*ton urzędowy*) że Dostojna Alma Mater nasza, nie wymierzyła nam żądanego zadośćuczynienia za zabójstwo kolegi naszego, Jurasa Litwina z Pienian. *Secundo*: że rozpróśnienie żaków nie jeno buntem, ale jest zarazą w waszem mieście przedłużone, a nam potrza „Czas” w łot chwycić z przodku, bo on jako i Fortuna ma łysy łeb z tyłu, a tylko czub kosmaty na przedzie.

KORNAR: A tertio? co?

ŁASKOTEK: A trzecie? Wiecież to sami! (*Z coraz to więcej rosnącym zapalem*) Nam z północy Hellas i Roma pachną w dali, jako kwiaty w słońcu roztopierzone! Poema ich nam woniają, niby elizejskie łany miódoborne, a słodka zaś mowa Katulla, wasze miasto Antenora, bluszcze w Arqua u domu Petrarki zwiśle, ciągną nas niby omamienie mi-

łosne, żeśmy i rodzin i chat zbyli, i wędrujem do uchodzenia nóg, niebaczni na zbójców i przygody, wszystko to, aby słuchać waszych najuczeńszych profesorów i najświetniejszych doktorów świata.

KORNAR: *(Patrzy na nią z wzrastającym upodobaniem)* A wy? Osobiście? Samoczwart? Jakież macie tu dla nas intencje? *(chce jej zarzucić ramię na szyję)*.

ŁASKOTEK: *(chwytając ją w drodze i strzepuje silnie, usuwając się z nieufnością)* Samoczwart? Takich jak ja, co biegną do światła za innymi — jest siła.

KORNAR: *(znacząco)* Za innymi... ale i dla innych, obawiam się... *(z ożywieniem)* Ale wy sami, jesteście wszystkim tem i czemś więcej... O, Najpiękniejsza!

ŁASKOTEK *(zdziwiony, zmieszany, z miną obrażoną)* Nie rozumiem mowy waszej!

KORNAR: O! rozumiecie dobrze! gołąbko najśłodsza!

ŁASKOTEK: *(Wybucha gniewem)* Otóż nie! *(tupie nogą, odwrzuca dumnie głowę, z ręką na małym sztylciku u pasa)* Nie ma we mnie ani krzty słodyczy! Siły chcę!

KORNAR: Jeżeli moc i mądrość dorówna krasie waszej — będziecie najcudowniejszą z dziwnych doktorów świata. Istna czara Afrodyty w dłoni Minerwy!

ŁASKOTEK: *(śmieje się)* Ach! uczony Kollego! *(śmieje się sztucznie ale coraz to silniej)*. Co za pomysł! Nie! Niech strzepnę z swych uszu ten dowcip klasyczny, by natrętną muchę. *(Śmieje się, pochyla głowę, i na każdą stronę z ucha wytrzepuje uprzykrzone słowa)*.

KORNAR: O! Najskromniejsza i najwytworniejsza Pani, jesteś tak piękną, gdy się śmiesz, że zaiste! zabiłbym tego, ktoby ci łzę wycisnął.

ŁASKOTEK: *(nagle poważnieje, z drażniącym zarozumiałym dąsem)* A więc będę się smęcić! *(zadziiera nos do góry)* Zresztą! *(z naciskiem)* na koleżeńskich faworach mi nic nie zależy!

KORNAR: *(porywczo)* O! nie wszystkich! Oltramontani doznają więcej łask. Wszakże z nimi prowadzicie długie rozmowy na przechadzkach wśród wzgórz eugańskich i łodziami na Brencie. Zresztą tylko w biegu doścignąć gachów nie możecie, Najpoważniejsza i Najrozkoszniejsza Donno!

ŁASKOTEK *(zirytowany)* Żadna Donno! *(ostro)* Baccie, by mi szpetnych przezwisk nie dawać. Czy może mam głos słaby? *(próbuje mówić głosem grubym)* Ja w śpiewie tylko dyszkant biorę! A i ramię mam dość ciężkie! *(Staje w oddaleniu)* Zawsze ta dłoń wystarczy, by ukarać zuffalca! *(W rozbiegu z końca przeciwnego sceny pędzi ze spuszczoną głową jak do ataku, chce mu dać policzek. Kornar ubiega jej ruch, w porę ją silnie chwytając za ramię, które przytrzymuje, bierze i odwraca dłoń, powoli z ukłonem pełnym szacunku składa całus na jej ręce; ujmuje drugą, tasama gra. Puszcza ją, cofa się z kilku ukłonami dworskimi)*.

KORNAR: Namilejszej, Nawybrańszej, Przejasnej Pannie Urszuli z Borów — Cześć!

ŁASKOTEK: *(zadyszany odwraca się, drapując w narzucony płaszcz — chce uciec; rozgląda się, widząc ogólne zajęcie scholarów załamuje kurczowo ręce; wreszcie wybuchając płaczem)* Boże! Boże!

KORNAR: *(czule)* Najśłodsza! Najlepsza! No uspokójcie się! *(przystępuje do Łaskotka, delikatnie obejmuje ją w pół jak jest otulona cała w opończę; Urszula cicho płacze, przesuwa zapłakane oczy po koronkach jego kołnierza; powoli pod wrażeniem pieśniedy Kornara, skłania głowę na jego ramieniu)*. A więc tak? Prześladowujemy, uragamy! prawie tropimy, a wy, na przekór wszystkiemu *(serdecznie)* sama jedna i słaba! Ale to się skończyło! Teraz ja stoję za wami, by was bronić... miłować... *(patrzy na nią prosząco)* Będziecież moją?

ŁASKOTEK: *(wrywa się gwałtownie z jego objęć)* Nigdy!

KORNAR: *(zdziwiony i oburzony)* I czemuż to?

ŁASKOTEK: *(który odzyskał rezon i fantazję)* Bo nie!

KORNAR: *(ze złością)* Oto i to logika białogłowska.

ŁASKOTEK: *(przekornie, z figlarnym uśmiechem)* Nie mówią to, że chłopiec nie wie, jak zacząć miłowanie, a białogłowa, kiedy skończyć?

KORNAR: *(szydlerczo)* O tak! by ciągnąć za sobą rój miłośników... a nasamprzód pięknego uwodziciela Niemierę...

ŁASKOTEK: *(porywczo)* O! nasamprzód — uwodziciel nijaki nie jest, a potem... *(gorzko)* ten o mnie nie stoi...

KORNAR: Właśnie, ci niby obojętni, neutralni — bywają nagors! Nikt nad nich! a zresztą inni: Rosarius, Sacranus... a nawet wstrętny Naho!

ŁASKOTEK: *(przystępuje z godnością i udaną powagą)* Co wam się po głowie wywraca? Nie jesteście zaś chorzy? No! dajcie rękę! *(bierze go za puls z miną poważnego doktora, zarzuca oponczkę na ramię, głową kiwa)*. Tętno niezdrowe! szalone! grozi... zajączkami... *(kręci mu palcem koło głowy)*.

KORNAR: *(ujmuje jej dłonie)* A więc tak! Jestem szalony! spragniony! w ogniu! Ochłódź! daj orzeźwienie! słodycz twych ust! Choć twe serce z lodu północy niech żar mój...

ŁASKOTEK: *(oddala się z ukłonem)* Ależ Dostojny Patrycjusz, a potomku królów Cypru! Wszak już wiecie, że ja jestem scholar... żaczek... w pielgrzymiem przebraniu szlacheckie jeno dziecię!

KORNAR: Ale i to wiem, że wasze dziady, a rodzice, nie nad swój klejnot szlachecki nie cenią. A gdy cesarz Ferdynand, i jego Majestat Maksymiljan obdarzył deputatów waszych tytułami książąt, pochowali zafrasowani mitry, i dyplomy do kufrów, nigdy ich stamtąd nie dobywszy.

ŁASKOTEK: *(figlarnie)* A? przecież coś raczycie wiedzieć z historii naszej, Panie!

KORNAR: Dopowiedcie mi resztę, oczy w mych oczu topiąc, o! z tym waszym uśmiechem królewskim odwiecznej władzy króla królów, któremu na imię... Piękno!

ŁASKOTEK: *(ujęty)* Prawda-li-to?

KORNAR: Najoczywistsza! Będziem we dwoje Miłości jednym tchnieniem! Nareszcie będę miał prawo odsunąć od twych lic niebiańskich, tłum szumiębskich scholarów. Jedyne Rycerz i Gwardzista mego boskiego Łaskotka — Niezbliżka!

ŁASKOTEK: *(z tęsknotą)* O tak! choć chwilę wytchnienia! *(podaje obie dłonie naprzeciw z wyciągniętymi ramionami stojącemu Kornarowi)* Oby jedno chociaż ocmgnienie ufności, ot! tyła, co miły cień nad głową! *(posępnie nagle)* Tylko niech cny konsyljarz naszej nacji nie każe mi pożegnać głosu mistrzów i miodopłynnej mowy Horacego, i wiedzy mędrców?...

KORNAR: A jakożecie inaczej myśleli? Miłość jest zazdrośna o wszystko, a coś dopiero o tych frantów miłośników niby

filozofijej, a co się niby jarząbki za raroziem, obracają za wami...

ŁASKOTEK: O! dla tych mam gibki pręt *(pewna siebie)* A wierzcie mi! Ten tnie nie źle!

KORNAR: A dla mnie? Jaką macie broń? Wszakże jesteście w mojej mocy, piękna Niebogo!

ŁASKOTEK: Wasza Miłość jesteście skrępowani więzami — których nikt nie rozerwie.

KORNAR: *(ciekawie)* A te więzy?

ŁASKOTEK: Honor Rycerza — Scholar a Konsyljarza nacji Oltramontanów *(po wytwornym ukłonie, piękna, dumna postawa. Wychodzi)*.

KORNAR: *(zamyśla się rozmarzony)*.

Scena V.

(W sali zamieszanie. Wchodzą uczniowie, profesorzy, Extra-nei, magiŝtry, Gelandinus, doktor Fundamentarius. Scholarzy ich witają, kręcą się koło nich z kulami śniegu).

GŁOSY: Niech żyją sławni doktorzy i magiŝtry! Niech żyje pierwszy śnieg! *(Nowoprzybyli kłaniają się na lewo i prawo)*.

BARDO: *(występuje naprzód, do doktora)* Jako najwierniejszy z wiernych słuchaczy Waszej Najmędrzej Dostojności, ośmielam się ostrzec, że dziś za całość beretu, kryjącego przesławną głowę Waszej Wielkości, ręczyć żadną miarą nie mogę.

Dr. FUNDAMENTARIUS: I cóż mi to fundamentalnie grozi w waszem miłym gronie, wysoko urodzeni panowie? *(Młodzieź występuje do ataku z kulami śniegu)*.

OKRZYKI: Pierwszy śnieg! pierwszy śnieg!

Dr. FUNDAMENTARIUS: A! przepomniałem! Podatek? I owszem! służę waszmościom! *(daje pieniądze na prawo)* Skoro zwyczaję każą dawne! *(daje pieniądze na lewo)* I ja też swojego czasu nie pozwalałem śniegowi padać bezkarnie i przedłożyłem moim czcigodnym profesorom — oby ich dusze radowały się wiecznie na niwach Erebu... rachunek fundamentalny za całą śniegową chmurę rozsypaną nad naszym sławetnym Studio!

DANTE VANNER: *(potrzásając zebrane pieniądze)* Ale wy Magnificencjo! hojnością przeszliście wszystkie wieki.

Dr. FUNDAMENTARIUS: *(kłania się)* Ale wszakże Imci Panowie i inną sprawę wkrótce przed forum rektorskie fundamentalnie przedstawić mają. Dobrze będzie extra muros wypróbować się przedwstępnym harcem.

(Scholarze zapraszają profesorów do zajęcia honorowych miejsc).

KORNAR: Przed uczcią śniegową, pilno nam załatwić spór o przyjęcie naszych Kolegów Ultramontanów, którzy tu przybyli o głodzie i chłodzie, gdy im satysfakcji należytą nie dano za zabicie druha-scholarza.

GELANDINUS: Za krewko oni podobno postąpili i niby lud rzymski na Awentyn, tu się chcą zbuntowani schronić — osłabiając jako członki uporne, omdlałe ciało rodzinnej Almae Matris.

BARDO: Musimy dać im przytułek!

DANTE VANNER: Skonfundowani są i na honorze dotknięci...

JAN ANIOŁ: Nasze prawa i przywileje zabraniają komukolwiek tykania się naszych wolnościów. *(Do Barda)* Ty jako sekretarz konsyljarza pisz! skoro z przybyciem ich profesorskich wysokości, wiecowanie zaczęte.

DANTE VANNER: O! proszę z formami wiecowemi nie szachrować! Bardo był sekretarzem na obradach wczorajszych. Ale dziś! Nowy dzień! świeże wybory!

KORNAR: Niechże wam się nie troi w głowach! Żeby się z tego powodu obrady jeszcze przeciągały in saecula saeculorum.

DANTE VANNER: Tak? Jeżeli nam całą paradę wieców będziecie zawsze z przed nosa zmiatać, to już lepiej do budy wleźć i przeciw wszystkim jednako pysk rozdziawiać.

JAN ANIOŁ: Silentium! Tymczasem, stul swoją słiczną paszczkę Vanerku, radzić dobrze! Przecież chociaż raz w semestrze останiesz sekretarzem, referendarzem, archiwarzem... bibliotekarzem...

SCHOLARZY: *(śmieją się i śpiewają)* A przytem łgarzem... plotkarzem... pieczeniarem...

DANTE VANNER: *(dumnie nadyma policzki)* Co? Co? powórzcie mi to jeszcze aby raz!

KORNAR: *(pojednawczo)* Ależ koledzy! zgodnie! Vanner był nieobecny przez chwilę, gdy wczorajszy wiec uradził za-trzymać wszystkie godności i urzędy przez cały tok tej samej sprawy. Ale wszakże swój głos za tem oddasz w tej dobie?

SCHOLARZE: No gadajże, Dante! Daj głos! Daj!

DANTE VANNER: *(uspokojony)* Niechże będzie, ale dla świętej zgody nie dla waszej miłości, wy burczymuchy razem z ich królem Belzebubem!

KORNAR: A więc, Wasze Wielmoża, a sławetni koledzy, teraz już bez przerw!

BARDO: *(instaluje się w środku, dobywa pióra z za ucha, macza je w inkauscie odpiętym od paska. Przy nim siada Jan Anioł z linealem i od czasu do czasu tłucze kantem w stół krzycząc)* Silentium!

KORNAR: Niestotyż! doszły nas słuchy, że Jegomościowie profesorzy przybyszom wstręty czynią i na wykłady chodźć bronią.

SCHOLARZY: Hańba! — Hańba! — precz z doktorami takimi!

DANTE VANNER: Nie godzi się skąpić światła braciom z północy!

SCHOLARZY: Nie godzi się! Wsteczniczy!

JAN ANIOŁ: *(wrzeszczy)* Cicho! Silentium!

BARDO: Nie chcemy ich! Niech sobie idą uczyć więźniów na galerach weneckich. My ludzie wolni, chcemy nauki na rynkach, jak Sokrates, w ogrodach publicznych, jak Akademus!

Dr. FUNDAMENTARIUS: Otóż to! słusznie a fundamentalnie wyrzekł wielce nam miły Bardo! I ja was zapraszam do mych ogrodów botanicznego studjum na dysputację, ale rozważną... groźbą nie poczynajcie panowie — bo tam gdzie przemoc a niekarność — tam mądra rada, by pieśń wśród huraganu.

JAN ANIOŁ: Słuchajcie! cicho!

DANTE: To niech ich dopuszczą do Studia! niech im nie skąpią światła!

Dr. FUNDAMENTARIUS: A więc waćpanowie chcecie, abyśmy wcielili fundamentalnie w matrykuły, całą waszą brać wędrowną?

SCHOLARZY: Tak! tak! wszystkich!

JAN ANIOŁ: Silentium!

KORNAR: Niech się uczą! Niech się wsłuchają w mowę boskiego Cycerona.

BARDO: (*powstaje z miejsca, piórem wskazuje na rozwarte księgi*) Niech zgłębiają prawa i dekreta facultatis juris!

JEDEN z Arcyanów: Niech z mistrzem Petrarką napawają się, jak miodem Hymetu i winem mirtowem — słodkim słowem Pindara!

JEDEN z Medyków: Niech budują się z tak rzadkiego święta w naszej auli, jakim jest „Anatomja“, aby dzielić się rzadszemi nad inne spostrzeżeniami uczonych medyków — niosąc zdrowie tronem i strzechom!

DANTE VANNER: Niech świętą filozofją, jako strop niebios gmachu wiedzy, rozpinają nad każdą nauką!

WSZYSCY: Przyjmijmy ich! Przyjmijmy!

JAN ANIOŁ: (*bije linją w stół, krzyczy*) Silentium! Cicho! Silentium!

Dr. FUNDAMENTARIUS: A więc waćpanowie chcecie im dać prawa równe swoim.

SCHOLARZY: Tak! Iście! Równe swoim! Bez wyjątku!

Dr. FUNDAMENTARIUS: No! równe ale nie — fundamentalnie większe? (*Śmiechy*).

KORNAR: Coćby i takie!

Dr. FUNDAMENTARIUS: Bo widzicie? Dobrze jest miłosierdzie, ale sprawiedliwość lepsza. Tam, gdzie ta jest — pierwszego nie potrzeba.

SCHOLARZY: A więc? a więc?

Dr. FUNDAMENTARIUS: A więc — wszystkim, którym przysługuje fundamentalne prawo studjum Universitatis w ich własnej ojczyźnie, przysługuje i u nas.

SCHOLARZY: Bravo! Bravo! Niech żyje Dr. Fundamentarius! Sława ludzkości!

JAN ANIOŁ: Dosyć! Silentium!

Dr. FUNDAMENTARIUS: Ale baczcie, abyście nie ośmielali innych, co się pod prawa Oltramontanów podszywają, by zapuszczać niewód w wasze czyste źródła nauki.

KORNAR: Prawda to jest, że z obcych krajów naszło się między pokrzywdzonych — a zacnych — moc wartogłowych a wagabundów.

DANTE VANNER: A to ci wrywenty!

BARDO: No, patrzcie, co za łotrzyki! Ale my z tymi sami zrobimy sprawiedliwość. To też tego nie pisać w protokole, aż się sprawa należycie udowodni, zgoda Imci Konsyljarzu?

KORNAR: Zgoda kolego! Musimy rzecz na baczenie wziąć przed się; a jeśli natrafim na plewy, to je od czystego ziarna studenckiej czci odchyńmy.

Dr. FUNDAMENTARIUS: Fundamentalnie dowodźcie panowie! Ostrożność przy gościnności. Serce szerokie i głowa otwarta, ale rozum przedsię bystry, a trzeźwy! Pozwólcie, że sprawę waszą dam do rozeznania przesławnemu Rektorowi i gremium dostojnych Dziekanów. Co nawyżej tylko wasz Collega Major, jako naczelnik secesji przed senat uniwersytecki do odpowiedzialności wezwany będzie (*Wielka wrzawa*).

GŁOSY SCHOLARÓW: Nie! — Nie! — Wszyscy albo żaden! Razem wspólnie!

JAN ANIOŁ: (*chce tumult opanować, krzycząc*) Silentium! Cicho! — Silentium!

Scena VI.

(*Ciż, Niemiera, Rosarius, Sacranus, Łaskotek i in. Oltramontani. Ukłony, powitania owacyjne*).

Dr. FUNDAMENTARIUS: A! otóż i przewodyr rebelliantów! Niechże jednak będzie pozdrowiony, imieniem całej nacji sercu naszemu drogiej, chociaż Wasze, Imci „Kollego Major“ jako szef zaalpejskiej młodzieży rzucił toż trybuna i stał się dyktatorem scholarów!

NIEMIERA: (*lekko się skłania; obruszenie u przybyłych oltramontanów*).

ROSARIUS: Jako trybun, nie kładł jednak „Veto“ na wyrok konsula!

SACRANUS: Chociaż sprzeciw — dozwolony bywa przez Prawo!

ŁASKOTEK: Liktorów nie wołał nigdy!

KORNAR: O! jak go broni! (*z goryczą*) O niewiasty! choć w otroczych sukniach, przedsię zawżdy tesame!

Dr. FUNDAMENTARIUS: Ale co mówi „Kodeks” Justyniana?
a „Pendekta?”

ROSARIUS: Należało winnym odebrać ogień, wodę i powietrze.

A Kollega Major zawsze nas ku umiarkowaniu skłaniał!

SACRANUS: A choć linję obronną czci studenckiej fortyfikował, przecie władzy uniwersyteckiej z jednej strony, a koleżeńskiej powinności z drugiej nie uchybił!

ŁASKOTEK: Siła i moc wrogów była przeważna. Pomimo to nie ustąpił ani na krok, mierząc młodzieńców miarą bohaterów — a chroniąc czułością ojca byt ich i cześć nadeń droższą.

KORNAR: No! ależ za nim stoi! Broni go, jak Cycleron Milona!
A nazywa się Urszula z Borów!

(Niemia stoi z godnością i spokojem, z pogodnym, nieprzenikliwym wyrazem twarzy).

KORNAR: *(patrzy na niego z żywym zajęciem. Do Jana Anioła)*
Ależ udatna bestja! Niby o nic nie stoi! Niby oderwany od wszystkiego...

JAN ANIOŁ: A ciągnie ich, by sznurami i trzyma ich przy sobie tem właśnie, że jest taki jak jest!

Dr. FUNDAMENTARIUS: *(Do Niemiery)* Toć widzę, że wasze nie potrzebujesz się wysilać, boć te oto kompanie, niczem magistrzy albo doktory, stosowanie twoich wilkierzy fundamentalnie potwierdzają. Ale jakże waszmość wytłomaczy pominięcie obedyjencyjej Królowi Jegomości?

ROSARIUS: *(przerywając)* To zda się Jego Dostojność pamięcią poniechać, że uprzedziła naszą ku Najjaśniejszemu Panu deputację, całą chmara studenterji, której Jego Majestat przyjąć nie raczył.

Dr. FUNDAMENTARIUS: Najśluszniesze! Bowiem salwować było potrzeba uświęconą personę przedstawiciela narodu!

NIEMIERA: Scholarzy w nim wtedy widzieli li swego ojca, a prawnuka miłościwego założyciela naszego Uniwersytetu!

Dr. FUNDAMENTARIUS: I przekonali się fundamentalnie na własnej skórze, iż ludzkość wogóle, a żadne zrzeszenie w szczególności nie obędzie się bez jasnych a wyraźnych linii karności. Te dają ład ku wystąpieniu w porę, pewnie, a ze skutkiem. I tu był wasz błąd, emigrując naraziście się na niepewność czasów a miejsc poza domowych!

NIEMIERA: A choćby nawet! Zło się już stało, a w położeniu które było jego wynikiem, jasnem mi się i dotąd widzi, że tych dwojga ramion *(wyciąga ręce przed siebie)* i tej głowy braterskiej *(dumne wstrząśnienie głową w górę)* za braknąć nie może w ogólnej niedoli spółtowarzyszy w czasie ich męskich lat próby.

Dr. FUNDAMENTARIUS: *(Podaje mu dłoń i wstrząsa nią serdecznie)* I oto staliście się sercem ich serc! *(Niemia skłania się; ciche, ale żywe ruchy potakiwania u scholarzy).* No! ale od tego wysoki duch spójni wieków szybuje i na nas tchnie, abyśmy jako starsi i doświadczeni — nawet z usterek młodości fundamentalnie wyprowadzali mądrość prawieczną!

GELANDINUS: Wszyscy jednakże tutaj skupieni nie jesteście. Gdzież inni?

GŁOSY: W Kolonji! — W Heildelbergu! — Nad Dunajem! — W Paryżu! — Alpy jeszcze przemierzają! — Nad Elbą osiedli!

GELANDINUS: *(ironicznie)* A gdzie jest ów... Extraneus... wędrowny humanista! który z rozlicznych *(szydęrczo z naciskiem)* osobistych i ogólnych powodów pierwsze skrzypce dzierżył w secesji i rozproszeniu waszem?... gorycz i niechęć waszą pilnie rozdmuchując...
(Zakłopotanie u scholarów, milczenie).

Dr. FUNDAMENTARIUS: Powiedzcież przecie! Niefrasobliwie a niewdzięcznie zagubiliście jego nieszczęsny ślad?...

NIEMIERA: Nie! Opuścił i on z nami nasze drogie miasto. Ale w podróży trafiło go zaszczytne zaproszenie do jednego „Studio Generale” na Węgrzech.

Dr. FUNDAMENTARIUS: Tak... tak! rozumiem! Wiele zaszczytu... uśmiech fortuny! wiele szczęścia...

GŁOSY: Wiele złota...

GELANDINUS: Oczywiście! Lecz dla was wszelako karta się odwróciła — na niepewną dolę: Nowe tory, nowe trudy... oby dla świeżych sił!

Dr. FUNDAMENTARIUS: Ufajcie swej własnej woli czynu, prawości stanowiących naszych i miłości braterskiej swych nowych kompanów, co wszystko jest fundamentalnym objawem praw, unoszących światy. *(Podnosi nad nimi prawe ramię, jakby w hieratycznym ruchu błogosławieństwa. Pochyle-*

nia scholarów zwróconych ku wyjściu Dra Fundamentariusza i profesorów).

Scena VII.

Studenci sami.

BARDO: (rzuca ostentacyjnie pióro, zabija szczerze kałamarz, podbiega do Niemiery, ściska mu dłoń). No! rozpogódźcie się! Przyjęcie im kordjalne czynim, a tu jeden i drugi stoi by im kobyły ukradziono!

SACRANUS: Nie dziwcie się koledzy! Toż wszystkiego swojego odbieżyliśmy!

DANTE VANNER: Ale! do góry uszy! Matki i swego rodzinnego miasta nigdy się na zawsze nie opuszcza!

KORNAR: (Z ramionami założonemi staje naprzeciw Niemiery, przenikliwie nań patrząc) Ani lubej!...

NIEMIERA: (rozmarzony) A może tam i rośnie dla mnie gdzieś w dworskim zaciszu, to dziewczę kiedyś moje! jedyne...

ŁASKOTEK: (z dąsem lekko wzruszony, pokrywając żal) O! wierć! Takie będzie jako inne! Tylko wy na nie inaczej pojrzyście! (połykając łzy) Oto i wszystko!

KORNAR: (do Urszuli uszczypliwie) A wam to jest przykre nad wyraz wszelki.

URSZULA-ŁASKOTEK: (zaczepnie) A wam skąd takie posądzenie?

KORNAR: (ze smutkiem) Po bólu, który „mnie” szarpnął sercem! Miłość trwożliwa jest: pełna obaw...

JAN ANIOŁ: Aj! jej! ajaj! Jakież cłkiwy nastrój! Arbitry przyjacielskich, serdecznych i wszelkich uczuciowych zawiązań... (udając grymas dziecinny). Do mamy! do taty!...

DANTE VANNER: (strofując go) A ty, błaznie, uragać ich niedoli się nie waży!

JAN ANIOŁ: (urazony) No! jeżeli dzioba roztworzyć nie wolno!

BARDO: Ależ rozwieraj Janiołku! rozwieraj, a szeroko... właśnie ci miałem rzec, byś nam coś zaświergolił, ty nasz zimowy śpiewaku!

JAN ANIOŁ: Tak, na sucho? anoby mi się dziób pewnikiem ozdaruł. Chyba, że dacie rozekieru lub mirtowego wina.

KORNAR: Widzicie gagatka! Rozekieru! Może rosy słońca?

GŁOSY: Tak! rossolisu! Jeszcze lepiej!

BARDO: Nie! Napój oltramontanów jest miód i piwo. Tem ich uczcijmy!

JAN ANIOŁ: Niech i tak będzie! ale bez piwnych excesów (do oltramontanów, grożąc) Wy, piwokraci!

KORNAR: No, to ich utrzymuj pieśnią na wysokości Tyrteuszów!

JAN ANIOŁ: Kolega Konsyljarz zawzdy ino ostrogą bodzie! a przed się im chciałem zaśpiewać nie o Tyrteuszu, a o Tyberyuszu, co zrobił głupca: quaestorem, bo do jego przypitku wysuszył caluteńką amforę!

NIEMIERA: Także nam to ową klasyczność zohydzacie?

BARDO: Kolega Major niby to nie wie, że się od wody wszy w brzuchu legną! A wszy roznoszą rozliczne a szpetne choroby (spluwa).

(Wjeżdża na taczkach Bean, wieziony przez scholarów, którzy krzyczą).

SCHOLARZY u taczek: Exmatrykulacja! Exmatrykulacja!

OLTRAMONTANI: Toć to nasz Bean! — Fuchs! — Novalis!

SACRANUS: Skądżeście go wytrzasnęli u djaska?

BEAN: (płaczliwie) Nie dosyć, żem się od rzezimieszków wychynał, a złodziejaskowie mnie do adamowego listka rozebrali, to natrafiłem tu na jakowąś „kaketreminę” zamiast „akademiję”, co mi się w niej uczonych gradusów trunkiem dosługiwać każa.

BARDO: Mów, jakże to było?

1. SCHOLAR u taczek: Ano, kazaliśmy mu tylko 6 naraz szklanek wypić, a on w każdej coś zostawił na dnie.

2. SCHOLAR u taczek: Ano potem u żadnej z ośmiu knajp przepijać, ani popijać bez korowodów nie chciał!

BEAN: (bije się w piersi) Mea culpa! sławetni królowie knajp! możebyście mnie za karę już tutaj wyrócili z taczkami?

1. SCHOLAR u taczek: Nie, bo zanim ci posypiemy sól mądrości na język... musimy cię wyeksmatrykulować ze wszystkich knajp w mieście.

2. SCHOLAR u taczek: Jazda! (Objechawszy w około sceny, wywożą Beana drugą stroną).

JAN ANIOŁ: (za nimi) Ostańcie na fetę 1-go śniegu!

KORNAR: Ale, nie ma strachu! Obwiózłszy go po wszystkich osterjach wróć tu oni jeszcze na nasze toasty!

SACRANUS: Tak? bez panien?

BARDO: Kiedy się na nas obrażyły, bośmy je stąd wyprosili!

ROSARIUS: Tere! fere! Panny się nigdy na chłopców nie dają długo!

JAN ANIOŁ: Mężatki też! Jako i Helena trojańska! Ani na Parysa, ani po 10 latach mężowi nie krzywa, choćby też była, jak Befana od Heleny piękniejszą, bo nie ruda! *(Wchodzi Janek poeta i Struthenius).*

JANEK POETA: Helena? Befana? Gdzie one są? Dawajcie je!

BARDO: *(z dąsem)* Skądże ci ją teraz wziąć? Było z chwili korzystać! Ażci to przecież ta, co mi jej całus Niemiera z przed wąsa zdmuchnął

NIEMIERA: Z przed wąsa, co go nie masz! Ale się przedsię cieszę, żem Jankową Helenę uźrał!

ŁASKOTEK: *(bardzo poważnie)* Ani Helena, ani Befana, tylko to jest Beata, doktora Fundamentariusia siostrzenica.

STRUTHENIUS: O dziwo! Wielcem wam rad choć za to wskazanie! Wszakci ten jest co książkę ową o pulsie dźerży?

JANEK POETA: No, patrzcie jako się dobrze wszystko składa! Dalej Collego Major! Nie omieszkajcie, bom już i rymy wygładził i radbym je w różanych ustkach Dominy Beaty zobaczyć a usłyszał.

STRUTHENIUS: A ja się też już do badania pulsu na czym niebądź zabrałem...

BARDO: Pokaże wam on doktor istne dziwy, szczególnie w biogłowskiem ciele. Mówię wam, odkrył on w niewieście jakowąś „Trąbkę“, której funkcyje medyków oczy, by wole ze zdziwienia i zachwyty pooździawiało!

STRUTHENIUS: *(z radością)* Gadajcież, a chyżej jako to jest?

KORNAR: Dość! Do stu tysięcy medycznych trąbek, pulsów i ośników! Gdzie czego miastce! Ile razy mam was nawoływać do refekcji pierwszego śniegu?

NIEMIERA: Ma rację konsyliarz! Do zwyczaju przybywamy, przyjmujemy go radzi! *(śpiewa lub mówi)*

Vivat Academia

Vivant profesores

Vivat membrum quodlibet

Vivant membra quaelibet

Semper sint in flores!

CHÓR: Pro salute Ultramontanorum

Pro salute patriae

Pro salute amicorum

Pro salute amicitiae

Pro salute theologorum

Pro salute Sapientiae *(według miast uniwersyteckich zmienić nazwę prałata).*

Pro salute iureconsultorum

Pro salute Kumanii *(j. w. zmieniać nazwę dziekana fakultetu prawa lub sławnego legisty).*

Pro salute Medicorum

Pro salute Oszacii *(j. w. nazwa dziekana med. lub cenionego doktora).*

Pro salute philosophorum

Pro salute Garbowii *(j. w. i imię wybitnego członka wydziału filozof.).*

CHÓR WSZYSTKICH: Studiosi

Otiosi

Vivant Bacchanalia

Vivant omnes virgines

faciles formosae

Vivant et mulieres

Tenerae amabiles, Bonae laboriosae

CHÓR OLTRAMONTANÓW: Vivat et respublica!

Et qui eam regit

Vivat nostra civitas

Mecaenatum caritas

Quae nos hic protegit.

WSZYSCY: Pereat tristitia

Pereant Osores

Pereat diabolus

Quivis antiburschius

Atque irrisores.

BARDO, DANTE VANNER, JAN ANIOŁ: Niech żyją przybysze!

NIEMIERA, ROSARIUS, JANEK POETA, ŁASKOTEK
i OLTRAMONTANIE: Vivat konsyliarze! Vivat koledzy
Citramontanie!

CZĘŚĆ SCHOLARÓW: Niech żyje życie!

WSZYSCY: Niech żyje młodość!

Kurtyna.

AKT IV.

OSOBY IV. AKTU:

Dr. FUNDAMENTARIUS, rektor wydziału medycyny	
KORNAR, konsyljarz nacji Oltramontanów	
NIEMIERA, Collega Major	studenci Oltramontanie
RÓŻANKA vel ROSATUS	
SACRANUS z Oświęcimia	
GROZA	
STRUŚ albo STRUTHENIUS	
JANEK POETA	
BEAN	
GWIDO z Sacrobosco alias van Heilich Wood	
DANTE VANNER	studenci Citramontanie
BARDO	
ALANZY	
BILIN	
URSZULA z BORÓW, jako scholar Łaskotek Niezblizek	
BEATA, siostrzenica doktora Fundamentariusza	
OLEJKARZ	
BORSON, odmykacz	
MEDYCY CITRA- i OLTRAMONTANIE	studjują simplicia
w Horto.	

AKT IV.

OGRÓD BOTANICZNY. — ANATOMIJA.

(Scena przedstawia grzędy i kwatery naukowych roślin, z napisami na tabliczkach; na lewo gdzieniegdzie cyprysy i tuje; wprost sceny weranda lub pergola; na zewnątrz wiszą woreczki nasion, pęki suchych traw, stoją retorty, flaszki i inne naczynia laboratorium chemicznego. Kilka wypchanych zwierząt i tychże

szkieletów wisi u stropu loggii; bliżej sceny parę zydlów składanych w X i stół niskawy, długości człowieka. Z prawej strony pawilon piętrowy — mieszkanie Dra Fundamentariusza i jego siostrzenicy Beaty; na dole brama z kołatką i izba zamykacza Borsona. Balkon lub okno loggii, umieszczone przy pnii glicyny, nad niem rozpostartej i w kwieciu. Pień ma być tak gruby, aby stanowił dla Łaskotka-Niezbliżka bezpieczne kryte po nim zejście z loggi na ziemię. Przy odsłonięciu kurtyny scena pusta).

Scena I.

URSZULA-NIEZBLIŻEK i BEATA: (Wbiega z lewej strony Urszula-Niezbliżek z nieodłącznym prętem; ogląda się niepokojnie, potem uderza 5 razy prędko w kołatkę i 3 razy wolniej. Oczekując patrzy w loggię; potem ukazuje się w niej Beata, klaszcze cicho i radośnie w dłonie, odwraca się i w kilku sekundach wydostaje się bramą na scenę).

BEATA: Witaj Orszuleczko. (oddala się i grozi jej figlarnie) Przykazywałam już nieraz Jego Studenckiej Mości, aby nigdy nie zjawiała się w Horto, w stroju scholara! (ze strachem) zobaczysz, że z tego mogą powstać najokropniejsze zawikłania!

U. NIEZBLIŻEK: Prawda! daruj! Najśodsza! Najlepsza! Ale czasu nie było: to przez uroczystość „Anatomiej”. Muszę to widzieć i poznać wszystkie ceremonie sekcji.

BEATA: (z niesmakiem) Ładne ceremonije! ćwiertowanie człowieka! brrrrr! (wzdryga się) dobrze, iż ta wasza „uroczystość” tak rzadko się odbywa! Nie wytrzymałabym u wujka! Powiedz mi Orszulo, dlaczego właściwie ty wszystko z tymi młodymi mędrkami musisz widzieć i poznawać?

U. NIEZBLIŻEK: Czy ja wiem?... To jest we mnie. Ja się znów dziwię, jak można ku temu nie lgnąć... (z zapalem) całą duszą?

BEATA: (z nadętą powagą w hieratycznym ruchu kadzenia) Naczynie mądrości!

NIEZBLIŻEK: (Tensam lekki figlarny ruch kadzenia. Mówi głosem słodkim): Naczynie dobroci!

(Śmieją się, rzucają się sobie w objęcia).

NIEZBLIŻEK: To nie przeszkadza, że jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami... (poważnie) Do grobu!

BEATA: Tak wierzę,... na zawsze! Ale pamiętaj o sukni na drugi raz.

ŁASK. NIEZBLIŻEK: (z udaną powagą) Klnę się... na ośłą skórę księgi Strutheniusa o pulsie.

Scena II.

(Wchodzą Kornar i Olejkarz z długawym kofanetem).

KORNAR: (po ukłonach damom): Wysoko urodzony Ursynie z Borów, co dostanę za nowinne?

U. NIEZBLIŻEK: (pewny siebie) A co? podobala się moja teza?

KORNAR: O tem pomówimy później. Na razie, ten oto olejkarz, rozbija się po całym mieście za szlachetnie urodzonym scholarem waszego nazwiska, któremu między innymi doręczyć ma podarek z kraju.

U. NIEZBLIŻEK: (podskakuje na palcach) Wybornie! Już na przód dzielę się z Beatką miłą, całym moim skarbem. (Do Kornara nieśmiało:) Czyż i z wami dostojny Konsyliarzu?

KORNAR: O tak! tak! chcę i ja mieć udział w waszej radości. Ale co ja to dostanę?

OLEJKARZ: Są balsamy: różany, moszusowy, olejek rozmarynowy, zwany „Łezką panny młodej”...

KORNAR: Dosyć! Nic więcej nie chcę. „Łezka panny młodej” dla mnie! (rzewnie do Urszuli) potwierdzać mój wybór?

U. NIEZBLIŻEK: Skoro już musi być konieczne coś za nowinne... (do olejkarza) ale wam czy „posłanne” zapłacić mam?

OLEJKARZ: Nie. Kambierz je w mieszkaniu Waszem otrzymał od Wielebnej Siostry Bogny. Ja mam zlecenie tylko nauczyć was sztucznego odemknięcia (klęką obok kuferka, z jednej strony Beata z drugiej Niezbliżek oglądają).

BEATA: Ciekawa zasuwka! Czy ze skrytką w kofaniecie?

OLEJKARZ: Tak. Naciska się sprężynę, ale tylko w tem miejscu. Inaczej się wieczko nie podniesie, choćby rąbał. (Panny oddychają z lubością).

BEATA: Ach! co za rozkoszny zapach!

OLEJKARZ: To szpikanardy, a to balsamowe amulety do noszenia na szyi; dopiero przez ciepło skóry, nadają ciachu

woń delikatnego kwiatu. To jest mój własny towar; jeżeli raczycie kupić...

BEATA: Ależ tak, oczywiście! *(dobywa trzosika u pasa i płaci z miną nadętą)*. Ja też muszę waszymi ślady robić doświadczenia alchemiczne... na mojej szyi, *(z kokieteryą)* ale tylko z wonią listka róży.

OLEJKARZ: Resztę zawartości tego kofanetta ma Imci Panicz Ursyn z Borów wręczyć, sławetnie zacnej Donnie Beacie; drugą połowę wszystkiego oddałem u Dobrego Pielgrzyma, ale Wielebna Mater Bogna na usłudze w szpitalu tego nie włoży, wcale się stroić nie chce, i dla swej przyjaciółki, co z nią mieszka — przeznacz. Tak mi rzec kazano *(kłania się wszystkim, odchodzi)*.

ŁASK. NIEZBLIŻEK: *(Grzebie w kofaniecie i stroje rozwija)* Kitlik ozdobny, perłami dziany i miczka futerkiem obrzeżona! Patrz! Patrz! Najmilejsza! To też dar siostruchny mojej, mej Krysiulki! To już dziać zaczęła za moich czasów, w domu ojców *(całuje rzeczy i roztrząsa je z zachwytem)*.

BEATA: No, przymierz kitlik.

ŁASK. NIEZBLIŻEK: *(oczarowany)* I miczkę też! *(Zarzuca kitlik na siebie, ciska swój beret scholara na ziemię, wdziewa czapeczkę z perłami na głowę)*.

BEATA: Śliczna miczka! *(patrzy na Łaskotkę z upodobaniem)* Czemużbyś tak zawsze ostać nie miała?

KORNAR: *(zbliża się — bierze ją za rękę, pochyla się ku niej; głosem wzruszonym)* Czemużbyście tak zawsze ostać nie mogli?

ŁASK. NIEZBLIŻEK: *(opamiętowuje się; ruchy z miękkich dziewczęcych, stają się więcej kańciaste, ale zawsze bardzo wdzięczne)*. O nie! nie! W miczce „wam” będzie jeszcze piękniej! *(zdejmuje, kładzie na głowę Beacie)* O! dla mnie beret żaka w sam raz *(rozgląda się, szukając beretu, podjął go nagle Kornar, przyciska do piersi)*.

KORNAR: *(z serdecznym przekomarzaniem)* Nie, tego nie oddam.

ŁASK. NIEZBLIŻEK: *(wydyma buzię z miną zuchwałą)* To sobie za niego zdobędę biret doktorski! *(przymierza kitlik do Beaty, przypatruje się jej z podziwem)* A w kitliku!

jakże ci do twarzy! Całkiem jak księżniczka oltramontańska! No, bierz to dobruchna moja!

BEATA: Czyż ja mogę? *(walczy z pokusą wzięcia, patrzy to na Urszulę, to na kitlik)*.

ŁASK. NIEZBLIŻEK: *(przekonywująco)* Bierz! bierz! i zaraz się przedziej! Wszak słyszałaś, że jest doma drugi kitlik dla mnie! Naszej nieszczęsnej Bogienki obłóczyny wkrótce. Ona już i dziś oblubienicą nieba... które jej Litwina wcześniej przyjęło... *(nagle zasepiona, potem otrząsnąwszy się)* No! Najdroższa! tylko dlatego, żeby mi nie odmówić...

BEATA: *(pogodzona z losem)* No, to już chyba dlatego jedynie!... *(Panny składają rzeczy do kofanetta)*.

KORNAR: Cna panno Beato! która idziesz wdzięcznymi sładami swych praszczurzy, dla miłości stworzonych — udzieliś odrobinę swej wrodzonej mądrości temu oto uczonemu scholarowi! *(z przesadą)* Ursynowi z Borów! który mnie jako konsyljarzowi jego nacji wręczył tezę... *(ogląda sekstern)* trzysta... ileś... „Problemata Aristotelis“...

BEATA: Dostojny Konsyljarzu! *(kłania się)* Jestem bezsilna. Tyle tylko, że mnie przynajmniej Ursyn-Niezbliżek do swych artykułów nie nawrócił, choć je z nim wertowałam! *(z dumą)* a jakże! *(recytuje)* „problem 224-ty”. Czemu człowiek nie ma kopyt, jak inne bydło! Albo 160-ty problem także! czy nie? Czemu koń ma szerszy grzbiet niż człowiek? Albo 218! Czemu biodra są szerokie? *(poważnie z miną doktorską)* a to dla spraw niektórych, co ich nie może inaczej odprawować, jak siedzący, tak natura mu dała dwie poduszce, bo nie każdy wezglowie może mieć.

KORNAR: *(przestraszony)* Ależ nadobna Monno Beato! toż to czysta przyczynowość!...

BEATA: *(figlarnie)* Oj! nie bójcie się! Ja ufam przyrodzie — nie pytając jej o nic...

ŁASKOTEK-NIEZBLIŻEK: *(tonem kaznodziejskim)* Ja zaś wam 136-ty problem wyłożyć zamierzam, boć mnie ano niesłusznie o chłód do was pomawiacie.

BEATA: To mnie wcale nie pociąga! Żegnajcie przemili nudziarze! *(Zabiera stroje i odchodzi, żegnając całusem Łask. Niezbliżka, ukłonem Kornara)*.

KORNAR: A więc, jakże tam jest? (*rozwija sekstern, czyta*) „Czemu żadna niewiasta nie bywa obojętna? — Dla niedostatku ciepła przyrodzonego; gdyż otrok nazimniejszy, zawsze cieplejszy jest niżli wszelka niewiasta!” (*załamuje ręce w udanej rozpacz*) Otóż to Arystoteles, na użytek pań! A jabym wam piękna Donno mego serca... o! darujcie! Mądry Czółku-Niezbliżku taką dał tezę do rozwiązania: „Cóż jest gorsze: czy obecność kochającego wobec obojętnej, czy kochanie wzajemne — w oddaleniu”...

ŁASK. NIEZBLIŻEK: (*zainteresowany*) O! jakeście to rzekli kunsztownie! Cale jak u „turniejów Miłości!” A mnie strach jeno oblatuje, i zapytałbym rada, co mi będzie szkodniej, czy mnie odkryją w panińskiej, czy w chłopińskiej sukni... bo jedno a drugie mnie wiedzy i nauki w każdym „Studio” pozbawi....

KORNAR: (*z tęsknotą*) I także mnie ustawnie, a niewdzięcznie z tropu zbijacie? Biedneż to kochanie moje!

ŁASK. NIEZBLIŻEK: (*zafrasowany*) Ale czemuż ja tak mimowoli k' sobie zwróciła? Ani lubczyku, ani dziewięciornika, ani nasieźrału przy mnie... Ino ten inkaust na palcach... (*ogląda je sobie*).

KORNAR: (*bierze jej ręce, całuje końce palców*) O moje małeńkie i tak bardzo drogie paluszki! Wasz nasieźrał, wasza racja, wasza wiedza nawyższa... to uroda, a wdzięki...

ŁASK. NIEZBLIŻEK: (*patrzy na niego przekornie, chowa ręce za siebie*) A zasię! A nie! Uroda, uroda! a teza — teza! I tak muszę się dobijać o biret doktorski, skoroście mi własny mój zabrali! (*wbiega żywo do domu doktora Fundamentariusza*).

KORNAR: (*przyciska beret Urszuli do piersi z gestem prośby i przeczenia, patrząc ku domowi*). A gdyby i zdobyła biret doktorski — musi być moja!... (*Niezbliżek pojawia się na mgnienie oka w loggii i znika*).

KORNAR: (*zauważył to z błyskiem radości w postawie. Dopiero po tej grze zwraca się do głębi ogrodu, który tymczasem wypełnił się grupą młodzieży studjującej ziola. Pochyleni, zrywają gałązki opatrują, wychodzą na werandę, oglądają pod światło flakony, wstrząsają gąsiory. Całość sceny przedstawia chwilę naukowego skupienia w czasie przyrodniczych badań. Z jednej strony werandy widać pulpit,*

jak w chórach katedralnych na którym rozwarła wielką księgę. Przychodzi Struthenius, staje przed nią wertuje, bardzo pogrążony).

Scena III.

(*Kornar, Niemiera na pierwszym planie, Sacranus, Rosatus, w głębi Struś*).

KORNAR: (*pozdrowiając*) Witam was! Nichże będzie uczczon Kollega Major, a raczej uznania godny, a bliski dyplomu „Doctor juris!” (*Niemiera odklania się milcząco*). Czy i w was zajęcie budzą wszystkie intermedja „Anatomiję”, które na te dni medykom ogłoszono?

NIEMIERA: Wszakże Arcyanie, Jurysty, a nawet Inżynierzy wolny wstęp, a zaproszenie mają.

SACRANUS: W czym inszem śnać pogrążeni, nie mogę z myśli spuścić człowieka, najbliższego przyjaciela a bywa i wroga — swego własnego ciała!

KORNAR: Wysokie nasze Uniwersytety mają istotnie zakreślone myśli wytyczne tak podniosłe, że zapewnić mogą cel trudów i nasycić dążenia i wieków i pokoleń, w nieskończoność.

ROSATUS: (*pochyla głowę w potakującym przyzwoleniu*) Godzimyż się tu wszyscy na to...

KORNAR: Wielcem rad, że i Wasza Nacja, sercu naszemu droga, rośnie w wiedzę, zasługi a uznanie. Matrykuły pełne — licencje i doktoraty bez mała, jak wasz świetne — kilku stało się prawą ręką docentów — bez Gelandinusa Dr. Fundamentariusz chwili obejść się nie może... a już Struthenius...

NIEMIERA: (*ponownie, lekko się skłaniając*) Dobra, których Uniwersytety stróżują, nie znają granic, ani krajów, ani narodów... Prawda i Wiedza to własność ludzkości...

KORNAR: Tak, ale tylko wspólność pracy pozwala je w każdym miejscu mnożyć... Wyznanie, stan, plemię — innych dzieli... nas — wiąże!

NIEMIERA: (*z goryczą*) I jam myślał że zastępujemy ludzkość, wobec ciasnoty i drobiazgowości usiłowań postronnych, ale widocznie ten kieł tu nawet wschodzi i ziarna,

trudem dobytego trza od złej ręki sąsiada jako i burzy chronić...

KORNAR: *(porywczo)* Co mi ukazać chcecie? Czyżby nowe targi psuły nam braterską jedność? a krępowały swiebodę pracy i wolny rozwój sił?

Scena IV.

(Powoli z kilku stron ogrodu kupią się koło nich grupy scholarów, na przodzie Różanka, Dante Vanner, Bardo, Guido z Sacrobosco, Bean, Groza, Alanzy, Bilin i in. Citra i Oltramontanie).

NIEMIERA: Za mało nas jest, byśmy tworzyli odrębną nację, to też musimy przyjąć dwormistrzostwo stowarzyszonych pierwszej.

ALANZY: A czemuż sami dotąd luzem idziecie?

ROSATUS: A to przechyra! To nie jest argument, jakobyście zawsze jeno z pośród siebie konsyliarzy wybierali!

BEAN: Za jaje nas nie macie! Kryjomką nawet, niestanne kondemnaty ciągniecie na nas!

OLTRAMONTANI: A to metlarze! Maścibrzuchy!

BEAN: Na sztyk nas narazili przy wyborze Rektora!

ALANZY: A czemuście pacholików nawet co was obsługują do stopni forytowali?

NIEMIERA: Skoro żądni wiedzy? W czymże wam to czci ujmuje? *(Do Kornara)* Rozdzieleniśmy na dwa universitates, toć nigdy przewagi liczebnej mieć nie będziemy, jeżeli nie przeważy duch — i to nie gromady lub siły, ale sprawiedliwości!

ALANZY: Aha! Otrzeźwiliście wichrowate łebkosie! że nie pojedynkiem coś znaczyć można! Ino ławą z nami iść potra!

ROSATUS: *(gwałtownie do Citramontanów)* Nie pasujecie do nas!

GROZA: A my się do was przytknąć nie raczym!

BEAN: Bobyście nas ospaczyli! pokraki jakieś!

BILIN: *(zaczepnie)* Będzie tak! mordate i szczekotliwe rajce! skoro się ordynkowi naszemu nie poddajecie!

KORNAR: *(mitygując jedną i drugą stronę)* A to gregorjańskie ognie! Opamiętajcie się w tym wybuchu, i żeby wam on

uczucia ludzkości, a koleżeńskiej spójni nie osmolił! Są granice poza któremi patriotyzm jak wyznanie przestaje być cnotą.

(Wielki harmider).

GŁOSY: — Tak! — Nie! — Przenigdy! Hańba! — Ma rację konsyljarz! — Precz! — Słusznie! Dobra wasza Konsyljarzu!

ALANZY: *(zwardliwie)* Nie jesteśmy Ochronką żeby nam mleko z pod nosa ocierano!

GROZA: *(niechętnie)* A nawet wszechnica nie jest żadnym Zakładem wychowawczym!...

KORNAR: *(pojednawczo)* Bezsprzecznie. Ale stoicie właśnie koledzy na polu badania i nauki! *(wskazuje w dali ogród, pracownie uniwersyteckie gdzie Struthenius właśnie odwraca karty księgi)* Ścierać się można — ale i znosić trzeba; rozumieć, a przenikać starajmy się wszyscy. Zbadamy raz jeszcze słuszne wasze liczebne i jakościowe przewagi. Proszę cnych kolegów seniorów z każdej nacji do mnie. Zwołamy sąd konsyljarny. A tymczasem nie zapominaście miłe kompanie, że za lat dziesiątek staniemy na czele narodów, jako kierownicy, a może i twórcy czynu którego nie ma bez porządku a bez stósowań części do całości...

SACRANUS: Bacznosc Konsyljarze!

ROSATUS: Seniorzy! Zdala od „Bractwa Pijusów!”

BILIN: To, abo co inne. Wiadomo, że wszyscy rajcy to zawsze gremium siedmiu „Braci Śpiących!”

KORNAR: No! No! „Zawsze i wszyscy!” Distingo! *(Niektórzy rozweseleni, inni nadąsani).*

ALANZY: Nie! Nie! Żadne warunki! Żadne różniczki! Prawda — to bój! Radnym być — to fechtmistrzem być!

KORNAR: *(przyjaźnie)* Otóż! A więc moja pikiet — naprzód! Czynimy naszą duchową wartę. *(Wychodzi w towarzystwie kilku citra- i oltramontanów, reszta grupuje się koło Niemier).*

Scena V.

(Poprzedni bez konsyljarzy; później wracają Groza, Bean, Janek poeta, Dante Vanner, Bardo i inni scholarzy uczący się w Horto).

ROSATUS: Bodajże to nasze rodzinne strony! Ah! czemuż przed nami rajce miasta drzwi nie zamknęły jako w Lipsku, kiedy się młódź i stamtąd rozproszyc chciała!

BEAN: Czemuż się nam własni ojcowie w progu nie położyli, by nam przejście zatarasować z domów ojczystych!

JANEK POETA: (*Zbliża się z gałązką, którą powiewa*) Trzy ptaszyny strzegły rycerza poległego w ojczyźnie: jedna u nóg i żaliła się rok — to żona; druga u serca i lamentowała miesiąc, to kochanka; trzecia u głowy i ta płakała życie całe, to matka.

NIEMIERA: (*wzruszony*) O, Macierze wy nasze! piastunki ciała i dusz!... stróżując wasze modły i myśli wahania synów? gdy od dobra do zła przestrzeń ocemgnięcia?

ROSATUS: (*z męską godnością i siłą, ciepło i serdecznie markować*) A wy Ojcowie! Czy wasza najdroższa głowa spooczywa tera przezpiecznie, że my waszego wysiłku ani leniowie nie spożyjem, ani go w błocie wlec nie dozwolimy! Ale, że wasze cne życie w nas utajone wyżej poniesiem, w czci i podzięce dla trudu rodzica!

GROZA: Bodajże nam było na łanach naszych paść oczy złotą morą zbóż, piąć je ku górze ze smukłą sośniną. (*Rozglądają się*).

NIEMIERA: Pięknie tu! a jakoby nic nie było!

ROSATUS: (*lekceważąco*) Cóż to za marne krzaki i kłęczce! (*z tęsknotą*) Nie masz borów! Do puszczy niepołomskiej króla Jegomości dal wielka!...

BEAN: Rzeka nasza, na szarej stali swych wód niesie do morza tratwy i galary zbożem ładowne... ale na niej wśród flisaków żaka nie uświadczy...

GROZA: Nie uświadczy! Dalecyśmy od swoich...

ROSARIUS: Obcy, nieznani żakowie... (*posmutnienie ogólne*).

NIEMIERA: Wraz mi piszą przez kambierza z samego Studio... (*Rozradowanie*).

GŁOSY: — Co? — Jak? — O czym? — Od kogo?

NIEMIERA: Pisze Extraneus Dowojna, a doręczył mi cotylko olejek jego pisanie.

GŁOSY: — Gadajcie! a żywo! — Mówcie! — co słyszać?

NIEMIERA: (*wyjmując pieczętowany, złożony list, wzdycha*) posmutniało po nas, niby po pogrzebie... piszą: „Ucichły pieśni w kościołach... niema komu o bruk miejski junacką

stopą zadudnić! niektóre prelekcyje zawieszono... Alma Mater straciła swoje syny... a gdy nie było kogo karmić — wyszło nieplodne łono, które żywiło łaknących wiedzy swoich i obcych siła, przez dwa wieki prawie...

GROZA: A dało światu Viteliusza „Optykę”, Kantego świętość...

BEAN: ...i mistrza z Torunia, Kopernikusa, Ptolemeuszowych błędów wielkiego ukaziciela...

NIEMIERA: Duns Scott poszedł na krupy przekupkom... a i tam, u kramnic zamilkły poswarki... (*Scholarzy spuszczaają głowy, miny zasępione*).

NIEMIERA: (*prostuje się*) Ale ja wszakże dufanie mam, że nie na próżno łakniemy równej wszystkim miary dóbr bożych...

ROSARIUS: (*z większym ożywieniem*) I naczóbyśmy się wystawiali na zdzierstwo dróg, łup zbójów, choroby, głód, niewygody i obcych wstręty!

NIEMIERA: Z tego wszystkiego trzeba wykrzesać królewski dział tężyzny ducha. (*Coraz to większe ożywienie*) Nie chciałem ja lekko a wichrowato kraj opuścić... a teraz, gdy wnet otrzymam godność doktora, nie opuszczę was ażci gdy nas siła będzie co nie z próżnemi rękoma i głowy... ale z tryumfem poetyckim Janka... z „Tezą o pulsie” Strutheniusa... z „Bakalaureatem dekretów” Wandrogowina... wrócimy ziemi naszej glebę pszenną i wałem ochronnym...

BEAN: A wtedy dokończycie moje Otrzęsiny! Co?

ROSARIUS: Wrócim, nie uroniwszy nic... ani okruszyny, którzy nas, a przezto i mac ojczytą pożywić mogła... Do pracy jurysty, artysty, medyki, cyrologi!

JANEK POETA: Patrzcie na Strusia! Jak się kiwa nad swym pulpitem, niby rabin w szabas.

GROZA: Wróćmy i my do naszych simplicjów; nie takie zaś one proste, jako ich nazwa... Uf! Jak tu te łajdaki zioła zgrupować?... od korzenia? Od nasienia?

BEAN: Jać radzę, na pierwszym miejscu wsadź pokrzywę, bo ją z wielkim respektem, ino przez rękawiczkę tknąć można...

ROSATUS: — Patrzcie! Żarty się go imają w wilię anatomiej. A mnie już całą noc roznosiło po wezglówiu i nie spa-

łem ani ocemgnienie, w nadziei jakoby przeważnych wypadków...

(Zbliżają się scholarzy ze wszystkich stron, opuszczając grzędy badanych roślin).

BARDO: Dziwy! toż i ja! A nie pierwszą to noc spędzam w przeddzień „Anatomijej” na czuwaniu, niby warta ry-cerza przed święceniem...

NIEMIERA: Ja znów spałem jak Cezar w wilię zwycięstwa. Bo mi się widzi, że miecz rycerski wiedzy przypasuje żak raz na zawsze i śpi z nim — do ustawnego bojowania gotów... To też poprostu przyszedłem doktora Fallopiusza prosić, by mnie na swego pomocnika jutro wziął.

ROSATUS: Kiedy go już w domu niema.

BEAN: Jest!

VAN SACROBOSCO: Jako żywo niema, bo mi mówił Novicampianus, że mu mówił Alanzy, że mu mówili Bonfilio i Maciej Garbar *(za każdym wymienieniem podnosi wyżej palec, potem 2 itd.)*.

NIEMIERA: Ho! ho! Tyla świadków! A jak się pomylił Novicampianus, pomylił Alanzy, pomylili Bonfilio i Maciej Garbar... *(te same gesta)*.

VAN SACROBOSCO: To ich opierzemy szpicrutą Łaskotkową.

ROSATUS: Bacz, abyś ty zasię pierwszy nie dostał!

BARDO: Co dostał? Całusa od pięknej Beaty? Gotówem brać!

ROSATUS: Hale! obliż sobie wąsy na myśl o tym smaku; nie-masz całusa Beaty, jak i Łaskotka.

VAN SACROBOSCO: ...bo ich cała wciornasta nacja Oltramon-tanów strzeże z Niemierą na czele, który za tę imprezę gotów każdemu ucho zdmuchnąć...

BARDO: A czy to jej przyjaciółki Karla i Likoris nie są też by cud ciałkiem obciążnięte?

JANEK POETA: He! he! Bodaj choć platonicznie im i Beatce częściej w oczko zajrzeć!

BEAN: I mnie takóż, chciałoby się tego, aż mię rozbiera, jak nadzieja „Anatomijej” Rosatusa, tylko cóż? nie wiem, jak zacząć z obcą damizellą, bo na gęśli dać nie umiem, a jako żywie jeszcze i wiersza nie sklecił!

DANTE VANNER: No to się nie zabieraj nawet! bo sonety i canzony to jedyny most do naszych pięknych!...

VAN SACROBOSCO: Tylko, że Nobildonna Beata już raz od napastliwej galanterii przez Niemierę uwolniona w dzień „Pierwszego śniegu”, już od tego czasu tak ku niemu oczkiem strzyże, no, że gdyby tak na mnie przyszło tobym się już dawno zapalił jak wióro suche, stopił jak aptekarski cukier w tyglu, usechł jak badyl w łozach...

NIEMIERA: *(drwiąco)* Wióro! cukier! badyl w łozach, usechł!...

Masz sonet gotowy! Idź! pisz! dostaniesz serce Beaty!

BEAN: Słuchaj Janek! możebyś ty naprawdę jakie poema z tych wszystkich rzeczy zrobił!

JANEK POETA: Niech się jej dokładniej jeszcze przyjrę! By mi tylko w Auli na turnieju poetyckim Heleną być chciała...

VAN SACROBOSCO: Widzicie! Wszystkim potrzebna! Musimy ją dostać! Dalej, naprzód! wyprawa przed śliczny buziak siostrzenicy uczonego doktora Fundamentariusza.

NIEMIERA: Ani mi się waż!

BARDO: A to dobre?!

VAN SACROBOSCO: I dlaczegoż to? | Razem.

NIEMIERA: Bo ona nie z tych dziew, do których wy krzyka-cie w podcieniach: Qui va li? Qui va la!

ROSATUS: Zresztą doktor Fallopiusz jest dla naszej nacji tak dobry! Dwu z niewoli wykupił! Gdy strachem obla-tują przed egzaminami — i cofają się choć są okuci na lód, przecz do nich idzie doma, półżywych wiedzie do licencji i jako zasłużyli przez gradusy ich przeprowadza!

VAN SACROBOSCO: I dla tej to przyczyny, jesteście wszyscy w ogólności, a Niemiera w szczególności w Beacie zako-chani powyżej uszu!

BARDO: *(groźnie)* Tak! rroz-z-ko-ch-cha-ni na zabój!

NIEMIERA: *(spokojnie)* Nie kocham jej wprawdzie, alebym czci jej do ostatka bronił.

ROSATUS: No aleś i tak obiecał razem z książką: o „Pulsie” dla Strusia „Ją” na Helenę do dramatu Jankowego zdo-być!

NIEMIERA: Bo wtedy były to dla mnie odległe szczyty! Dziś, gdy dzieło o „Pulsie” Struthenius tam oto bada, *(wszyscy zwracają się ku pracującej postaci)*, a gdy Beata, tam o ścianę tka lub haftuje...

VAN SACROBOSCO: Abo się stroi...

NIEMIERA: To mi już tymczasem nowe wierzchołki wyrosły przed oczyma.

JANEK POETA: Aleś słowo rzekł i od tego skwitowania nie masz.

NIEMIERA: (*obojętnie*) Toż jestem gotów! Byle nie obcesem, a jakąś napaścią (*żartem*) to żyw czy umarły słowo spełnię...

VAN SACROBOSCO: Poprawdzie, toby ci tak nawet łacniej przyszło!

BARDO: Jak powiadasz?

VAN SACROBOSCO: Wiecie wszyscy, że Borson... odmykacz...

BEAN: Do diaska z Cerberem!

VAN SACROBOSCO: Na pohybel mu! bo ten czort Borson nie nosi nas żywych scholarów zbyt głęboko w sercu...

ROSATUS: Wszyscyśmy doznali, jakie robi wstręty, gdy jego Łaskawość doktora nawiedzić zamierzamy...

SCHOLARZY: Tak! A ino! Małpie skandale! wydwarzania! Cięgiem! — Tak! — krzywda! A więc? — A więc?

VAN SACROBOSCO: (*do Niemierzy*) Otóż tybyś niby pomarł, mybyśmy cię niby przynieśli do ostatecznego opatrunku, niby po list do św. Piotra a jakbyśmy się tam już w pokoju wujka, między chirurgiczne sprzęty naleźli, który z nas skoczyłby, zapukał do świetlicy panny w tej loggii... Beata wychodzi...

BEAN: O, to mi się podoba!... (*robi kilka delikatnych panieńskich kroków*).

VAN SACROBOSCO: ...my rżniemy na kolana, czcząc ją niby paziowie i giermcy... Scholareski (*kilku studentów oddaje to mimiką, Bean zbliża się do nich z dziewczęcym zakłopotaniem, jakby od jednych wzdragał się a od drugich skłaniał się przyjąć oświadczyzny, obnosząc rękę do pocałowania z nadętą godnością. Zabawnie szarżowana, jednak bez prostactwa gra mimiczna scholarów*). Potem Niemiera machnąłby ku pannie koperczaka i Beacie rolę Heleny Jankowej u jej małych stóp złożył. No! Dawaj Janek ca niebądź. Poeta zawsze przedsię byle co ze sobą nosi, jako ostatnie arcydzieło...

JANEK POETA: Masz! masz! wyjątkowo się mi ostało... (*wśród śmiechu scholarów podaje mu trąbkę papierową, wyjętą z kieszeni na piersiach*).

VAN SACROBOSCO: Ona mówi:

BEAN: (*cieniutkim zakłopotanym głosem*) Pomów waćpan z wujaszkiem... (*wesołość*).

GROZA: To mniej więcej wszystkim nasamprzód na język przychodzi.

VAN SACROBOSCO: I wynieśliśmy cię wszyscy z powrotem przed borsuczym nosem kundla Borsona, zanim doktor Fundamentarius wróci z naszej universitas.

NIEMIERA: (*z komiczną determinacją*) Ano! niechajże już raz koniec będzie temu przyrzeczeniu, którem raz wraz, jako niezapłaconym wekslem nademną brzękacie. Biercie mnie!

ROSATUS: Takeś skory? Jeszcze cię jakie lichy potka!

VAN SACROBOSCO: Aha! zajęczego szukasz? Nie dałbych złoty kęsy, że was strach oblatuje!

ROSATUS: Masz wolny targ, wiło zuffały! Abyś tylko nie żałował takich furfanterji!

NIEMIERA: Przedsię mnie nie pokrają w miastce tego nieboszczyka, co go medyki jutro będą ćwiertować...

BARDO: No to się kładź osmarogu nieprawie zadufały w sobie!

DANTE VANNER: Dawajcie opończę. (*Jeden zrzuca swą pełerynę, którą składają, biorą po rogach. Niemiera się wyciąga na niej, prostują go*).

BARDO: Ho! ho! nie dosyć ciebie na „Beanii“ obciosali, boś jeszcze wybuchał nad miarę.

GROZA: To już nietylko Niemiera herbu „Ciołek“, ale wół nielada!

ROSATUS: Niemal sam byk farnezyjski! Dźwigajcież go osły, a nie walcie na niego kataneli, bo jak nie będzie mógł dychać, to nas pobodzie.

NIEMIERA: (*wychyla głowę*) Baczność! Uuu! Uuu!

GROZA: A cichajże zatracieńcze! bo już wychodzi zamykacz z domu doktora (*pokazuje się Borson w drzwiach*). Idź, który naprzód i wymyśl co ino, aby zacząć...

BEAN: Ale! Idźcie wy! Ja nie czytałem wcale Orlanda Szalonego, to mi konceptu brakuje na takie awantury!

Scena VII.

(*Ciż, Borson, potem dr. Fallopiusz*).

VAN SACROBOSCO: (*do scholarzy*) No, to pójdę! Bo ja znów

często marzyłem, by się przedzierzgnąć w Goffreda Rodomonta! *(Występuje naprzód energicznie)* Dobrrrry Borrrsonie!

BORSON: *(zbliżając się niechętnie)* Cóż Wasze Miłoscie taki gomon tu czynią?

VAN SACROBOSCO: To tamci. *(brak mu odwagi, jęka się)*. Myśmy przyszli po to... po te... lancety, szczypce a ośniki, by je na swoim brusku przeciągnąć a do auli przynieść... przed „Anatomiją”.

BORSON: *(patrzy nieufnie)* Co ino jaśnie studenty stąd odeszli i narzędzia zabrali, co były przekazane, a o innych rozkazu nie mam.

GROZA: Nie udało się! Zobaczycie, że nas stąd wydmuchają.

DANTE VANNER: O! o! o! Takiś to szczywany lis, któremu brys stary jednym machnięciem ogona ducha odejmuje?

BORSON: A cóż to za pakunek? *(kręci głową, ogląda żaków podejrzliwie, patrząc na niesionego Niemierę stając w drzwiach, podpira się pod boki w postawie oczekującej)*.

VAN SACROBOSCO: Aha! Niestota! Towarzysz nasz...

BORSON: Niemocą tknięty, biedak! No, no! jest tu takich moc przez każdy dzień i napatrzyłem się ludzkiemu ćwiartowaniu, nikię rzeźnik w bydlęcym szlachtuzie! A nawet niechwalący się... przez tyle lat praktyki... Możebyśmy niezgorzej sami opatrzyli co niebądź, nie oglądając się na dobrodzieja doktora naszego. *(popłoch wśród młodzieży)*.

GROZA: O nie! nie! dziękujemy waszeci, ale to się na nic nie zda!

DANTE VANNER: *(wzdychając)* On tu do innej praktyki przychodzi...

ROSATUS: Uuuuu! przyśliśmy, aby najślawniejszy wasz doktor, na tym oto stradniku, sławetną swą naukę okazał!... *(robi znak cięcia)*.

BORSON: *(pojmując)* Ho! ho! O! i na tem się znamy! Ależ to zawsze większy honor być poćwiartowanym według przepisów uczonych! Idźcież waszmościowie, tędy droga! *(Usuwa się, potem zachodzi za dom, to plewi grzedy, to umacnia tyki u roślin. Od czasu do czasu staje, przypatrując się akcji scholarów. Scholarzy zbliżają się do drzwi, w których nagle ukazuje się doktor Fundamentarius)*.

BEAN: Na rany Pańskie! Toż doktor miał być w Studio, a on tu?

Dr. FUNDAMENTARIUS: *(do skonsternowanych żaków serdecznie i uprzejmie)* A? Szlachetnie urodzeni Oltramontanie! Czemże sławnej waszej nacji mogę fundamentalnie okazać moją wielką życzliwość!

ROSARIUS: *(do żaków)* Cóż, kiedy szlachetnie urodzeni sławetnej nacji, fundamentalnie zapomnieli języka w gębie! No gadajcież co beany jakieś! *(kryją się jeden za drugiego, osłaniając Niemierę)*.

GROZA: Duchem pędźmy do ogrodu! przez kwatery mięty ku wyjściu najbliższemu.

VAN SACROBOSCO: *(puszcza jedną nogę Niemierę, występuje naprzód)* Toć miły kamrat nasz zaniemógł jakoś... i... i... i...

Dr. FUNDAMENTARIUS: Nie traćcież mili waszmościowie rezonu! Sławna medycyna Gallena i Hippocrena zdroje skuteczne otworzy ku otrzeźwieniu waszego druha. *(Robi miejsce na stole)*. Tu niech spocznie! *(Żacy słuchają biernie, układając Niemierę w posagowej pozie. Wraca Borson z podniesioną wśród ziół sprzączką)*.

BORSON: Znalazłem tę oto szpangę i sznur lity z guzami. Pewnie zapinka od opończy tego umrzyka! Niech tam ichmościowie zabiorą i oddadzą komu potrza! *(odchodzi, jego gra mimiczna j. poprzednio)*.

Dr. FUNDAMENTARIUS: A więc już nieżywy? Któż to zacz? *(Scholarzy zakrywają sobą głowę Niemierę; ta gra powtarza się przez cały ciąg anatomji. Chwila milczenia)*.

Dr. FUNDAMENTARIUS: *(dobrotliwie)* Przyjdźcież panowie k' sobie, ochłonawszy z waszego słusznego frasunku! *(Zwraca się ku oknu werandy, bierze flaszki, podgląda do światła)*.

ROSATUS: Wytargnijmy go stąd co żywo! Vanner! Hola! bier go pod ramiona, a ty sakramencki, Sacrobochu! za nogi!

DANTE VANNER: Hej! tamci! pomagaj kto żyw! róbcie drogę! Brać go za głowę, w pół, drudzy za stopy! Dalej! torować drogę! Usunąć zydle, odmiatać snopy ziół *(wielkie pomieszczenie i ambaras)*.

Dr. FUNDAMENTARIUS: *(odwraca się nagle)* Oto fiolka esencji! Co się dzieje? *(ruch zdziwienia i namysłu, do sie-*

bie): Ej, ponoć tu o jakoweś figle żakowskie chodzi! Trzeba dać nauczkę fundamentalną kugującym scholarom! Hola! Stać! (*głośno*).

BEAN: By myszorady wpadliśmy w pułapkę!

ROSATUS: (*do ucha Niemierze płaczliwie*) A duńże stąd nie-szczęśniku, jeżeli ci miła ta skóra na grzbiecie!

(*Niemiera milczy, leżąc w bezwładnej estetycznej po-stawie*).

VAN SACROBOSCO: Jaka to polewka się z tego nawarzy nam, a osobliwie Niemierze niebożęciu!

Dr. FUNDAMENTARIUS: Cóż tam gestolicie nad nim wasz-mościowie, jakby was samych kto żywcem fundamentalnie krajał!

ROSATUS: Właśnie dziwujemy się okrutnie, że przesławny nasz doktor doma, bośmy sądzili, że nam zaczekać przyjdzie, aż wasza Miłość nie wróci z świetnej narady wysokiego senatu na wilię „Anatomijej” zwołanej.

Dr. FALLOPIUSZ: Młodzieńcze! nie obliczyłeś, że jutro właś-nie jeszcze większy festyn — to nadzwyczaj przeważna „Anatomija” sama! A na tę uroczystość, mój jedyny płaszcz — w fundamentalnej naprawie!

SCHOLARZY: (*z zapalem*) O! Sława! Nasz zacny doktor!

BEAN: By o własną rodzinę dba o uczniów! wychowuje ich i karmi...

GROZA: Naszych studentów od piratów wykupuje... a! a...

Dr. FUNDAMENTARIUS: (*ironicznie*) a... niby filozof Pyrrhon, doma siedzieć musi gdy mu płaszcz jedyny piorą, lub naprawiają...

STUDENCI: Cześć! Brawo!

Dr. FALLOPIUSZ: No! ale widzę, że i tak prostej filozofijej trafunek — szyki wam fundamentalnie popsował, skoro tak owego nieboszczyka tarmosicie...

BARDO: A to ogar nielada! Padło mu mięso na ząb i ani puści!

Dr. FUNDAMENTARIUS: Miarkując ja to dobrze, iż wasz-mościów tutaj miłość nauki sprowadza! Przyszliście wy-rozumieć na doczesnym szczędzie tego młodziana, jakie jest prawie cudowne majsterstwo tych członków, które zaraz, allo studio anatomici krajać sprawnie a uprzejmie, będziemy!

ROSATUS: Dalibóg — nie wytrzymam!

Dr. FUNDAMENTARIUS: Żałuję, że waszmościom już na tym stradniku, nie mogą fundamentalnie wykazać sławy ro-daka waszego, a ucznia mego, Józefa Strutheniusa, który tam oto właśnie (*wskazuje na pracującego Strusia*) „Ars sphygmica de pulsibus elegans”, tractatus Klaudyusza Galena, przeważnie wyklada.

BEAN: Tak! tak! otóż to wasza miłości! puls! puls! sam puls!

SCHOLARZE: Jaki puls był: Gravis—Levis, — Calidus—Fri-gidus (*odnośne miny i natężenie tonu przy każdym zna-czeniu*).

BARDO: Ktoby tam szlachcica krajał!

DANTE VANNER: Pokażcie jeno puls, gdzie był, nic więcej: mollis... mollior... (*gestykulacja j. w.*)

Dr. FUNDAMENTARIUS: Owóż niestety: mollissimus... ra-rrior... (*coraz to wolniej*) rarissimus (*głosem zamierają-cym*) ...nullus...

ROSATUS: (*oburzony*) Widzicie! furfanty zatracone! Boruty! Skomroty! i inne sto djabłów!

Dr. FUNDAMENTARIUS: (*ruchy trochę szarżowane, zlekka rzeźnickie*) A zatem naciąwszy szyję, poznać waszmo-sciowe tętnice kręgu karkowego: „caroticum vertebrae cervicalis”. (*Scholarzy osłaniają szyję Niemierze, stojąc w postawie obronnej*). „Sulcus”: bruzdę tętnicy szyjnej... „Carotico tympanicus”, szyjno bębenkową, wreszcie „buc-co pharyngeus”: policzkowo gardłową. (*Scholarzy nady-mają policzki*).

GROZA: (*Do ucha Niemierze*) A odmijże się i ty, zuffalcze!

Dr. FUNDAMENTARIUS: (*Odwraca się do półek, aby rze-komo wyjąć arsenał instrumentów*).

SACRANUS: (*uspokajając*) Ale! ale! Zastanówcie się! Doktor przedsię żywego człowieka nie ozkroi...

BARDO: No! no! no! no! Nie miej tylko za dużo zadufania! próbować toby on i chętnie spróbował! Oni wszyscy je-dnacy. — Nie lada to dla chirurgów gratka! Nacóżby oni byli stworzeni?...

GROZA: Jeżeli go nie ozkroi, to mu promocyę rozpruje! Walmy z nim precz stąd!

SCHOLARZY: (*znów zabierają się do porwania Niemierzy*).

Dr. FUNDAMENTARIUS: Oho! nie takiego, ale fundamental-nego czekam ukajania (*do uczniów*) Hej! powoli waszmo-

ściowie! Pilno wam, niby to przekupce z kupią na tret!...
(*Do Rosatusa i Beana*) Czemuż się to tak wytargiwać?

ROSATUS: (*odwraca się od stołu z godnością*) Wysokourodzony jest, nie może być krajan, jako to bydło! Darujcie wasza Miłości...

Dr. FUNDAMENTARIUS: Azali wam niewiadomo, że pelikan daje swe trzewia pisklętom — toż i sławetny mąż, nauce gotów jest dać swą doczesną skorupę.

SCHOLARZY: O, laboga! — Chryste Panie! — Na rany Boskie! — Litujcie ludy!

ROSATUS: (*wybuchają*) Gęstolicie, nito owe rżnięte barorogi! nie najdując w swych łbach nic, coby go wybawić mogło...

BARDO: A tu ten osmaróg! ten zatraceniec! ten wiła isty... ani drgnie. (*Nachylając się nad Niemierą, ucho przykładają do serca, postawy pełne niepokoju*).

Dr. FUNDAMENTARIUS: (*patrzy na to z miną wyczekującą i z lekka drwiącą*) Tak więc ichmościowie! Gdy skończymy z nerwami, i tętnicami, przejdziemy do czynności, które zowiemy: Desarticulatio... vel dislocatio... alibo rozczłonkowanie...

SCHOLARZY: Hrrrrm! (*Rozsuwają skupione ramiona*).

Dr. FUNDAMENTARIUS: „Primo ad axim“, czyli „osiowe“...

SCHOLARZY: (*prostują się*) Roz-człon-... (*biorą się za głowę*) O-sio-we?

Dr. FUNDAMENTARIUS: Secundo: „ad latus“, to jest „Szyrzą“...

GROZA: (*Do Niemierę*) A wydajże jaki dech przecie!

BEAN: Tośmy sobie narobili! Djabeł go porwał, czy co?

Scena VIII.

(*poprzedni, Beata, Niezblizek, potem Borson. — W loggii pojawia się Niezblizek w męskich sukniach i Beata w złotodzia-
nym błyszczącym kitlu i miczce na głowie*).

NIEZBLIŻEK: Cóż się tam stało? Niemiera omdlał? Czy legł tknięty? Co mu jest?

BEATA: Może go ranili? Oh! Madonna!

NIEZBLIŻEK: Zdają się nad czemś naradzać...

BEATA: Napróżno usiłuję coś z tego uchwycić...

(*Z odznakami wielkiej trwogi, śledzą przebieg akcji*).

Dr. FUNDAMENTARIUS: (*w dalszym ciągu przygotowań chirurgicznych*) Tertio, „ad longitudinem“ — abo „wzdłuż“.

(*Scholarzy wyciągają ramiona nad Niemierą*) Quarto cum contractione: libo zesunięcie... (*Scholarzy skurczają się*)

Dr. FUNDAMENTARIUS: (*coraz to szybciej*) Quinto cum distractione, alias rozsuniecie, Sexto, cum implantatione; jakoby wklinowanie...

SCHOLARZY: (*opuszczają ramiona, wydłużają miny, wciągają policzki*) W klin, w klin! W klin, w klin!

Dr. FUNDAMENTARIUS: Septimo, ad peripheriam... (*gest szeroki*) W krąg!

SCHOLARZY: (*wybuchają*) Dość! Wystarczy! Basta! koniec! Finis!

ROSATUS: (*i inni opuszczają Niemierę, jeden przez drugiego cisną się do doktora*) Wasza Wysokość!

DANTE VANNER: Przeważna Magnificencyo!

BARDO: Prześwietna i fundamentalna Excellencyo!

GROZA: Żyw jest!

BEAN: Zdrów jest jako i wy i my wszyscy!

VAN SACROBOSCO: Nie tykajcie ani jego! ani jego promocyi!

DANTE VANNER: A ty puszczyku nieszczęsny! ty gawronie pechowy nie krakaj, że na nową niedolę!

ROSATUS: Milcz zatracenice, a nie wywołuj wilka z lasu!

JANEK POETA: (*Do doktora*) Dozwólcie nam wszystkim stąd precz się mieć! (*Wracają do Niemierę i badają jego stan. W loggii niepokój, coraz to większy. Łaskotek i Beata śledzą akcję z ruchami najwyższej alteracji*).

BORSON: (*staje w drzwiach nieruchomy*) Scholareska płata nowy kawał, mi się widzi.

NIEZBLIŻEK: Ja schodzę. Nie wytrzymam!

BEATA: (*przestraszona*) To cię odkryją... albo mnie wystawisz na sromotę...

NIEZBLIŻEK: Scylla i Charibdis! A on tymczasem leży jak martwy!

BEATA: Dopokąd Borson w dzwierzach, nie wychodzi. I tak nie pomożesz, a zdradzisz siebie i mnie.

NIEZBLIŻEK: Patrz! twój wujek założył ręce w rękawy płaszcza i wyczekuje nacoś... zamiast go badać!

BEATA: To prawda, scholarzy sami go opukują i nadsłuchują jego oddechu. Czy to są medycy?

NIEZBLIŻEK: Nie! Ale kilku z nich chodzi na niektóre anatomiczne wykłady.

BARDO: Żeby się tak uparcie z turbacji dalszych nie wyslizgnąć...

DANTE VANNER: A zawyżę co przecie!

JANEK POETA: Jak legł, tak ani zipnął.

ROSATUS: Skaranie boskie czy co? Zapamiętał się! *(trzępią nim, podnoszą, przyskakują, odskakują; popłoch)*.

NIEZBLIŻEK: Beatko, zejdź! Tam jest jakiś nieszczęsny wypadek!

BEATA: Madonna! proszę o zmiłowanie! *(żegna się)* Potem wrócę zaraz by cię uspokoić.

NIEZBLIŻEK: Bodaj znak jakiś... albo.. *(Beata znika w loggii)*.

DANTE VANNER: A wy gąpie! Lecieć mi do Strusia! Odtargnijcie go od tej księgi. Jego miejsce tu.

BEAN: Wraz pędzę *(śpieszy wraz z kilku scholarami na werandę. Po żywej gestykulacji, sprowadzają go na przód sceny)*.

Dr. FUNDAMENTARIUS: *(zasepiony, bierze Niemierę za puls)* Dziwy iste *(Z domu wychodzi Beata. Borson się usuwa, by ją przepuścić i znów staje na swem miejscu w drzwiach, które zamyka na klucz co Niezblizek przyjmuje objawami złości, wygrażając mu pięścią)*.

NIEZBLIŻEK: A to pies! ten Cerber! A pójdziesz stąd! a pójdziesz! a tu Beatka chwiejnie, zwałonemi stopami przebiega scenę, przypada do ławy, bierze zwisającą rękę Niemierę do swojej, przyklęka obok niego. Co ona mówi? *(nadsłuchuje)*.

BEATA: Madonno Oltramontanów! Zmiłuj się nad tym szlachetnym rycerzem-scholarem! *(Niemiera zrywa się nagle. Śmiech, klaskanie, płasy scholarów, okrzyki)*.

GŁOSY: Żyje! — Bywaj! Niemiera zmartwychwstał! — Wróżka Befana! — Czary Donny Beaty! Vivat! — Nareszcie dyży! — A to frant!

BEAN: *(wracając ze Strusiem)* Co się stało? Ktoś go ukropem zlał? czy co?

Dr. FUNDAMENTARIUS: Cóż to za sympatyczne zakłęcie? Wytlomaczcież mi nareszcie fundamentalnie waćpanowie, co ta farsa znaczy?

DANTE VANNER: To my pragnęliśmy Donnie Beacie oddać rolę Heleny w dramacie Janka poety i za radą jednego z kolegów...

BEAN: ...pożeracza romansów fantastycznych *(kilku grozi Sacrobosce i potrąca go)*, który nam podszeptnął wyprawę romantyczną...

BARDO: Otośmy się przy sposobności waszej nadobnej siostrzenicy pokłonić przyszli.

Dr. FUNDAMENTARIUS: Dziwna zaiste sposobność i fundamentalny pokłon, niemal aż do granic życia... Zakrawało mi to odrazu na awanturki „Błędnych Rycerzy“, lub „Żaków wagańców“. Ale dlaczegoż to Collega Major, tak wytrwale nie chciał wyjść z swej roli... posagu..:

DANTE VANNER: Nie mógł oczywiście narazić na szwank czci nobildonny Beaty!

BEATA: A ja nie chciałam pozwolić, by tak dzielny kawaler, miał pod moją loggią broń Boże, jakiś szwank odnieść!

NIEMIERA: *(klaniając się Beacie)* Cześć damom! *(Borson wzruszając ramionami w tem miejscu opuszcza swe stanowisko w bramie i wchodzi między grzędy)*. Pochodzę przecież z kraju, gdzie niewiasta jest szanowana, jak świętość. W jej obecności, jak w kościele lub wobec Majestatu Króla, korda wyjąć nie wolno. Ale i to muszę wszelako ku waszej sławie przyznać, Magnificencyo, że się w waszych mistrzowskich rękach ani na chwilę nie czułem w istotnem niebezpieczeństwie. Darujecie uprzejmie, *(ukłon ku doktorowi)* że waszą Łaskawość odgadłem i mym cnym kolegom, także ze swej strony, postanowiłem figla wypłatać!

GŁOSY: — Ale? — Cóż znowu? — Dlaczego?

BEATA: *(z wyrzutem)* Ten żart, był dla nas męką...

VAN SACROBOSCO: Przyznajcie po sprawiedliwości czy to też nie sowizdżański koncept?

NIEMIERA: O! Zapominacie wszyscy o jednym! To był mój rewanż! *(powszechny hałas)*.

GŁOSY: — Za co? — Dlaczego? — A twoje słowo?

NIEMIERA: No tak, do stu ogni greckich i wszystkich elementów! Słowo — by najpiękniejszą damę grodu zaprosić na święto akademickie — (*ukłon Beacie*) to była — (*z naciskiem*) moja rzecz! Ale to wymusić teraz, (*oburzony*) w wigilią „Anatomiej” i w tych (*ironicznie*) malowniczych okolicznościach, na modę bają z Tysiąca i jednej nocy — to był Wasz pomysł! Raczcie pozwolić, żem wam do końca ostawił wolną rękę!

BARDO: (*zazdrośnie podrażniony*) Tak! wolną rękę! skoro mu Monna Beata: „in articulo mortis”, prawie, że pocałowała jego olbrzymią łapę!

BEATA: O! tak znów ogromna wcale nie była...

Dr. FUNDAMENTARIUS: (*zartobliwie*) I do tego jeszcze ciepła, tętnem bujnego młodego życia... (*śmiechy*). Aleć mi wasza żakowsko-rycerska przygoda tłumaczy, iż Niemiera dlatego dzierży swych druhów, bo siebie też w garści trzyma, a w konsekwencji do ostatka trwa... choć wraz się oto przekonał, że niewczesna obietnica na wiatr rzucana, czasem stawia mężowi nakaz do spełnienia w chwili i miejscu niezbyt dla niego dogodnym... No! niechże się ważniejsze pole nad to, tej bujnej młodości otworzy, z serca tego życzę! A teraz już nie kryjomką, ale otwarcie proszę fundamentalnie przygotować akcesorya prawdziwej i wielce nam wszystkim upragnionej „Anatomiej”! ...Bywajcież waćpanowie...

(*Od chwili odejścia do ogrodu Borsona Niezblizek przeplata objawy żywego niepokoju próbami wydostania się na scenę. Upewniwszy się, że Borson, Dr. Fundamentarius i scholarzy są w innej stronie zajęcia, przekracza balustradę loggii i spuszcza się z pierwszego piętra wzdłuż pnia glicyny.*)

STRUŚ: A więc wracajmy, my, od studjów oderwani...

DANTE VANNER: Przepraszam, najpierw szczęśliwie zmarłychwstani...

VAN SACROBOSCO: (*nadąsany*) A potem... chytrze w pole wyprowadzeni...

BARDO: (*złośliwie*) Mistrze ceremonii niedowarzeni... (*Borson odwraca się z ogrodu, spostrzega manewr Niezblizka i ustawia się w zasadzkę.*)

Dr. FUNDAMENTARIUS: Tak! tak! wszystkim frantom, figlarzom, rajcom konfuzyjej i ministrom dystrykcyjej...

BEATA: (*do wujka, prosząco*) Najlaskawsze przebaczenie...

Dr. FUNDAMENTARIUS: No niechże już będzie fundamentalnie, a serdeczne zaproszenie, do mego osobistego „Studio medicinae”... jako przedsmak „Anatomiej”...

BORSU: (*krzyczy*) Oto jest! Najślawniejsza Magnificencyo Rektorze Dobrodzieju mój! Oto jest!

(*Wszyscy odwracają się i zbliżają do Loggii. W chwili, gdy Niezblizek stawia nogę na ziemi i odwraca się, staje oko w oko z Drem Fundamentariusem. Zdziwienie ogólne, pomieszanie Beaty i Łaskotka. Chwila frasobliwego milczenia.*)

BORSON: Złowiony! Szperacz medycyny? czy szpieg dziewczyny?... (*rezolutnie*) a napewne jedno i drugie razem...

GŁOSY: — Ursyn! — Biedny, kochany stwór! — Pfuj! przeklęty brzydkogłowy Cerberus! (*wielki gomon*). — Nieszczęsny zdrajca studentów! — Hańba ci zatracony Borsoniuszu! — Ty demonie bram piekła! ty!

BORSON: (*dumnie*) Ho! ho! Tyle uczonych nazw zyskałem u Jaśnie studentów! (*wzdycha*). Tak! tak! mój posterunek „Zamykacza Horto” — jakby „Rajskiego ogrodu” — nie jest wcale tak łatwy. Stary Borson musi mieć czasem głowę w nogach — a nogi na głowie... (*Wraca spokojnie do grządek*).

Dr. FUNDAMENTARIUS: (*gniewnie*) Krewkie natury macie, Waćpanowie! Widzę, że nowy i gorszy jeszcze zamach na obyczaje... a gorzej, bo ukradkiem, sławna wasza nacja czyni... (*ogląda uważnie Beatę*). I Waszmość Panna? w jakimże to obcym a błyskotliwym stroju... (*Wahanie w ruchach by się usprawiedliwić, milczą jednak wszyscy*). Wiedzieć, iż nowy ten czyn: „in flagranti” potwierdza mi dawne, o których cuda mi w uszy kładą. Muszę im jednak wkońcu dać wiarę. A to jest piękny przyczynek do tej oto kontrabandy w panieńskim alkierzyku. (*wskazuje na Loggię*). Oprócz tego (*z wzrastającym oburzeniem*) Oltramontani niewiasty dla wszeteczności czy takiej jak ta — krotochwili w ubraniu scholarów kryją... (*ogólna konsternacja*) a teraz jeszcze nawet i domów zacnych, mistrzów swych, nie szanując, tam miłości swoje żakow-

skie wytrząsają... Proszę to wszem wobec oświadczyć! Do-
kąd winnych nie wykażecie — promocje i wszelkie gra-
dusy — wszystkim wstrzymane... (*Wchodzi rozgniewany,
do domu, drzwi zatrząskując*).

GŁOSY: Mamy nowy skandal! — Wszystkiemu winien Ursyn!
— Fatalne! — Niezbliżek! Zawsze ona! — Do kołowrotka
z nią! — Pod czepczyk białogłowy. — Ukweścić ją! —
Niech jej raz już będzie koniec.

ROSATUS: Nie! Zdradzić jej nie można.

NIEMIERA: Ani podle opuścić!

BEATA: (*serdecznie*) Ja nic nie wyjawię nawet choćbym cześć
miała postradać.

NIEZBLIŻEK: (*staje przy pniu glicyny oparta, głowę podnosi
do góry, łka jak dziecko, nie osuszając łez*).

STRUTHENIUS: (*który się na nowo w położeniu usiłuje ro-
zeznać*) ...I do tego wszystkiego powywracaliście mi słoje
z żabami... i powypuszczali jaszczurki... A przecież... kto
puls badać chce...

Kurtyna.

AKT V.

OSOBY V. AKTU:

Dr. FUNDAMENTARIUS, rektor		
Dr. SUBTILISSIMUS, dziekan jurystów, kanclerz universitas		
KORNAR, konsyliarz nacji Oltramontańskich		
NIEMIERA, doktor juris		
RÓŻANKA vel ROSARIUS		
SACRANUS z Oświęcimia		
GROZA		
WILGA		
JAWNUT		
WROCH PISZCZEK		
NAHO MARPURG		
NOVICAMPIANUS z Nowego Targu		
SACROBOSCO, alias van Heilich Wood		
DANTE VANNER		
BARDO		
JAN ANIOŁ		
BILIN-HEKTOR		
KACPER-PARYS		
ALANZY		
ŁUKASZ z Baru		
PASQUINUS, handlarz łakoci		
KLABONUS, gęślarz w greckim stroju fletnisty		
URSZULA z BORÓW, jako scholar, przezwana: Łaskotek- Niezbliżek		
BEATA, w greckiej chlamidzie jako trojańska Helena		
LIKORIS		
ZANINA		
KARLA		
JURYŚCI, MEDYCY, PROFESORZY, PRUTHENIUS; FRIU- LANCZYK CITRA- i OLTRAMONTANIE.		

AKT V.

PRZESZKODY TRYUMFÓW DOKTORSKICH
I POETYCKICH. — REFLEKJA. — TURNIEJ IDEI.
POWRÓT.

(W podwórzu kolumnowem Uniwersytetu w Padwie dwa rzędy słupów na parterze i I-szem piętrze; na krużgankach widać drzwi sal i lektorji. Citramontanie, Wincentyni, Brescianie i inni, wychodzą i schodzą po stopniach na wprost sceny).

Scena I.

(Bilin, Alanzy, Novicampianus Kasper, Łaskotek-Niezbliżek i inni scholarzy).

ALANZY: ...Żeby się Oltramontanom tak bez wszystkiego udało? nie może to być.

BILIN: No! nie jest to znowu takie olśniewające powodzenie! Wszakże im wskutek jakowegoś skandalu zabroniono wszelkich gradusów! Nawet tryumf Janka poety cofnięto...

KASPER: Cóż u djaska mogli takiego znowu zmalować!

BILIN: Toteż! Nikt nie wie dokładnie. Żaden z nich nie da nic z siebie wydobyć!

URSUS-ŁASKOTEK: (zbliża się słuchając) Co? Nawet ostatnia deputacya konsyliarzy nie wyposłowała stopni dla promowanych?

BILIN: A nie! Oltramontanie odrzucili wszelkie łaskawości, bo im postawiono za warunek: wydanie burzycieli pokoju.

ŁASKOTEK: (z widocznym zmieszaniem) Burzycieli pokoju?

ALANZY: (tajemniczo) Niektórzy nawet szepcą: bu-r-zy-cie-lek... pokoju, które nacja ukrywa — czy strzeże, czy coś takiego ogromnie podejrzanego...

BILIN: Zaiste takieby sam zajął stanowisko. Honor jest jednolity! Ale bądź co bądź siła oni wszyscy tracą na swej nieustępliwości!

NOVICAMPIANUS: No! to się wie! Niemiera ponoć wziął przedsięwzięcie promocje odprawić na innym uniwersytecie!

ŁASKOTEK: (tupie nogą niecierpliwie) To! to! to! Znamy owo niedorzeczne poema, jak również i to, że przeszkodzić się musi, aby rzeczywistości kształtu nie przybrało!

NOVICAMPIANUS: Wielcem ciekaw dlaczego? Jego teza doktorska jest wspaniała, jak w spiżu zastygły wulkan. Z takim pudłem mózgowem jak Niemiery, wszędzieby się człek na przednie miejsce wyświdrował.

ALANZY: Niechby się ano stąd odświdrował i owszem. Jemu się nic nie stanie, a my tem samem pozbedziemy się walnego przeciwnika i jednego z najtęższych prowodyrów oltramontańskich...

NOVICAMPIANUS: Ejże, ejże! Chodźwa rozważyc!... pierwszy: „casus belli”.

BILIN: Abo i dwa... (Oddalają się i żywo rozprawiają).

ŁASKOTEK-NIEZBLIŻEK: (rozdrażniony) O! nie wcześniej się go pozbedą, aż.... otrzyma pełne miano: Doktora dekretów! (z gorzkim wzruszeniem) Chociaż we mnie krasy nijakiej nie znalazł... to tak działa i strzeże mnie po rycku... jakbym mu była miłą... O! gdybym mu była miłą!... (przeciąga się z tęsknotą). A teraz?... na zawsze upragnioną, choć frasunku pełną obecność jego stracić?... a z nim naraz i świat poznania wiedzy wysokiej... przeczystej... (poważnie). Ale ośmielić się ten jasny szczyt osiągnąć kosztem jego doktorskiej godności?... (uroczyście głosem jak w modlitwie) Nie daj tego Boże! Wolę już... klasztor jak Bogna, albo nawet... innego za męża, któremubym trochę... odrobinę choć była drogą... (Z dziecięcym zaufaniem, głos pogodny, lekko łzami zamglony). Opatrzności Pana nad Pany! bądź mi światłem i pomocą! (wybiega szybko po schodach. Citramontanie wracają z głębi).

NOVICAMPIANUS: Mówię wam, że na nic się to nie zda. Wszystkie te wstręty i sprzeczności są zewnętrzne. W istocie rzeczy Oltramontanie są u władzy w wielkiej części, a przez te zatargi czasowe przegryzają się niezawodnie... A nasz obowiązek każde talenta i każdą pracę uczcić, i beret w dół! mocium panie!

ALANZY: Nic to; klaskać będziemy, bo jest za co — ale przedtem musimy im jakoweś furfanterje wyprawic.

NOVICAMPIANUS: Ale za co? zmiłuj się za co?

ALANZY: Zato, że są oltramontanie! Rozumiesz? A my, citramontanie. (akcentuje) Rozumiesz? Gdybyśmy nie byli

citramontanie, a gdyby oni nie byli oltramontanie, to-
byśmy im dali pokój — *(akcentuje)* Rozumiesz?
NOVICAMPIANUS: Choćbym i zrozumiał, tobym wolał odrazu
oddać co się komu należy.
ALANZY: O nie! toby nie było wojen! A wojny są!
NOVICAMPIANUS: Także dowód! — ad absurdum! Jakież
wstręty chcesz tedy im czynić? Jeżeli dojdzie do ich
święta i aulę wspaniale ozdobią laurem i kwieciami — a wy
powiesicie na to miejsce kiełbasy albo cebule, to już kon-
cept taki był raz, a zresztą, że nikt nie ma za dużo na
zębie — to ucieszysz tych co zjedzą, a arcjanów i jury-
stów nie wiele zmartwisz *(odchodzi do lektorji na 1-szem
piętrze)*.
BILIN: Przedsię wam damy radę. Janek poema swojego czy-
tać nie chce, ino latinisty szuka. Podstawimy mu Łukasza
z Baru, który się jaka tak, by mu się zawżdy na wymioty
zbierało. Ten się nigdy nie wyjęzyczy z jego wierszami
i dużo im kosztownego czasu uroni. Właśnie przeciw ich
pośpiechowi, wynajdujemy co najwięcej zwłoki.
ALANZY: Dobra twoja! Niech będzie jako raisz! Bieży po Łu-
kasza z Baru, a żywo! bo oto idą Oltramontany.

Scena II.

(Ciz, oraz Niemiera, Sacranus, Rosatus; potem Łukasz z Baru).

ALANZY: *(do nadchodzących)* Witamy waszmościów! Jakże
tam z lektorami sławnej deputacyji greckiej ku Troi?
Znaleźliście aktorów godnych słów Janka poety?
ROSATUS: Dziękujemy wam! Jeszcze stanowienia nie masz,
ani ze strony przesławnego Doktora, ani Dominy Beaty,
jeżeli raczy przepowiedzieć oracje Heleny.
NIEMIERA: Godnego Antenora i Agamemnona już mieliśmy —
ale się oto z Wincentynami a Brescianami poturbowali
i leżą ranni.
(Żartobliwe miny współczucia u Citramontanów).
ALANZY: Biadaż to biada!
KASPER: Rozumiem! ho! ho!
ALANZY: Temu i owemu z Wincentynów i Brescianów także
byłoby niemożliwym z tychsamych powodów onych ról się
podjąć...

KASPER: O! jeżeli tylko o to chodzi... bądźcie bez troski! Jest
tu taki — co wam się uda by oblepił. A nawet jeszcze
dwu innych mi przyszło ku myśli...
SACRANUS: A to cne kompani! Sam go tu! Dawajcie go na
próbę!
ALANZY: *(Krzyczy u zawrotu kolumn)* Bil! Billiini!
BILIN: Czemu wrzeszczysz jak na żubra! *(wchodzi z Łuka-
szem)*.
ALANZY: Nieurażajże się zaraz Bilinku! A? Jest Łukasz!
Chodźcie wszyscy!
ŁUKASZ z Baru: Sss... sssluużżżę Ww...wwasz Waszmościom!
NIEMIERA: *(zdziwiony)* Cóż to abo znaczy?
BILIN: To nic! to nic! On się tylko tak zatchnął! Z wielkiej
konfuzyjej!
ROSATUS: Ano zobaczymy! Czytajże waść tekst! *(podaje mu
rękopis)*.
ALANZY: Cóż to za rzecz jest na początek?
ROSATUS: To jest prolog: Genealogia Bogów!
BILIN: Aha! aha! nader trafnie! Choć szkoda, że poeta nie
przeszedł odrazu do zaręczyn, abo ślubów nimf... bogi-
nek... Jedne w chmurze... drugie pod wodą...
ŁUKASZ z Baru: *(Rozkłada kartę, czyta, wybałuszając śmiesz-
nie oczy, z widocznym wysiłkiem)* K ku, kup, kkupidyn
ppierwszy ssyn dr drugiego Merkukurjusza i dr drugi-
giej Ddiany jak mó-mówi Tultulio Teoteoddontro, bbył
przeprzepiękny i ze strz-strz- *(krztusi się)* strzałą na
zn-znak pr, pr, prędkości bbbbiegu...
ROSATUS: *(drwiąco)* No! Jakoś po grudzie, a nie nasmaro-
wanem kołem jazda!
ŁUKASZ z Baru: *(obrażony)* Ccóż z znowu! B bo to okup —
kupidynie ddo kktórhogo, ja nnie mam na nabożeństwa...
(odwraca zwiękę).
ALANZY: Tak! tak! czytaj dalszy rodowód Trojan!
ŁUKASZ z Baru: Gdy Lao-Lao-ko-konte trzytrzydziesty trze-
trzeci syn Prpr-priama z Llicacaste, jego ppiątą cccórką...
SACRANUS: *(Wyrywa mu z gniewem rękopis, czyta prędko)*
I z Echemonem, 22-gim Iphale 35-tym synem władcy
Troj stanęli przed Venus, 11-tą córką Jowisza...
ŁUKASZ z Baru: *(pogardliwie)* Bbbo to nic z me-me-medy-
cyną nie ma wspólnego!... Rrr o-rodowód Eskukulapa, to

mi idzie je-jeszcze gł, gł, gładziej! — Korr-koronida, nimfa, ...tto jego Matka ale nie trzeciego Esk, Esku-kulapa syna Asippa i Cararsinoe, kktóry wy-wynalazł prz, prz. przeczyszczenie żołądka! (z dumą) Wwi Widzicie! (Miny rozbawione u Citramontanów, oburzone u Niemiery i towarzyszy).

NIEMIERA: Cóż to za szpaczkowie? I takie to są wasze oratory!

OLTRAMONTANIE: (Szyderczo) Winszujemy! winszujemy De-de-de-moste, moste ne-nesa! „sławnej waszej” nacji!

ALANZY: No! nic to! myśmy jeno myśleli, że sławni poeci „waszej” świetnej nacji to i jakałom węzełki z języka odwiązują. Ale skoro się ten cud nie zdarzył... Mamy tu innych. Przygłusi jeno i trzeba do nich nieco donośniej przemawiać. Ale za to głosy! W sam raz na padewską „Arenę”. Istne Stentory, grający na trąbach jerychońskich!

RÓŻANKA: (nieufnie) Byle znów nijakiego kuglarstwa nie było!

ALANZY: (z udaną godnością) Cóż znowu? Wytlomaczcie jeno i wskażcie im role. (Niemiery z Oltramontanami porozumiewają się, Alanzy klaska w dłonie ku górze).

ALANZY: Hola! jest tam który? Hej! sala Platona! żywo! (Wychyla się z za balustrady kilka głów) Sam tu do mnie! (Wpada kilku scholarów).

GŁOSY: Co? co? Czego chcecie?

ALANZY: Słuchajcie! jest figiel do wypłatania Oltramontanom, który gotów?

GŁOSY: — Ho! ho! — He! — Ja! — ja! — Ja też! — Wszyscy!

ALANZY: Chodź Gaspar! Czytaj coć dadzą! tylko pamiętaj, że twój partner głuszec! Wypróbujże go, a rycz jako bydle zarzynane! Ile ci się jeno uda!

KACPER: Oho! Uda się! Dawajcie!

ALANZY: A druga zwijka Bilinowi. Naści! (Niemiery rozdaje role, Bilin i Kasper kłaniają się sobie).

KACPER: Ja jestem Parys! vel Aleksander!

ALANZY: Aha! To Bilin Hektorem? Dobrze! (Do Bilina po-
uśnie) Słuchaj cny Hektorze! twój brat Parys jest piękny,

ale głupi, nie, nie to chciałem powiedzieć jest głuchy, jak pień! Pamiętaj! rozdzieraj na niego pysk, by ziewający bizun! od tego gra!

BILIN: Owa! Bądź spokojny!

KACPER-PARYS: (daje znak Bilinowi na migi, uderzając się ręką kilka razy w piersi, że na niego kolej, przesadnie głośno czyta) „...Liczyć na ciebie nie omieszkam, bracie! Ty — Heleny i mojej nie opuszczaj sprawy!”

BILIN-HEKTOR: (zwykłym głosem) Ależ to głuszec! (krzaka) Trzeba mi huknąć, żeby przedsię zdzierzyć! (Czyta jeszcze głośniej od Kacpra) „Przyznam, że milszą mi cześć białogłowy — niż twa, zwodniku!”

KACPER-PARYS: (zdziwiony) Cóż za Ryczywół! (głośniej od Bilina) „Bratu odmawiasz?”

BILIN-HEKTOR: Ależ to biedak! widocznie mu mało! (jeszcze głośniej od Kacpra, gestykulując) „Złodziej mi nie brat! Niewiast słabych brońmy!”

KACPER-PARYS: (w ferworze, po odkrząknięciu) Przecież mu wydołam (głośniej od Bilina, ironicznie) „Zwłaszcza gdy gładkie! To sercem w nich toną męże surowi nawet — żon dorodnych!”
(Miny zadowolone u Citramontanów. Oburzenie rosnące Oltramontanów).

BILIN: (ociera sobie pot z czoła). Nie! gardziel mi pęknie! (z politowaniem) A to biedny głuszec! (przybliża się do ucha Kacpra i krzyczy) „Czy chcesz powiedzieć, że twoim szedł śladem?”

KACPER-PARYS: (sapie, rozluźnia sobie spinę pod szyją, krzyczy do ucha Bilinowi) „To czemu mojej nie popierasz sprawę?”

BILIN-HEKTOR: (coraz to prędzej i głośniej, do ucha Kacprowi) „Boś jak zielony młokos, złe rozpętał!”

KACPER-PARYS: (j. w.) „Nie lża tu ganić, gdzie czyn burzą leci...”

BILIN-HEKTOR: (zwykłym głosem) A! to nieszczęśliwe bydle!

KACPER-PARYS: (zwykłym głosem) Ależ to nie szczeknięcie, ale cała sfora, w gardle tego kundla! A może on przecie usłyszysz ludzki głos (ciszej) „No! zgódź się! A stań ze mną wobec rodzica i posłów”.

BILIN-HEKTOR: *(zdziwiony)* Przedsię usłyszał! *(oddycha z ulgą, ciszej mówi):* „Grekowie z niczem nie wyjdą! Miecz gotuj!”

KACPER-PARYS: Aaa? *(rozjaśniony, ciszej do Bilina)* „Czyli koniecznie mordować się musim?”

(Rozbawienie u Citramontanów. Oltramontani robią ruchy, jakby chcieli przerwać).

NIEMIERA: Ej! Coś nam tu wasze zbyt szczekotliwe rajce jesteście!

ROSATUS: A ino! Pewnikiem znowu na sztyk wystawić nas chcą!

(Bilin i Kacper zaczynają rozumieć mistyfikację).

SACRANUS: Nie widzicie, że obydwaj wybornie słyszą, ino kuglują po próżnicy i dalej igrę prowadzą.

KACPER-PARYS: *(cichutko, oddalając się od Bilina i z odległego końca sceny mówi przysłaniając usta dłonią)* „Mój synek Ideo, rad się z ojcem pobawi...” *(szepem)* mn, mn... mnmn, mnmnmnmnmnmn, mn...

BILIN-HEKTOR: *(j. w. z oddalenia cicho)* „Mój zaś Astyanax o ojcu śnić będzie... gdy jak bohater...” *(szepem)* mn, mnmn... mnmnmnmnmnmn... mn:

ALANZY: *(z udaną niewinnością)* Miłe kamraty!

NIEMIERA: *(upominając surowo)* Upraszamy waszmościów!...

KACPER-PARYS: *(bierze za szyję Bilina, czytając z notatek)* „Więc mi odmawiasz?” Ha! haha! *(śmieje się).*

BILIN-HEKTOR: *(obejmuje Kacpra, trzepie rękopisem)* „Troję nie ciebie bronię do ostatka!” Ha! ha! ha! *(śmieje się).*

ALANZY: No? Jakże wam się zda?

ROSATUS: *(zezłoszczony)* Przyjdziecie k' sobie czy nie?

KACPER-PARYS: *(rozbawiony do Bilina)* „Piękności służeń!”

BILIN-HEKTOR: *(j. w. do Kacpra)* „A ja — powinności!” *(wychodzą, nie zważając na pozostałych, prowadzą się pod boki śmieją się głośno).*

NIEMIERA: Jasny to dowód, że nas oszpaczyć chcecie, ale się dalej nie uda...

ALANZY: To się jeszcze pokaże cni kompanowie! Wyście przeforsowali wybór waszego rektora i konsyliarzy waszej nacji... słuszna, abyśmy odwet wzięli.

NIEMIERA: *(sentencjonalnie)* Ma więcej sposobów, kto ma prawo z siłą... *(Oltramontani wychodzą buńczucznie).*

Scena III.

(Wchodzi do podworca uniwersyteckiego kupczyk Pasquinus; na szyi ma zawieszoną tacę z figami smażonemi, śliwkami na patyczkach. Scholarów po drodze zaczepia i każdego traktuje inaczej. Jednych poufale, innych z żartobliwym przymileniem, kilku z uniżonością i szacunkiem).

PASQUINO: Figi — panowie! Migdałki dla wysoko urodzonych Jaśnie panów Artianów! Dostojnych jurystów! Sławetnych medyków! Figi! Migdały! Nadziewane śliwki-ślusarczyki: Hamanowe uszy. Wyborne Hamanowe uszka! dla Jaśnie... *(sprzedaje).*

ALANZY: *(do Łukasza z Baru i Nowotarskiego, który się z góry (z innym przyglądał)* Hola, na tem się jeszcze nie skrupi Oltramontanom!

NOVICAMPIANUS vel NOWOTARSKI: Jeszczeż wam mało?

ALANZY: *(skromnie)* Jeszcze spróbuję. Hola! Sam tu Pasquino!

PASQUINO: *(cwałem przybiega)* Najniższy sługa waszej Wysokości!

ALANZY: Słuchaj chłopcze! Wraz mi pędź do oberżysty pod „Szarym Wołem” i zamów „Refekcyę” imieniem dostojnej nacji Oltramontanów, którzy fetują kolegów: „Doktorat jurysty” i „Tryumf poety”, a chcą przy tej okazji ugościć całe „Studio”. Niech „Szary Wół” duchem wybije całe swoje podwórze gęsi, pawi, indyków. Pawie mogą być nadziewane gołębiami, z sosem imbirowym. Ogon ma być wetknięty w pieczenie i roztopierzony. *(Pasquino wylicza sobie wszystko na palcach, widzi zakłopotany, że mu palców nie wystarcza, robi węzélki na rogach fartucha, potem na długawych włosach, z każdej strony twarzy).* Kielbasek ma być sztuk 400!

ŁUKASZ z Baru: I to wsz-wsz-wszystko zapłacą Oltramontani?

ALANZY: A jakożes chciał? To, i dużo innych poczęstunków.

NOVICAMPIANUS: A to im mieszek oklapnie.

ŁUKASZ z Baru: Wt, wt wt wtem gra! A pppicie? Pppprzecież to grgrhrunt.

ALANZY: Małmażji beczułkę; rozekieru butlę garncową. Wina mirtowego gąsiorów trzy!

ŁUKASZ z Baru: A to br, br-br-brawo! Alanzy ma gł-głową jak byk! Żeby tttylko „Szszyzary Wól” ggo dodobrze wyrozumiał!

PASQUINO: O, nie troszczcie się waćpanowie dostojni a wysokourodzeni, wszystko się uładzi jakoście zamówili. Ale wszakoż i dla mnie przyjdzie małe zakupno, co? *(z przymleniem)* Tak z pięć funcików makowych nadziewanek i przednich orzechów w tureckim miedzie, a ileż funtów ślusarczyków? tych faworytalnych śliw z migdałem pośredku? Nowiuteńka nowość! Sześć? Dobrze! Razem powiedzmy 14 funtów i fig... a Hamanowych uszu setek kilka...

ALANZY: Niech będą figi i ślusarczyki... i Hamanowe uszy...: wszystko ma być! Rachunek podasz Jaśnie Panom: Niemierze, Rosariusowi, i całej nacji Oltramontanów. Rozumiesz?

PASQUINUS: O, znam! słodkie to pany; dużo ja tam cukrowego towaru *(wskazuje na swój brzuch)* u nich w banku umieszczam.

ŁUKASZ z Baru: Bbbędzie frfrfajda!

ALANZY: A teraz na wykłady!

ŁUKASZ z Baru: I ttto rrrhacya! prz-prz-przecież cały dzdzień br, br, brewerji się nie rrhobi!

(Scholarzy wychodzą, Pasquino też, jeszcze sobie przepowiada na migi, wyliczając na palcach sprawunki i opatrując swe węzłki. Wchodzi Urszula i Rosarius, kończąc rozmowę).

Scena IV.

(Łaskotek-Niezbliżek, Rosatus, Dr. Fallopiusz, potem Naho i Kornar).

URSZULA: Ano mi się widzi, jakobym już dzisiaj na pożegnalne wykłady do lektorji szedł... i to wam, przez siostruchną Krysię dodanemu mi opiekunowi — jako najpierwшему oświadczam!

ROSATUS: *(żartobliwie)* Aboć to pono zaraz ku wszelkiemu działaniu białogłowa powolnieje, by jeno pokochała, albo ją kto...

URSZULA-NIEZBLIŻEK: *(z wyrzutem)* I takci mię to pomawia przyrzeczony mej Krysiulki?

ROSATUS: *(figlarnie)* Zali wolelibyście by wam własny wybrany to baczenie wskazał?

ŁASKOTEK-NIEZBLIŻEK: *(z dąsem)* Takiego niema!

ROSATUS: Ale być może! Boć oto mi się zda koło was historyja taka: Kornar kocha Urszulę która go jeszcze nie kocha; Beata kocha Niemierę, który jej dotąd nie kocha, a Urszula do tego dopomaga...

ŁASKOTEK: *(porywczo)* Jemu? czy jej?

ROSARIUS: *(patetycznie)* Ach! któż rozgarnie tajemnice serc dziewczęcych! *(ze współczuciem)* Cała bieda, że Niemiera ku temu nijakiej ciekawości nie zdradza!

ŁASKOTEK: Jakto? *(zaboczona)* Przecież powiedział raz, że się tam swojej wysnionej spodziewa gdzieś za 7-mą rzeką i 7-miu pagórkami... *(Z junakieryą, odrzuca dumnie głowę)* Ale co mi na tem. Wy dziś jego doktorskiej togi i tryumfu Jankowego pilnujcie, bo jak mi Bóg miły... muszą przyjść na cel.. A ja też swoje sprawy opatrzę... *(Rozchodzą się; Rosatus po stopniach wstępuje do górnej galerji, Łaskotek, zamyślony, z głową spuszczoną kieruje się ku wyjściu, gdzie ukazuje się Dr. Fundamentarius. Spotykając Niezbliżka, robi minę surową, mimo przejść chce. Łaskotek zatrzymuje go ukłonem).*

Dr. FUNDAMENTARIUS: Cóż waszmość fundamentalnie poruczyć mi pragnie?

ŁASKOTEK-NIEZBLIŻEK: Dostojny nasz Rektorze! pozwólcie, że bez długich oracji, uproszę was, byście niewinnej Beacie przywrócili cześć i dalej już nie cofali promocji Niemierzy, ani tryumfu Jankowego, usuwając też podejrzenie od naszej całej nacji, jakoby wśród niej dla złego, a nieczystego powodu niewiasty przebywały...

R. FUNDAMENTARIUS: Ale faktowi nie zdajecie się przeczyć?...

NIEZBLIŻEK: Musim że schodzić do badań, jak więźniowie?

R. FUNDAMENTARIUS: A jakożeście chcieli? Mieć klucz a wolność do zbytków, któreby krewkie a nie trzymające się w garści młodzieńce, ponosiły, niby konie stepowe?

ŁASKOTEK-NIEZBLIŻEK: *(błagalnie)* Zaufajcież mi Panie!...

Dr. FUNDAMENTARIUS: Byście z nas starych a mądrych bobrów drwili? Do uczciwych się podwik oknami i drzwiami cisnęli... nie dość tego, i pośród siebie białogłowy jako scholarów gładkoliczych kryjąc dla sprośności...

ŁASKOTEK: *(wzruszony)* Wasza Godności! Słowem szlachectwem ręczę, potwarz ci jest...

Dr. FUNDAMENTARIUS: Potwarz ci to? Niech, waszmość słowa na byle żarty nie wystawia. Za dużo tu głów, któreby się z sławy naszej po Europie mogły natrzęsać... Władzy po temu ino mi nie dano, bym w głowy wam jeno samą wiedzę fundamentalnie tkał, a strażnikiem czujnym sumień nie bywał... Ale dosyć na tem... wyminać badanie chcecie? — to i my się od dyplomów cofniemy, odraczając licencje a promocje i robiąc ścisły a fundamentalny przegląd...

ŁASKOTEK: *(wahająco, to zbliża się, to oddala)* Nie wińcież wszystkich za głowę jednego.

Dr. FUNDAMENTARIUS: A więc głowa jednego już jest? To może i nogi i reszta się najdzie... *(z uśmiechem)* aż do t. zw. Fallopiuszowej niewieściej trąbki... co?

ŁASKOTEK: *(sposstrzega, że się dał złapać)* To jest... gdyby się znalazł...

Dr. FUNDAMENTARIUS: *(surowo)* Ale gdyby nie... to trudno! my broniąc dobra trzody... owce od baranów wczas fundamentalnie oddzielimy... *(kieruje się ku wstąpieniu na wyższą galerję).*

ŁASKOTEK: *(zabiega mu drogę, głosem zdecydowanym)* Otóż... nie! bo owca sama pochyli się przed ostrze sprawiedliwości... choć ją wyrok waszej Magnificencji pchnie w samo serce... *(Wyjmuje pergaminowy indeks, z głowy zdejmując beret scholara, wręcza je rektorowi)* Oto moje insygnia! *(z goryczą i godnością)* Jam jest owym scholarem natrętnym a dziewczym, która przestąpiła pokój waszej bratanicy i która od kilku semestrów, żyjąc w ustawnej trwodze a niepokoju o najdroższą okruszynę wiedzy, swej miłej braci uniwersyteckiej światło kradnie...

Dr. FUNDAMENTARIUS: *(krzyżuje ramiona na piersiach. Wpatruje się w nią badawczo)* A imię wasze prawdziwe? *(Głębią wchodzi Naho).*

ŁASKOTEK: *(Wskazuje na indeks)* Nie Ursus, ale Urszula z Borów!

NAHO MARPURG: Dobryś! To już ulica bez wyjścia! Przyznała się! Nie wybrnie!

Dr. FUNDAMENTARIUS: *(łaskawie i życzliwie)* Wieręć to nie bunt — a obrona!... I sądzić ją mamy nie z siebie, ani z swego czasu, ale z rzeczy samej, z wierności ku sprawie i w miłości dla niej. Ale cóż was gnało? Mościa Panno, po te najwyższe szczyty życia naukowego...

URSZULA z Borów: Rektorze dostojny! *(z rosnącym zapale)* Życie samo w sobie ujęte, bez jarzma i grzechu! Jakaś wieszczą wolność, wspólnota równa wszystkiemu i wszemu rada! Jakiś bezkres obszarów duszy, a otwarty, gdzie dumie i zuchwałości młodej niema zapory... a także i... *(wzruszona)* nadzieja, by kiedyś, temu jednemu ukochanemu mężowi dorosć, światy jego myśli zrozumieć, z nim je przewędrować... *(przy ostatnich słowach Urszuli, zbliża się Kornar i przysłuchuje z głębi, oparty o kolumnę arkad).*

Dr. FUNDAMENTARIUS: Oj, widzę, że nie darmo bydliliście w „Auli Platona“, boć jak Diotima w jego „Uczcie“, mkniecie ku owym płodności pełnym mgławicom pojęć. Cokolwiek wszelako cna panno Urszulo Senat nasz dostojny w waszej postanowi sprawie, wiedźcie i moje zdanie: przeciwnym nie jestem waszemu ku światłu dążeniu, znajcie jednak, że za mniejsze chwyacie, goniąc je by marę, większe zasię podle zostawując. Boć my wychowujęm świat — a nas kobiety! Pokój z wami Urszulo z Borów! A teraz chodźmy oklaskiwać genialną tezę Niemiery w sali jurystów, a u Arcjanów, przeważne dzieło waszego poety, Janka poety? Nieprawdaż?

URSZULA z Borów: Tak Dostojna Magnificencjo, ale skoro, jak uważam już nie jesteście mi krzywi i gdy naszych scholarów z wspaniałą „Damą Wiedzy“ swą obecnością uczcić chcecie — darujcież i nam wcale — a dozwólcie odegrać Beatce rolę Heleny. Wszak jej oznać mogę? że...

Dr. FUNDAMENTARIUS: No niechże wam będzie po woli! Z wami takż młodymi być trza, ciesząc się tem co młode. Ale jakowóż Beata, owa orędowniczka i wspólna w cechu tajna Rajczyni, tak zaraz w lot tekst tragedji fundamentalnie pojmie?

URSZULA z Borów: O! ona go już umie na pamięć od dawna!
Dr. FUNDAMENTARIUS: Miejcież mię w pieczy bogowie! Jestem jak widzę formalnem sprzysiężeniem osnuty i z nie-lada szpaczkami mam do roboty. A niechaj i to na wa-szem stanie! (*Wstępuje po stopniach do auli*).

URSZULA z Borów: (*do wchodzących scholarów*) Vivat nasz Rektor serenissimus! Posądzienia i zakazy cofnięte! Dzię-kujcie! Cieszcie się! Hej! tam w górze! Ozdabiać aulę żywo! Gotujcie togę doktorską Niemierze, wieniec laurowy Poecie! A wy śpieszcie po jego Helenę. Madonna Beata tylko chlamydę narzuci, gotowa stanąć w Arenie do Jan-kowego dzieła.

Scena V.

SCHOLARZY: (*wołają jeden przez drugiego, schodząc się ze
wszech stron*) — Bravo! — Dziękujemy! — Co? — Jak?
— Co się dzieje? — Roi się jak w ulu!

GŁOSY: bzzz, bzzz, bzzz!

— Bez żartów gadajcie co jest? — Nie pytaj! chodź!
— W drodze zrozumiesz! — Chodźcie hurmem! (*Część
scholarów odchodzi. Z Citra i Ultramontanów zostają na
przodzie: Alanzy, Bilin, Dante Vanner, Bardo, Rosatus,
potem Kornar*).

ALANZY: Juryści Oltramontanie wężą spisek i są przezorni
jako węże. Janek sam partję Hektora mówić będzie,
a Łaskotek oto coś takiego zdziałał, że rektor Magnificus
swej siostrzenicy pomimo długiego oporu obojczyjczy
udzieli.

BILIN: Wiecie-li co? Chodźmy i my po nią! Pal lichy zawistki,
gdy chodzi o piękno niewiast i Poezji! Przyprawdzimy
Dominę Beatę w korowodzie!

DANTE VANNER: A to iście olimpijski plan! Cześć piękna
nas pogodzi. Ale słuchajcie, nie ją samą!... toż Helena dwór
swoją miała w gynecium?

ROSATUS: (*żartobliwie*) Ależ tak! tak! będziesz miał swą Li-koris.

DANTE VANNER: (*uradowany*) Wspaniały poemat tego Janka,
zaiste!

BILIN: A ja? A mnie się kto dostanie?

ROSATUS: Tobie Karla, bez zawodu!

BILIN: (*promieniejąc*) Iście ten Janek, to przedsię wspaniały
poeta!

DANTE VANNER: Tylko nasz cny Kornar, nie będzie miał
Niezbliżka!

ROSATUS: (*zamyślony*) Kto to wie?... (*część scholarów wy-
chodzi, część wstępuje na galerję górną, tak że widać wśród
kolumn spacerujących uczniów, Magistrów. Wysuwa się
z pośród arkad Kornar, zatrzymuje Niezbliżka, który
dążył za innymi*).

KORNAR: I w tej uroczystej fecie waszej nacji, nie znajdzie-
cież dla mnie wdzięcznego słowa, ani gestu, który byłby dla
mnie, ot tak — moim zupełnie? (*bierze ją za rękę*).

NIENZBLIŻEK: (*robi ukłon kobiecy*) chyba że się z wami poże-
gnam — bo oto dziś ostatni raz jestem współobywatelom
tej oto waszej Almae Matris.

KORNAR: (*z radością*) Tak mówicie?

NAHO: (*zbliża się, wzdychając*) Ano tak! nie bardzo nam to
i przespiecnie a wygodnie na świecie... różnowiercom...
uczonym... białogłowom...

URSZULA z Borów: (*zamyślona*) Tak, ale przyjdzie czas...
może przyjdzie czas...

NAHO: No, dobrze! Ale tymczasem?

URSZULA z Borów: (*dobrotliwie*) Mój dobry Naho, ty ostrzegaj
swoich, by ten wstręt, który w nas budzą, jak nasz zacny
doktor Fundamentarius wyklada o „Simplicyach“, w nich
samym badali — a nie na zewnątrz Ghetta.

NAHO: (*głosem głęboko wzruszonym*) To jest aby mieli większe
potrzeby, mniej pieniędzy, kontrolę własną ściślejszą...
a wtedy się kontrola nad nimi i żelazny pierścień niechęci
rozluźni...

URSZULA z Borów: (*z prostotą*) I ja tak myślę pocziwy Naho!

NAHO: A wy? słodkości i czci pełne paniatko?...

URSZULA z Borów: A ja ufam, że i niewiasta będzie miała
odjętą obrozę, gdy śladem jej będzie ginął jad wszelki...
a rosło utwierdzenie krzepkiego życia w statecznym roz-
woju. Pojedynkiem z początku — narastając w pochodzie.

NAHO: (*sentencjonalnie*) Cena — wedle zasług! — Niechajże
nam się to wszystko ziszcze! ale prędko! (*klania się z ser-
decznym szacunkiem; ogląda się ku górze*). O tam przez

galerję zwiewają opony, wieńce, biegnę żywo pomagać w przygotowaniu do uniwersyteckiego święta.

(*Tymczasem Kornar, zdjął pierścień z swego palca, bierze rękę Urszuli, zdobi sygnetem*).

KORNAR: Niechże ten oto pierścień, będzie symbolem wieku istego zadania niewiasty; ogniwem wśród nacji i nauk a nie hamulcem.

URSZULA z Borów: (*bawiąc się pierścieniem*) Bardzo ładny! Ale jeżeli mi go wśród Wielebnych Sióstr u „Dobrego Pielgrzyma“ nosić nie będzie wolno?

KORNAR: (*z irytacją*) Nie! tego i tak mówić wam się nie godzi! (*wybuchając*) I nie czujecież wy żeście mi dana przez łądów i państw tyle... i nie widzicie ogromu miłowania mego dla was, skoro się ono niczego nie lęka, a nawet... nawet... waszego rozstrzelonego wzroku na tyle promieni... że się w ognisku jednym skupić nie zdolen...

URSZULA z Borów: (*z udaniem politowania*) ...że nijakiej rękojmi szczęśliwości dla was we mnie nie najdziesz!...

KORNAR: (*gorąco*) O jest! i wielka! A nawiętsza; że mi ukazujecie i ten sam wdzięk, co jest mej własnej nacji wrodzonym kwiatem — i ten cudny urok nowości, tajemnicy niezbadanej, nieznaney mi duszy, która mnie ciągnie, by się doń zbliżyć, by ją przeniknąć...

URSZULA z Borów: (*słucha z upodobaniem, wesoło*) Baczcież, aby mnie ten argument najsmadniej nie przekonał.

KORNAR: (*składa ręce błagalnie*) Niechże przekona, bodaj ten...

URSZULA z Borów: (*patrzy nań przez chwilę ze wzruszeniem, potem*) No, teraz jeszcze odpowiedzi wam dać nie mogę. Muszę się jak raicie skupić, a ogarnąć... Ale zważcie: jeżeli za chwilę na Niemierę fest doktorski, a na Jankowy tryumf zjawię się w habicie siostry Bogny, jako przyszła „Mater Urszula“ (*po trusiowato klasztornej mince, głosem stanowczym*) to już nijakiej nadziei wam dać nie mogę. Jeżeli się zaś ustroję w kitlik dziany perłami, który nam siostruchna przez olejkarza przysłała... wówczas...

KORNAR: (*porywcz*) Wówczas... (*smutnie*) wówczas?... (*rozmarzony opiera ramię o kolumnę, kładzie na niem głowę ciężko i tak trwa przez chwilę. Niezbliziek patrzy na niego serdecznie, waha się, robi kilka kroków ku niemu,*

potem niezdecydowanie staje w pośrodku, następnie rzucawszy Kornarowi zalotne, ale pocziwe serdeczne spojrzenie wybiega klusem. Dopiero po tej grze ruchów słychać burzę oklasków. Przerwy i znów wiwaty. W środku kolumn, naprzeciw sceny, ukazuje się Janek poeta z wieńcem laurowym i Niemiera w doktorskiej todze w gronie towarzyszy. Scholarze, bakałarze, zbiegają z gałązkami wawrzynu, cyprysów, sośniny. Janek i Niemiera schodzą, koledzy podają im dłonie).

Scena VI.

(*Alanzy, Łukasz, Ultra, Citramontanie, Arcjanie, Jan Anioł, Sacrobosco, Friulanin Prutenius, Medycy, Struś, Dr. Subtilissimus, Dr. Fallopius. Scholarze różnych wydziałów. Okrzyki*).

SCHOLARZE: — Vivat! Niemiera, Doktor juris! — Vivat Janek poeta! Niech żyje prawo! pokojowe ramię siły i słuszości! Vivat lex!

FRIULANIN: Vivat natio Ultramontanorum!

MEDYCY: Sława szlachetnemu autorowi!

GŁOSY: Nieśmiertelność kobiecej piękności!

ARCJANIE: I czci!

PRUTENIUS: Vivant narody, co jej lekce nie wazą!

JURYSTA: Chwała poecie, który to obłókł w cudny rym!

TEOLOGOWIE: Chwała poezji — natchnieniu czynów! Chwała! (*Profesorzy otaczają Niemierę i Janka*).

Dr. FUNDAMENTARIUS: Jakkolwiek wszechwładna Pani Przyroda, dźrzy mnie całkowicie na służbie swej, przedsię rad jestem nad wyraz, przyklasnąć fundamentalnie (*bije delikatnie dłonią w dłoń*) i ścisłym argumentom legistów wraz z szlachetnym Niemierą, oraz cudnym bajanionom ludzkości i muzykalnej mowie twej, Wysokourodzony Janie, z Bożej łaski i sądu twych kolegów, Janie poeto. Nie „Chaos“, ale „Rytym“ był na początku świata! I dlatego biorę was obu w obręb praw, harmonji „Natury“!

JANEK POETA: (*klaniając się*) Dziękuję!

NIEMIERA: (*j. w.*) Wielce wdzięczem!

(*Tłoczą się Citramontanie do powinszowań*).

ALANZY: (*wypychając Łukasza z Baru*) Pozwólcie i przeciwnemu obozowi wyrazić swe uznanie — a hołd.

VAN SACROBOSCO: Obaczycie, że ich znowu zechcą oszpać, te pokraki jedne!

ŁUKASZ z Baru: Koko-komentarze do koko-komentatorów, koko-komentujących domysły Ho-homerowych a Ulp-ulp-ulpianowych koko-komentarzy...

JAN ANIOŁ: (*przerywając*) Dość! Zakokomentowaliście dokumentalnie wasz dowcip, teraz wyko-ko-komentujemy was z poetyckiego i oratorskiego turnieju. Abo wara!

ALANZY: O! jeszcze nie koniec!

ŁUKASZ z Baru: Sko-koro mi się nie-dddaliście wygadać! (*Wyprawiają go, ten się opiera*). Cóż wwy chcecie? Ja się tlylko wt-wt-wtedy jakam, kiedy mówię!

Dr. SUBTILISSIMUS: (*mówi słodziutko, śpiwnie, skandując każdy wyraz*). Uczta! subtelna uczta! prawdziwy bankiet! żeby mi wysokourodzony Jan, subtelny poeta z natchnienia Olimpu i Niemiera, subtelny orator dzięki głębokiej nauce a zasłudze humanistów, nie wręczyli jako kancle-rzowi dwu universitates, swych prac, gdzie widoczna siła przekreśleń i łamań się talentu z głazem subtelnego materiału i kunsztem budowy myśli — sądziłbym, że ich subtelne dzieła a tezy — to odkrycie jakiegoś naj-subtelniejszego poety i mowcy — niby wykopane posążki rzeźbiarza czasów zamierzchłych... (*klaszcze delikatnie*).

Dr. FUNDAMENTARIUS: (*przytakując, z lekką ironią*) ...a także subtelnych...

SCHOLARZY: Vivat Doktor Fundamentarius i poeta, a Orator subtilissimus!

Scena VII.

(*Słychać dźwięki podwójnej fujarki greckiej, Klabon ubrany za pasterza starożytnej sielanki, gra marsza do słońca; w takt zbliżają się: Beata z gałązką palmy, za nią Karla, Likoris, Zanina, która niesie na tuwalni haftowanej, księgę, dużą jak mszał*).

BEATA (*powiewając palmą*) Niechże i dziewice naszego miasta, za zgodą starszyny (*skłania ramieniem w kierunku Dra Fundamentarius a Dra Subtilissimusa*) złożą hołd poezyi (*rzuca gałązkę pod nogi Janka poety, który się skłania, lecz jej nie podejmuje*), wymowie — czynów

spřeżynie — (*ten sam gest zwrócony do Niemierzy*) wreszcie pracy badacza i przyrodnika. (*Odbiera księgę od Zaniny i wręcza ją Strutheniusowi*).

STRUTHENIUS: Co? Kopia najcelniejszego dzieła o „Pulsie”? Taki skarb! Niechże go przycisnę do serca. (*wznosi oczy ku górze z wyrazem uszczęśliwienia, zbliża się do Dra Fundamentarius a*) I Magnificencja raczyła najłaskawiej dopuścić?

Dr. FUNDAMENTARIUS: Wszakże ci Niemiera ponoć jeszcze w twej ojczyźnie księgę na własność obiecał, jego to wyłącznie zasługa, a staranie, a że ci ją niewiasty wręczają, to nie tyle z fundamentalnego popędu do nauki...

Dr. SUBTILISSIMUS: (*zartobliwie*) ...Co z subtelnej ochoty uszczęśliwienia bliźnich... w chwili sposobnej i nad inne pamiętnej. (*Struś dziękuje damom i Niemierze*).

Dr. FUNDAMENTARIUS: Jednakowoż, przyjmujemy „wszyscy” objawy tak miłej niespodzianki dla naszego młodego uczonego, z wielce powolną a zasłużoną życzliwością...

KORNAR: (*który brał żywy udział w owacjach, zaprasza*) A teraz na błonia, na „Arenę”! by powtórzyć dla cnej szlacheckiej i mieszczańskiej publiczności poema Janka, oraz ponownie złożyć hołd beretowi doktorskiemu Niemierzy, i to święto poufne rodziny uniwersyteckiej, przenieść na forum wielotysięczne. Boć udziałem geniusza, a wysokiego ducha męża stanu jest, że przemawia językiem zrozumiałym dla uszu i serc wszystkich. Miło nam wielce, że uroczę Nobildonny tego miasta, raczą krasą swoją, a znajomością piękna, przyczynić wagi do świetnego poetyckiego i oratorskiego turnieju dwu wielce nam miłych braci Oltramontanów.

(*Poruszenie ogólne, formuje się orszak, gotów wyruszyć*).

Dr. FUNDAMENTARIUS: Owszem! Nie przeciwię się wam, Patrycyuszu naszego grodu, a godny Konsyliarzu nacji. Wysokie nasze „Studio” zaprasza chętnie dostojników i drogi nam lud do udziału w festynach wszechnicy. Zanim jednakże przekroczymy publiczne forum, chciałbym jeszcze tu, w czcigodnych naszych murach, i w pośród nas samych zakończyć symposionem...

- SLUCHACZE: Tak! Słuszna! Symposion — Bardzo dobrze!
Excellencjo, Platona duchowa ucztą! Igrzyska ideowe!
- Dr. FUNDAMENTARIUS: A więc „Turniej idei”! Oto jesteście na punkcie zwrotnym życia, szlachetni panowie, a młodzi nasi przyjaciele! Dale wypadków, które was tu zawiodły, dają każdemu wzrok swiebodny, by wejrzał na własne czyny! Dojrzały i uzbrojeni jesteście do wielkiego potykania się z losem!
- Dr. SUBTILISSIMUS: Wszyscy zmierzylście obszar waszych wiadomości. Ale teraz prosimy, byście „to” właśnie subtelnie wypowiedzieli, co w naszych mądrych pergaminach właściwie wcale się nie mieści...
- Dr. FUNDAMENTARIUS: To jest fundamentalną głębią umysłów...
- NIEMIERA: Nasz niewzruszony front duszy...
- Dr. SUBTILISSIMUS: Wytworny a podniosły...
- Dr. FUNDAMENTARIUS: Wspaniały w pomyśle, a praktyczny w wykonaniu... coś jakby dowód oczywisty, że prawdziwych ludzi, a nie martwe książki w świat wysyłamy.
- Dr. SUBTILISSIMUS: A więc prosimy... i oczekujemy Igrzysk Idei...
- Dr. FUNDAMENTARIUS: Citra i Oltramontanie — Mówcie! (*Skupienie u scholarów, wysoki nastrój*).
- NIEMIERA: (*Spuszcza głowę, jak do przyjęcia duchowego namaszczenia przed „Turniejem Idei”*). Otom sługa wasz, ognisko moje rodzinne, kraju mój i Boże mych przodków! (*podnosi głowę, uroczyście*): Będę czynił tak, aby Bóg, którego obecność w pełni rozumu i miłości przypuścić jestem zdolen — moje życie przyjął kiedyś jako ciągłe stawanie się prawdy i mądrości.
- ROSATUS: (*z mocą i przekonaniem*) Żadnego z ziemskich twórców nie użyję dla samolubnych celów, sprowadzając go z właściwej mu drogi, owszem, każdemu ukazując coraz to doskonalszy kształt rzeczy i spraw, pójdę sam chętnie za innymi bez zazdrości i uporu.
- BARDO: (*pełen zapału*) Z czcią dla wiar i kresów myśli duchowych przewodników moich i rodziców, ich błogosławieństwo wywalczyć muszę, dla nowej formy życia, którego jestem szczęśliwym terminatorem, by stać się jego mistrzem bez skazy i skargi.

- STRUTHENIUS: (*ze spokojną powagą*) Swój zawód podniosę do możliwie najwyższego stopnia techniki, nie lekceważąc jednak innych nauk. Żadne zjawisko, ani dążność nowa, nie będą mi obojętne. Nie zacieję jednak nigdy na czasie, który przyjsz ma.
- DANTE VANNER: (*rycerski i stanowczy*) Wiem, że wszystkie kobiety nie nablizają się do mej słodkiej siostry jak i onej wybranej serca mego dziewicy. Ale żeby ziemi tej, z mojej winy nie przysporzyć ani jednego kwiatu zatrutego, wobec żadnej z niewiast nie postąpię tak, jakoby czci mej i panowania nad sobą, godną nie była.
- VAN SACROBOSCO: (*silnie*) Bratu będę i ostanę zawsze żywym zaprzeczeniem, jakoby wszelki wysiłek był bezcelowym, ale porywać go będę za sobą do ostatniego tchu ku pracy i twórczości.
- JANEK POETA: (*natchniony*) Biada człowiekowi samemu! Szczęsny, kto miliony serc poruszyć umie! Chcę je wszystkie zrozumieć! pocieszyć, wzmocnić skarbami życia wedle piękna utajonego w świecie.
- NIEMIERA: (*z radością serdeczną w głosie*) Chcę zasłużyć, by mię każdy w ojczyźnie, jak Marka Aureliusza, nazywał imieniem sobie drogiem. A więc niech starzec nazywa mnie swym wnukiem, bratem — człowiek dojrzały — ojczulkiem młódź!
- PRUTENIUS: (*rozważnie, jakby pojednawczo*) Gdzie rozmaitość zdań się nadarza — najpierw wyszukam wspólnych mniemań, cofając piętno niezgody na dalszy plan, by potem uchylić je w całe.
- SACRANUS: (*ze smutkiem*) Ponieważ nie dane mi było jeszcze za ojczyznę walczyć i cierpieć (*mocno*) wypowiem wojnę nieubłaganą krótkości i dorywczości swych wysiłków, szalonym a nietrwałym pomysłem, a każdy krok poddam twardej karność męża.
- NIEMIERA: (*z namaszczeniem*) Iżbyśmy byli gotowi, na baczność każdej chwili, gdy ojczyzna nas wezwie do straży i obrony. A wtedy żadne wahanie, żaden brak wewnętrzny przez jedno ocemgnienie bodaj, niech się nie waży jej zbawienia odroczyć...
- (*Wszyscy scholarzy podnoszą ręce jak do przysięgi*).

CHÓR scholarów: *(głosem wzruszonym, ale dobitnie i uroczysto)* Tak nam dopomóż Bóg!...

(Chwila milczenia. Potem z oddali słychać hejnał z 1-go aktu. Powszechne zaciekawienie i nagła przerwa owacji, oraz nastroju wywołanego przez Turniej Idei).

Scena VIII.

(Hejnał słychać donośniej. Jawi się Piszczek Wroch wyrośnięty i na modę dojrzałego scholarza przybrany, grając hejnał na flecie. Towarzyszą mu Wilga, Jawnut, Zabor, bursarze 1-go i 2-go aktu, wszyscy ubrani do podróży z ładownicami na plecach. Z początku wszyscy zasłuchani, potem poruszenie wśród Ultramontanów i okrzyki).

ULTRAMONTANIE: Nasi! — Nasi! — Skąd? — Bywajcie!
NOWOPRZYBYLI: — Z nad Renu! — Z Kolonji! — Z Pragi!

— Z nad Sekwany! — Z nad Dunaju!

WILGA: A wszyscy z rodzimej Almae Matris!

ZABOR: ...dawniej rozproszone żaki, a teraz zebrane ze wszystkich obcych universitates, wracamy do swoich, do kraju!
(Przywitania, uściski).

GŁOSY: Witajcie!

NIEMIERA: Salve! Bywajcie i wy, w tryumfalnej chwili Janka. Bo wszak i Wam pewnie doniesiono, że fetujemy głównie jego „Poema”, które mu drogę do koronowania na poeście, gradusem do Parnasu będąc.

WILGA: Bywajcie Kommilitony *(ruch szerszy do wszystkich)* i wy najmiłsi towarzysze, niby bracia rodzeni! *(ramiona ciśniej rzucone naprzód).*

WROCH, ZABOR: — Bywajcie! — Tryumf wam! — Cześć!

WILGA: Ale nie to nas sprowadza! O talencie Janka, wie dzieliśmy doma; i na was Collego Major liczyliśmy jako na przedstawiciela młodzi! Chwała wam, żeście potwierdzili nadzieje ojczyzny; ale inny wilkierz skierował nas tu, by zboczyć z drogi powrotnej i po was.

GŁOSY: — Co takiego? — Słuchajmy!

WILGA: Wojna! Wielka wojna obrony granic! Nasza Najmilsza ojczyzna zagrożona! Najjaśniejszy Pan i król nasz w trosce o jej los, sam dowodzić ma zwycięskimi hufy.

Koledzy nasi, którzy „Studia” nie opuścili, od pierwszej chwili w szeregach.

PISZCZEK WROCH: Kolega Radwan komenderuje, by doświadczony szef. Pułk jego odznaczony osobną łaską Miłościwego Pana. Z nim walczą Leliwa, Osuch; Gozdawa padł; Niemsta, jeden z najlepszych wywiadowców, placówką przednią jest. *(Rosnące zaciekawienie u słuchaczy).*

GŁOSY OLTRAMONTANÓW: — Dążmyż i my! — Tam nasze miejsce! — Do drogi! — Do broni!

WILGA: Żak Zbylut, jest dobozem. Dotąd zawsze zwycięstwo otrąbywał.

GŁOSY: Wiwat Zbylut!

WILGA: Żak Bratun, na pikiecie u Niemsty, dzgnięty przez wroga, ostatnim tchem zawołał: „Sam tu wiara! Nieprzyjacieli tuż”!

GŁOSY: Cześć mu! ho!d! *(odkrywają głowy).*

WILGA: Takci jest i ostanie, póki ziemia ziemią, a na niej nasz huf obrony jej kresów ojczystych! Odtąd na apelu wieczornym, po wieki wieków w jego pułku imię to dzielne, jako wiecznie żywy chorąży wywoływane będzie. Gdy go dzień w dzień niby świętego patrona Hufców wezwą: „Bratun?” drugi w szeregu ma odpowiadać po nieskończone czasy: „Padł na polu chwały!” *(Chwila podniosłego napięcia).*

NIEMIERA: Nie czas nam tu mieszkać bracia! Kommilitony! Dostojne Magnificency! Dziękujemy wam za ojcowskie serca, a głowy mędrców. Życzcież i wy nam dobrego powrotu, boć ano jak jeden mąż, wracamy pod posłuszeństwo króla Jegomości i kadrów uniwersyteckich w ojczyźnie!

Dr. SUBTILISSIMUS: Słuszne to i godne subtelnej pochwały, ale wszakże „Tryumf Poety” odprawimy jeszcze w Arenie?

GŁOSY: Tak! tak! — Bez pochyby uczcijmy go jeszcze!

JANEK POETA: Dzięki Wam Panie i Wam towarzysze! ale dość mi na tem, że w waszych łaskawych sądach nań zasłużył. Ale opóźniać dla mojej sławy, nie godzi się chwały Ojczyzny!

GŁOSY: Vivat! — Bravo Janek!

Dr. FUNDAMENTARIUS: Przyznaję, rzecz ta jest fundamentalnie a z rzetelnością odważona. Wasza wola! Ale „Promocje?” „Licencje?”

ALANZY: Refekcy...

ŁUKASZ z Baru: Ttto gr-grhant!

NIEMIERA: I toć omieszkać musimy w chwili, kiedy moment każdy, kraj nasz na zdeptanie świętokradzką nogą wroga wystawia.

ROSARIUS: Zwłaszcza, że „Licencjat” i „Promowent” poturbowani przez Wincentynów leżą i nawet partji Hektora a Parysa w dramie Janka wziąć nie mogli.

Dr. FUNDAMENTARIUS: Nic to... Nie przychodzi doktor do biretu... potrudzi się biret do doktora! Prawda kolego? (*Do Dra Subtilissimusa*). Pójdziem do tych poturbowanych doma! Wszakże gęby obandażowanej ponóc nie mają? A więc! Egzamin się fundamentalny odprawi i dopełnimy formalności jako przystało, ino bez zwykłych ceremonii — skoro te same w sobie nic zgola fundamentalnego nie dzierżą.

Dr. SUBTILISSIMUS: (*kłaniając się przyzwalajaco*) Ależ oczywista! Całkiem zamiarom waszego ojcowskiego a subtelnego serca oddany! Ale cóż zacz nowego?

Scena IX.

(*Wchodzi Groza i Bean, obandażowani i podtrzymują ich z jednej strony Bogna w stroju zakonniczy-pielegniarki chorych i Urszula, ubrana w kitlik dziany perłami, włosy ujęte w siatce złotej*).

GROZA: Doszła już do nas wieść szczęsna o powrocie naszych. Toteż chcieliśmy nadążyć...

BOGNA: Ano, upływ krwi był silny i ledwie go tu doprowadzić możemy, bo się wytargiwał jak zatraceniec.

URSZULA z Borów: (*figlarnie*) I Bean też?! na koniec „Otrzęsin” do kraju!

NIEMIERA: Chyba, że ten zwyczaj zniesiemy! Czas go zastąpić nie symbolicznem ale prawdziwem nałożeniem do bólu i wytrwania.

WROCH: (*który się przypatrywał bystro przybyłym*) Czy mnie oczy mylą? Toć to Łaskotek-Niezbliżek!

WILGA: Tylko bez pręta i jakiś cały inny.

KORNAR: (*z radością*) O! cale inny i już nie wasz! (*przystępuje do niej z uniesieniem, bierze jej dłonie, całuje*) Doloż moja szczęsna! Nie daj mi Boże doczekać, by wam tego przebrania żałować przyszło!

URSZULA z Borów: (*serdecznie, a przekornie*) O, to jeszcze nigdzie nie napisane!

WILGA: Napisane; owszem, napisane! Macieź tu list od waszej wysoko urodzonej siostry Krysi z Borów, choć niby bankierski; a Naho (*rzuca mu trzos z pieniędzmi*) niech bierze glejt brzęczący na drogę, bo mu Kampsor, dziad jego też wracać przykazuje.

NAHO: (*chwytając sakwę, podrzuca*) No, możeć mnie przecie akurat strzała nie trafi! Wszakże mi kazał czyścić ghetto za pozwoleniem Jaśnie pani Łaskotkowa...

Imci pan Ursyn... nie z przeproszeniem panna Niezbliżka...

URSZULA z Borów: (*śmieje się*) Ale! Pani... jeszcze nie! Możesz mi prawie powiedzieć Urszula z Borów. Karty otwarte! Gra skończona!

WSZYSCY: Łaskotek! Niezbliżek! Urszula! dobry scholar! Ursyn z Borów! No! no! Miły nasz kompan!

OLTRAMONTANIE: — Co? — Jak? — Ktoś zdradził? — Kto śmiał? — Któryś prosiak wydał!

NAHO: (*tajemniczo*) Przedewszystkiem ona sama!

VAN SACROBOSCO: Szczęsnyż Kornar! naoglądaliśmy ją na wszystkie strony, jako że udatna jest na schwał.

RÓŻANKA: (*z dumą*) A ino! Jak każda dziewa u nas!

BARDO: I nie będzie w dodatku mężowi łba zawracać, że się jej pieczeń z pawia przypaliła, abo że flaczki szafranem przebrano...

URSZULA z Borów: (*która czytała list wręczony przez Wilgę, nagle podskakuje na palcach jeszcze ruchem dawnego żaka*) O! Krysiénka! siostruchna moja namilejsza! Ale o jakimże to pokrewieństwie i spadku mi donosi?

WROCH: (*skrobie się w głowę*) A! mówiłże mi o tem bankier obszerno...

WILGA: To jakoś tak było... Cioteczny... wujeczno-rodzony brat waszego dziada, ciotka swak i wuj stolnik, dali byli stryjną za rejenta, a kobyłę zaś posłali w żaki... A takci był prałat, co trzymał do chrztu waszą szwagrowę... i wam właśnie po jej wujance puścizna przyłazi... (*Rozwesele nie ogólne*).

NIEMIERA: (*z uśmiechem*) Tak, toć jest czyście nasze mazowieckie pokrewieństwo jak w Litwie dziesiąta woda po kisielu.

URSZULA z Borów: (*składa list*) No, to ja się tam już sama o tem doma przekonam!

KORNAR: O niczem się moja wybrana i tu obecna przyrzeczona Urszula z Borów przekonać nie raczy, boć oto, jako pani wienna, całą swą obecną i przyszłą puściznę swemu ojczystemu Studio przekazuje... na wyłączną własność i do rozporządzenia w najdalsze wieki, w zamian jako że sama zostaje tu z nami, płci swojej bezcenny skarb chluba i ozdoba.

URSZULA z Borów: (*wzruszona i zdziwiona*) I wy toż to na prawdę zdziałać chcecie? (*skacze z radości, klaska w dłonie, potem z determinacją*) No, niechże się już stanie!

KORNAR: (*do Niemierzy, wręczając mu dokumenty, wzięte od Łaskotka*) Wszakże nowo, a tak świetnie promowany „doktor juris”, veta od tego dekretu nie zakłada? (*Niemierza się kłania z uprzejmą obojętnością*).

URSZULA z Borów: (*do Niemierzy*) Oddajcież to od nas Magnificencji, Rektorowi naszemu, skoro wola mego przyszłego, a moje wcale przyzwolenie chętnie sercem to utwierdza... i... i... niechże za te pieniądze moc pergaminów nakupią... albo radziej może miasteczko dla niejakiego biednego żaka w „Grochowej Bursie” ufundują... (*szuka w myśli*) albo... i... alibo co jeno nasze Nadostojniejsze Magnificencje raczą chętnie stanowić...

SACRANUS: A konterfekt naszej nadobnej dobrodziejki ka-

zemy umalować w całości od stóp do beretu i zawiesimy w „Auli!”

URSZULA z Borów: (*oburzona, ale i z pokorą*) Ale! co wam też przez głowę przeskoczyło! Przedsię jestem zaledwie kandydatem do „Bakalaureatu”!

GROZA: No, to wasz portret będzie i tak zamówiony, ale bez różgi!

NIEMIERA: (*wesoło*) Wszystkiemu zgodny poklask daję. Nasz król Jegomość Najjaśniejszy pierwsze zdobycze łowów, żubry i ptactwo kniei, jak i pierwsze wiadomości z boju zwykł posyłać naraźniej Senatowi naszej Akademiej. Słusznie jest, abym też i ja cale a niemieszkając, odniósł tam wasz legat jako (*skłania się przed Urszulą*) zawsze powolny Collega Major i upamiętnił piękny gest patrycyusza Citramontanów (*kłania się Kornarowi*) ręka w rękę z niewieścim scholarem, pierwszym, choć może nie ostatnim w „Studio generale”, a dobrym kompanem jako i dru-dzy.

SCHOLARZE: Bravo! Vivat Urszula! Niech żyje Łaskotek! Vivat Kornar!

NIEMIERA: Cześć konsyliarzowi nacji! A teraz w drogę!

ALANZY: O, jeszcze za chwilę!

ŁUKASZ z Baru: A rre rhe-refekcja?

Scena IX.

(*Pasquino i służba*).

PASQUINO: A teraz my! Miasteczko dla wina z oberży: „Pod Wołem”. (*Wnoszą gąsiora z winem, pawia na półmisku, drób, toczą beczułki*) Oto na drażgu wieńce kiełbas! Wolna droga tacom Pasquina z górą łakoci. Oto gotowa, rozkazaniem sławetnej nacji Oltramontanów zamówiona refekcja. Wszystko przednie, wyborne...

ŁUKASZ z Baru: A sss sł... słone...

PASQUINO: Czekaj na dostojne języki, a zęby waszmościów. (*Zamieszanie wśród scholarów*).

GŁOSY: Co to? Kto zamówił? Nie ja! Ani my!

NIEMIERA: Jakże to przyszło?

PASQUINO: (*wręczając mu kilkunastokrotną zwijkę z rachunkiem*)
Najwyraźniej stoi...

NIEMIERA: (*czyta powoli*) Ku uczczeniu „Tryumfu Janka poety...”.

JANEK: (*wyrywa papier i czyta dalej*) oraz sławnego doktora
juris i dekretów Niemfery... Oltramontani... zapraszają
Senat.

SACRANUS: (*wyrywa rachunek i czyta*) Magnificencję Re-
ktora, dziekanów, profesorów i bakałarzy... Magistrów.

GROZA: (*wyrywa mu rulon, czyta*) i brać wszelką uniwersy-
tecką, a w pierwszej linii jurystów, kolegów medyków,
artianów, citra...

WSZYSCY: Montanów!

GŁOSY: A to franty! To ich figiel!

NIEMIERA: (*serdecznie, ze swobodą*) Który my potwierdzamy
w całości, koleżeńską dłonią drogę ku zgodzie a przyjaźni
z nami torując, a z uprzejmem całej mej nacji zezwole-
niem... Zgoda? bracia kommilitony?

GŁOSY OLTRAMONTANÓW: — Tak! tak! — Słusznie!
— Niech już będzie! zapraszamy!

KORNAR: Pozwólcie nam wspólnie iść i do wyderkałów.

Dr. FUNDAMENTARIUS: Pozwólcie współdziałać i fundamen-
talnie współgościć!

Dr. SUBTILISSIMUS: Z subtelną przyjemnością, młodzi i sta-
rzy!

NIEMIERA: (*uprzejmie i stanowczo*) Nie, my sami!

OLTRAMONTANI: Tak, my sami! — sami pożegnamy was
bratnią uczcią! — Chociaj prędko, na stojący.

NIEMIERA: Nie odmawiajcież nam Magnificencjo (*ruchem go-
spodarza zapraszając*) Ani wy szlachenie urodzone damy!
I wy wszyscy nam uprzejmie mili a drodzy, towarzysze
a bracia... „Strzemienego” skoro czas nagli.

Dr. FUNDAMENTARIUS: Abyście fundamentalnie posiliwszy
się...

Dr. SUBTILISSIMUS: A subtelną spójnością złączeni...

KORNAR: Szli jedną wielką rodziną uniwersytecką w świetle
wiedzy.

BEATA i PANNY: Cnej miłości.

SCHOLARZE: Ku czci ojczyzny.

Kurtyna.

KONIEC.

DO SWOICH I OBCYCH: ZAMKNIECIE.

Łatwiej byłoby utasować dawne obrazy z nowymi warunkami sceny, gdyby nie groził sprzeciw znawców, a ci mają doń prawo, w imię szacunku dla wiarygodności osób, spraw i tekstów zamierzających epok.

Tylko że tu ścisłość jest czasem nieosięgalna.

Np. Marcin Glossa, był i nie był na czele wędrującej młodzieży, zależnie od tomu: „Obrazki z życia żaków krak.” (str. 50) czy: „Rozpróśnienie młodzieży krak.” (str. 30 i 31) Ptasznika, a więc i od źródeł, na których się ten sam autor tu i tam opiera. W rzeczach wątpliwych kompromis ratuje.

Drugi objaw zapalenia sumienia autorskiego, tyczyłby pisowni tak dowolnej, nawet dłuższy czas po wynalezieniu druku.

Zecerzy Drukarni Polskiej, chłopcy bardzo nowoczesni, na swoją rękę ją prostowali w kopji. Coś jednak zostało: „na posmak” dobrych czasów, kiedy to jeden wyraz na tej samej stronie pisano na trzy sposoby!

Co do realizacji scenicznej, „Żaki XVI w.”, jak się to odnajdzie w prasie odnośnej kadencji, były przyjęte w Dyrekcji Teatru im. Słowackiego w Krakowie. Tam też są szkice ubiorów do I i II aktu, według Eljasza Radzikowskiego, Matejki i i.

O włoskiem Odrodzeniu jest dużo w Polsce dzieł bardzo pięknych. Mnogość ślicznych ilustracji Dominium Wenecji, a więc i Padwy, daje już sam Molmenti w trzytomowym dziele, u nas: w Bibliotece Muzeum X. X. Czartoryskich. Zresztą kostjumy XVI w. ma każda dusza teatralna.

Olbrzymią część tworzywa zgromadzonego, musiałam odrzucić, przed możliwością pierwszych syntetycznych żłobień. I tak niezbędne skróty są przewidziane.

Skreśleń w tekście tej pracy nie dokonałam: kusiły drobne całości, by wedle wyboru można zaczerpnąć okolicznościowo, tę lub ową scenkę renesansu czy inną furfanterji żakowskich.

Właścicielem „Żaków” będzie Koło lwowskie T. N. S. W., jako wdzięczny wyraz koleżański.

Ten szczegół jest rękojmią naszej zawodowej życzliwości dla losów i spraw dawnej i przyszłej studenteski w życiu i piśmiennictwie.
